

TADEUSZ RÓŻEWICZ (1921-2014)

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X



Nr 5 (222) • ROK XIX • MAJ 2014

Dekada wielu pytań – rozmowa z prof. GENOWEFA GRABOWSKĄ

Śląsk – miasto czy wieś?

Wilamowice po flamandzku

O malarstwie ANTONIEGO CYGANA

Poezja i proza:

HENRYK CIERNIAK, GRZEGORZ SŁOBODNIK,

THÉRÈSE SOUDAN

ISSN 1425-3917

0 5



9 771425 391400



*Centrum Nowoczesnych Technologii Informatycznych
Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach*

6 kwietnia w Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach miała miejsce szczególna uroczystość. Jubileusz 35-lecia pracy w Teatrze Śląskim świętowała długoletnia dyrektor naczelna a obecnie zastępca dyrektora tej instytucji – Krystyna Szaraniec. Było dostojnie, wzruszająco i wielce radośnie. Dla Jubilatki śpiewali między innymi Krystyna Prońko, Krystyna Giżowska, Grażyna Barszczewska, Mirosław Neinert, Bernard Krawczyk, Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”... Ze sceny popłynęły strofy wierszy i piosenek Lecha Szarańca w wykonaniu artystów Teatru Śląskiego a Zespół Kawiarenki Literackiej Chorzowskiego Słowaka zadedykował Jubilatce „Testament mój” Juliusza Słowackiego do muzyki Krzysztofa Domogały. Nie szczędzono Krystynie Szaraniec podziękowań, a jest za co, ale przede wszystkim za serce i miłość do katowickiej sceny i jej wiernej publiczności. Miłość w pełni odwzajemniona, czego dowodem był ten niezwykły benefis.



Fot. Zbigniew Sawicz

Fot. Bogdan Kulakowski



Koncert Anouara Brahema (na zdjęciu) i jego kwartetu otworzył trwający od 26 kwietnia do 2 maja 3. Katowice JazzArt Festival. Brahem jest wirtuozem lutni oud. Zaprezentował wraz z towarzyszącymi mu muzykami własne kompozycje i improwizacje na temat tradycyjnych melodii z krajów Maghrebu. Katowickie święto jazzu zamknął występ oczekiwanego od kilku lat słynnego Kronos Quartet, który wystąpił wraz z dwoma lotewskimi muzykami: wirtuozem akordeonu (także niezwykły ocal) Kimmo Phjonenem i Samulim Kosminenem (perkucja/sampling). Podczas JazzArt Festival zaprezentowali się także m.in. Tigran – Sgadow Theater, Dominik Wanio Trio, David Liebman – Ellery Eskelin Quartet oraz Ben Goldgerg Trio z klezmerską muzyką improwizowaną. Koncerty odbywały się w Kinoteatrze „Rialto”, Centrum Kultury, Jazzclub Hipnoza. Organizatorem festiwalu była Instytucja Kultury Katowice Miasto Ogrodów.

Już po raz 22. odbył się Koncert Galowy Fundacji Pomocy dla szpitala w Zawierciu „Auxilium” im. Dr. Henryka Wnuka, od początku oddanego tej idei, związanej z zaangażowaniem w to szlachetne przedsięwzięcie Wiesława Ochmana. Ten wybitny artysta operowy szczególnie jednak wpisał się w działania na rzecz „Auxilium” i co roku wiosną uczestniczy w koncercie wspierającym tę fundację, koncercie, którego program przygotowuje, z temperamentem prowadzi i w którym sam za każdym razem uczestniczy. A jest jako śpiewak wciąż w znakomitej formie, bo też właśnie jego udział jest największą atrakcją dla publiczności wypełniającej sporą salę widowiskową Miejskiego Ośrodka Kultury... Salę im. Wiesława Ochmana – jako że coraz więcej jest w Zawierciu świadectw uznania i wdzięczności dla tego wielkiego artysty, Honorowego Obywatela Zawiercia, który ma w tym mieście już nawet swoje rondo. Również przyznawane co roku nagrody w postaci kryształowego wazonu noszą nazwę Kryształowych Ochmanów, zaś najważniejsze zyskały tytuł Kryształowego Super Ochmana. Wyróżnia je wygrawerowany wizerunek artysty z faximile podpisu. W tym roku Kryształowego Super Ochmana – i to z rąk samego Ochmana (na zdjęciu) w towarzystwie prezesa Fundacji dr. Czesława Kaweckiego (pierwszy z prawej) odebrał Tadeusz Kijonka, za wspieranie od wielu lat poprzez publikacje na łamach „Śląska” informacji o działalności Fundacji „Auxilium”. W koncercie galowym jak co roku pod batutą Sławomira Chrzanowskiego wzięła udział Filharmonia Zabrzeńska. Wystąpili: Dorota Laskowiecka, Katarzyna Gierla i Katarzyna Staroń (soprany) oraz tenor Maciej Komandera i bas Bogdan Kurowski (soliści Opery Śląskiej) zaś w cyklu „mistrzowie wokalistyki” przedstawił się Tadeusz Pszonka. Szczególnie okłaskiwany był Wiesław Ochman. – imponujący jak zawsze wspaniałym tenorem i estradową werwą. Ma też swoją wymowę niezwykły fakt, że od 22 lat Wiesław Ochman zjawia się w Zawierciu wierny podjętym społecznym i artystycznym zobowiązaniom. W tym roku na jego zaproszenie przedstawił swoje obrazy na okolicznościowej ekspozycji Adam Jacek Kozak.



Fot. UM Zawiercie

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

TADEUSZ RÓŻEWICZ (1921-2014)



Fot. Zbigniew Sawicz

TADEUSZ RÓŻEWICZ

* * *

Pamięci Konstantego Puzyny

Czas na mnie
czas nagli

co ze sobą zabrać
na tamten brzeg
nic

więc to już
wszystko
mamo

tak synku
to już wszystko

a więc to tylko tyle

tylko tyle

więc to jest całe życie

tak całe życie

Nr 5 (222). Rok XIX. MAJ 2014 r.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNYprezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel. 32 253-62-21
e-mail: gtl@gtl.home.pl
www.gtl.org.plWSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
JAN MALICKI
dyrektor
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
Tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

DARIUSZ ROTT
redaktor naczelnyWITOLD TURANT
redaktor prowadzącyWIESŁAWA KONOPELSKA
p.o. zastępcy redaktora naczelnego,
sekretarz redakcjiMARIA SZTUKA
dział kulturalnyBOGDAN WIDERA
dział społeczno-historycznyWOJCIECH ŁUKA
dział graficznyKATARZYNA BERETA
redaktor periodyku internetowego
www.slaskgtl.plMIROSLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.plIRENA FALKIN-SIBIGA
ANNA STRUMIŁOWSKA
korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel./fax 32 206-82-71

e-mail: redakcjaslask@onet.pl, msk.slask@gmail.com

DTP: STP „KorGraf”

40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja
zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian ty-
tułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji.**Warunki prenumeraty:** poprzez Oddziały i Delegatu-
ry „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio –
w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych.
Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja mie-
sięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92
102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł,
półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane
pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.**Prenumerata zagraniczna:** poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ
pod adresem:<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

5. *Marian Kisiel* POETA ZAGŁADY
8. *Stanisław Gębała* TADEUSZ RÓŻEWICZ W „ŚLĄSKU”
14. *Rozmowa z Wojciechem Kuśpikiem* PRZEZ KATOWICE DO UNII EUROPEJSKIEJ
18. *Katarzyna Bereta* ŚLĄSK – WIEŚ CZY MIASTO, TRADYCJA CZY ZMIANA?
22. *Rozmowa z prof. dr hab. Genowefą Grabowską* DEKADA WIELU PYTAŃ
24. *Barbara Kiczek* UCIECZKA OD WOLNOŚCI
30. *Henryk Szczepański* WOJNA O DOGMAT
33. *Rozmowa z Mariuszem Wilkiem* OD „KONSPIRY” DO WYSP SOŁOWIECKICH
34. *Beata Tomanek* KIEDY PRZESZŁOŚĆ STAJE SIĘ PRZYSZŁOŚCIĄ
38. *Tomasz Kurpierz* HENRYK ŚLAWIK W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ
40. *Rozmowa z Piotrem Szalszą* TU, CZYLI W DOMU
46. *Ryszard Bednarczyk* FILMOWA MISJA BARDORSCHA

FELIETONY

3. EDYTORIAL
17. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański RACHUNEK PIERWSZEJ DEKADY – POLSKA W UNII EUROPEJSKIEJ
52. KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO
Wojciech Grabowski WŁADYSŁAW PODKOWIŃSKI
53. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŹNA
Jan Miodek ŚLAWIĘCICE, UJAZD, KĘDZIERZYN, KOŹLE, KŁODNICA
59. *Magdalena Dziadek* MIĘDZY NUTAMI. PONOWNE OTWARCIE FILHARMONII ŚLĄSKIEJ. BRAHMS I SZOSTAKOWICZ W NOSPR
65. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY

PLASTYKA

48. *Witold Kociński* LEK DLA DUSZY
49. ANTONI CYGAN. MALARSTWO
50. BEZPOŚREDNIO. Michalina Wawrzyczek-Klasik, Artur Masternak, Michał Klasik
51. *Wiesława Konopelska* FORMA I NIC WIĘCEJ?
76. *Wiesława Konopelska* MIĘDZYŚWIETLNE PODRÓŻE BLUKACZA. MAPY ŚWIATŁA

TEATR

56. *Marek Mierzwiał* MOŻE COŚ MI SIĘ UDAŁO ZROBIĆ?
57. *Joanna Warońska* ZMIANY W ŚWIECIE DULSKICH
58. *Magdalena Figzał* OCALAJĄCA MOC ŚPIEWU

KSIĄŻKI

60. *Aleksandra Dębska-Kossakowska* PASJA POZNANIA
61. *Edyta Bartos* DAROWSKI REDIVIVUS
62. *Katarzyna Krzan* ŚWIAT JUŻ NAS NIE POTRZEBUJE
62. *Krzysztof Lisowski* PRÓBA OBYWATELSTWA
63. *Krzysztof Lisowski* PRZYWRACANIE ZOFII KOSSAK
64. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

1. *Tadeusz Różewicz (1921-2014) * * * Pamięci Konstantego Pułczyńskiego*
26. *Thérèse Soudan* BAL PRZODKÓW (FRAG.). Przekład z francuskiego Marzena Dupuis
37. *Henryk Cierniak* WIERSZE
45. *Grzegorz Słobodnik* WIERSZE

EKOLOGIA

54. *Jolanta Matiakowska* CZAS DLA ZIEMI
55. *Jolanta Karmańska* „ZIELONO MI” I... CZARNO

STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
44. LISTY DO REDAKCJI
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Małgorzata Cichoń, Aneta Cichoń BIBLIOTEKA JEST BRAMĄ W CZASIE
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. DRZWI SZEROKO OTWARTE
68. OPOLSKIE

NOTATNIKI KULTURALNE

69. *Janusz Wójcik* OPOLE
70. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
72. *Maria Szuka* ZAGŁĘBIE
73. *Jan Picheta* BIELSKO
74. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
75. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

NA OKŁADCE: Centrum Nowoczesnych Technologii Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach
FOTOGRAFIA: Bogdan Kulakowski



Fot. Bogdan Kułakowski

Drodzy Czytelnicy

Omówienie zawartości majowego wydania naszego miesięcznika muszę rozpocząć w raczej minorowej tonacji: odszedł jeden z najbardziej znaczących polskich poetów ostatnich kilkudziesięciu lat, Tadeusz Różewicz, z wielu względów bliski Śląskowi i „Śląskowi”. Dla wielu z nas jego nazwisko było synonimem tego, co w poezji najbardziej wartościowe, dlatego też znajdziecie Państwo na łamach tego wydania „Śląska” obszerny materiał poświęcony jego życiu i twórczości oraz obecności na łamach „Śląska” autorstwa wybitnych znawców przedmiotu, prof. Mariana Kisiela i prof. Stanisława Gębali.

Mija właśnie dziesięć lat od przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Jest dobra okazja do przeprowadzenia choćby powierzchownego bilansu. W ciągu tego dziesięciolecia Unia pokazała swoje jaśniejsze, ale także i te mniej jasne strony. Na arenie politycznej obserwowaliśmy zaskakujące czasem wolty – widzieliśmy, jak zaciekli eurosceptycy stawali się euroentuzjastami, ale bywało i odwrotnie. Zawsze przy takiej okazji zadawaliśmy sobie pytanie, gdzie są granice rozsądnej gry politycznej, a gdzie zaczyna się zwykły koniunkturalizm i partyjniactwo. Być może w jakimś przynajmniej stopniu odpowiedź na to pytanie przyniesie rozmowa z prof. Genowefą Grabowską, wieloletnią eurodeputowaną. Jednak na co dzień od meandrów wielkiej i małej polityki, dla zwykłych Polaków ważniejsze jest to, co konkretnego przyniosło nam członkostwo w Unii. Jeden z jego efektów widzimy na okładce tego wydania naszego miesięcznika, na zdjęciu autorstwa Bogdana Kułakowskiego – Centrum Nowoczesnych Technologii Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach. Są także efekty tego członkostwa, które mamy codziennie pod stopami oraz pod kołami naszych samochodów, choć zmagania o lepsze nawierzchnie czy kolejne kilometry autostrad dalekie są od finału. Zmienia się także oblicze naszych miast, co bez funduszy unijnych przebiegałoby znacznie wolniej i być może w innym kształcie. My jednakże sięgniemy głębiej pod powierzchnię i wraz z Katarzyną Beretą, w jej eseistycznym artykule prześledzimy także zmiany innego rodzaju, te trudniej zauważalne, ale jednak postępujące, jakie dokonują się w naszych umysłach za sprawą urbanizacji, której Śląsk poddawany jest niemal od dwu setek lat. Miasto i wieś w nas – przypomina to trochę odwieczną walkę karnawału z postem i bywa trudne, podobnie jak delikatna równowaga postępu i tradycji, jeśli takie zjawisko w ogóle istnieje. To nie jedyny paradoks współczesności, na który chcielibyśmy zwrócić Państwa uwagę: starając się uciekać od różnych dylematów, dążymy do wolności... I szybko się uzależniamy. Okazuje się wtedy, iż podążając ku wolności, uciekamy od niej, co opisuje w swym artykule Barbara Kiczek.

Interesujących pozycji w tym numerze jest o wiele więcej, (m.in. poezja Henryka Cierniaka i Grzegorza Słobodnika, relacja Marka Mierzwiaka z benefisu Krysztyny Szaraniec oraz omówienie twórczości Antoniego Cygana autorstwa Witolda Kocińskiego), pozwolę sobie jednak wykorzystać tę odrobinę miejsca, jaka mi jeszcze pozostała, by pożegnać się z Państwem, w każdym razie w tym charakterze, w jakim gościłem w redakcji i na łamach „Śląska” w ciągu ostatnich miesięcy. Prowadzenie pisma przejmuje prof. Dariusz Rott i życzę Mu, aby uporał się z dotychczasowymi problemami miesięcznika i odniósł sukces, dostarczając naszym Czytelnikom lektury w doskonałym gatunku.

WITOLD TURANT
Redaktor prowadzący

SLASKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numeru

■ **ROBOTNICZY** wracają na nieszczęsny Stadion Śląski. Wrocław, żeby zbudować zaplecze treningowe, które ma powstać do końca tego roku za kwotę 84 mln zł.

■ **MIASTO** Chorzów, po wykonaniu ekspertyz i dodatkowych analiz przez Politechnikę Śląską, wydało pozwolenie na budowę dachu na Stadionie Śląskim. Z początkiem marca trwały negocjacje z Mostostalem, dotychczasowym generalnym wykonawcą w tej sprawie. Marszałek Arkadiusz Chęciński pozostaje niepoprawnym optymistą, wierzy w oddanie do użytku stadionu w 2016 roku.

■ **KOŚCIÓŁ** na istebniańskiej Stecówce pw. Matki Boskiej Fatimskiej, który spalił się 3 grudnia ubiegłego roku, zostanie odbudowany w całości w drewnie. Parafia w Stecówce jest jedną z najmniejszych w diecezji bielsko-żywieckiej, liczy trzytysiąc dusz.

■ **SKANSEN** się powiększy o nowe obiekty. W Górnośląskim Parku Etnograficznym pojawią się stawy, młyn, folusz a nawet archeoskansen ze średniowiecznymi budynkami. Skansen powiększy swój teren o 10 ha, z czego 6 ha to teren po dawnym ośrodku harcberskim. Rozbudowa obiektu przewidziana jest na najbliższe lata.

■ **POLACY** chcą się leczyć za Olzą u braci Czechów, bo taniej i porządniej. Czeskie kliniki kuszą polskich pacjentów m.in. tańszymi zabiegami. Ministerstwo Zdrowia opóźnia jednak – i to wbrew zaleceniom unijnym – wydanie przepisów dotyczących rozliczeń trans granicznych.

■ **ZMARŁ** główny świadek w aferze górniczej. Andrzej J. był szefem spółek górniczych i głównym świadkiem oskarżenia w jednej z największych spraw dotyczących korupcji w tej branży. Wiele wskazuje na to, że popełnił samobójstwo. Postępowanie w sprawie korupcji prowadzi katowicka prokuratura wraz z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Sprawa dotyczy nie tylko pracowników śląskich kopalń węgla kamiennego, ale także spółek: KGHM, Polska Miedz i Lubelski Węgiel Bogdanka.

■ **PREMIERA** spektaklu „Skazany na bluesa”, jaka miała miejsce 7 marca w Teatrze Śląskim w Katowicach okazała się artystycznym sukcesem. W rolę Ryszarda Riedla, wokalisty „Dzemu” wcielił się rewiacyjny Tomasz „Kowal” Kowalski, muzyk i aktorski naturyzczyk. Spektakl wyreżyserował Arkadiusz Jakubik. Bilety na „Skazane...” wyprzedano na dwa miesiące do przodu.

■ **BĘDZIE** film o Habsburgach. Janusz Majewski, reżyser m.in. „C.K. Dezerterów”, czy serialu „Królowa Bona”, pisze scenariusz filmu o polskich Habsburgach z Żywca.

■ **BILETY** z automatu. Czestochowa zamierza kupić i zainstalować w autobusach i tramwajach biletomaty, sprawdzone rozwiązanie u innych krajowych przewoźników. Pasażerowie nie będą już kupować biletów u kierowcy.

■ **PRZEPYCHANKI** koło Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Najpierw miało być likwidowane, teraz urząd marszałkowski proponuje miastu współfinansowanie placówki. Z czego? – pytają w Bytomiu.

■ **PIERWSZA** uchwałę po śląsku podjęto w Radzionkowie. Rzecz dotyczy nie byle jakiej uchwały, ale dokumentu ważnego – strategii

rozwoju miasta na lata 2014-2025, w której preambułę i streszczenie napisano w języku śląskim. Dokument jest dostępny w Biuletynie Informacji Publicznej, można w nim wyczytać m.in. „W Cidrach mo być kupa miejsc ftyorch niny ma gańby pokozacz gorolom”, a „tam kaj za Wilusia boł dwór Donnnersmarcków, a za komuny PGR, trza wybudować rynek”.

■ **GLUCHONIEMI** już dwa lata czekają na zmianę przepisów, które uniemożliwiają im wyrobienie prawa jazdy. Przepisy mówią bowiem teraz, że na sali egzaminacyjnej oprócz egzaminatorów i zdających nie może być osób trzecich, czyli w tym wypadku „żywego tłumacza”. Właściwie wystarczyłoby nawet nakładka na program egzaminujący, dzięki której na ekranie monitora pojawi się tłumacz pytań na język migowy (rozwiązanie to stosowane jest z powodzeniem przez telewizję). Widać brak dobrej woli – bo rozwiązania są aż dwa. I to proste.

■ **GMINA** Gorzyce przegrała spór sądowy ze swoimi mieszkańcami, Alfredem Widenką, właścicielem jednej z działek w Gorzyczkach. Działkę przez lata niszczyła woda z gminnej drogi zalewając ją nieustannie. Ale co z tego, że wygrał, że sprawiedliwość jest po jego stronie – skoro gmina nie wykonuje sądowego wyroku.

■ **BIELSKI** zamek doczekał się baldachimu ze szkła. Powstała w ten sposób nowa sala muzeum. Dziedziniec zamku książąt Sułkowskich przykryto szklanym dachem i Muzeum Historyczne zyskało dodatkową, efektowną przestrzeń wystawienniczą i koncertową.

■ **EKOLOGICZNE** myślą władze Pszczyny, więc wymarzyły sobie, że na rynek z dworca kolejowego będą kursowały elektrobusey. Zobaczmy co z tych urzędniczych planów wyjdzie w praktyce. Na razie kończony jest remont dworca PKP.

■ **KOLEJ** znów mać w rozkładach jazdy, co irytuje pasażerów. Zawieszonych zostanie kilka pociągów z Katowic do Krakowa – powód: zbyt wolny czas przejazdu. Natomiast ze względu na remont torów Kolejce Śląskie część połączeń z Katowic do Gliwic puszcza przez Bytom.

■ **SĄD** Okręgowy w Opolu uchylił 7 marca rejestrację Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej dokonaną w grudniu 2011 roku. Stowarzyszenie zrzesza aktualnie 1700 osób, a jego liderem jest Peter Długosz. Sprawa wróci ponownie do Sądu Rejonowego. Poseł PO Marek Plura zapowiedział próbę rejestracji SONŚ przed sądem w Katowicach.

■ **KONTROWERSJE** i zainteresowanie prokuratury budzi budowa Zagłębiowskiego Centrum Onkologii. Okazało się, że całość będzie kosztować 220 mln zł, choć plan inwestycyjny zakładał ok. 85 mln zł. Większość brakującej kwoty wyłożyła firma Climamedic, która buduje i wyposaży kompleks w niezbędny sprzęt medyczny. Potem szpital ma spłacić całą inwestycję przez 15 lat, w ratach. Ale jeśli spóźni się z płatnościami, Climamedic może przejąć ZCO. Czy o to chodzi?

■ **FILM** „Chce się żyć” Macieja Pieprzycy, kręcony na Śląsku, z rewelacyjną rolą Dawida Ogrodnika, był największym triumfem na tegorocznej Gali Orłów, czyli Polskich Nagród Filmowych w Teatrze Polskim w Warszawie.

■ **DOPIERO** minęło dziesięć dni od dymisji wojewody Zygmunta Łukaszczyka, 11 marca, nowy wojewoda Piotr Litwa wybrał się do Warszawy, by odebrać nominację z rąk premiera.

■ **JANOSCH**, czyli Horst Eckert rodem z Zabrze (opisanego w „Cholonku”), obecnie mieszkaniem Teneryfy, obchodził 11 marca 83 urodziny.

■ **PARK** Śląski, a właściwie spółka akcyjna Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku, to dla regionu bardzo drogi interes. W 2013 r. park miał ponad 6 mln zł strat, w 2012 r. ponad 5 mln zł, a w 2011 r. prawie 3 mln zł. W tym roku potrzebuje na inwestycje i działalność bieżącą 5 mln zł. A więc urząd marszałkowski będzie musiał zaciągnąć kolejny kredyt.

■ **MIESIĘCZNE** utrzymanie parku kosztuje 1,1 mln zł, z czego 400 tys. zł trafia na placę. A infrastruktura, w większości 60-letnia, jest mocno zaniedbana. Kłopotów nie brakuje. Park będzie musiał zwrócić miastu Chorzów 3,5 mln zł

za nielegalnie wycięte drzewa. I być może aż 16 mln zł za zajęta za PRL-u prawie 3 ha działkę, której właściciel oddał sprawę do sądu.

■ **NOWYM** członkiem zarządu województwa odpowiedzialnym za służbę zdrowia została Aleksandra Skowronek, która zapowiedziała, że najpierw sprawdzi finanse podległych sobie placówek.

■ **POWODZI** wiosną na pewno nie będzie, bo w lasach i na polach jest za sucho. To efekt łagodnej zimy. Strażacy i leśnicy, a także rolnicy z nadzieją patrzą w niebo, bo rozpoczęło się wypalanie traw, a wilgotność leśnej ściółki sięgała zaledwie 16 procent. Z kolei rolnicy, jak i ogrodnicy, obawiają się o niskie plony z powodu suszy właśnie.

■ **SŁOWACKI** gigant kupił ośrodek narciarski w wiecznie niedoinwestowanym Szczyrk. Zapowiedział, że wyłoży na niego 120 mln zł. Ma być jak na Chopoku w Jasnej.

■ **MOCNE** słowa o polskim górnictwie padły z ust Jerzego Markowskiego, byłego dyrektora kopalni i wiceministra gospodarki, w wywiadzie, jaki udzielił „Dziennikowi Zachodniemu”. „Nasze górnictwo jest kryminalne” – stwierdził – „Górnicy są rozgoryczeni coraz gorszą sytuacją w branży. Wyniki finansowe kopalń spadają, spółki zmniejszają zatrudnienie, a rząd nie ma pomysłu na górnictwo”.

■ **ZALOZYŁ** konta na portalu randkowym nie lubianym nauczycielkom – tak właśnie wyglądała zemsta 16-letniego ucznia z Jastrzębia Zdroju za złe oceny. Oczywiście, nieletniemu sprawcy grozi teraz umieszczenie w ośrodku wychowawczym.

■ **ILE** ryb pływa w Jeziorze Goczałkowskim? Dobre pytanie, bo nikt tego jeszcze nie wie. Choć chcą się tego podjąć naukowcy z Uniwersytetu Śląskiego, którzy do liczenia ryb użyją specjalnej łodzi z sonarem.

■ **ŚLĄSCY** bogacze „Forbesa” – na liście stu najbogatszych Polaków znalazło się kilku przedsiębiorców z naszego regionu: Tomasz Domogała, właściciel m.in. Famuru (jego majątek oszacowano na 2,1 mld zł), Jarosław Pawluk, producent podkładów kolejowych i rozjazdów (1,6 mld zł), Arkadiusz Muś, właściciel firmy Press-Glass (950 mln zł), Krzysztof Jędrzejewski, właściciel „Kopexu” (695 mln zł), Zyta i Andrzej Olszewscy, właściciele większościowego pakietu akcji giełdowej spółki „Farmacol” (680 mln zł), Teresa i Kazimierz Mokryszowie, twórcy spółki Mokate z Ustronia (530 mln zł). W województwie śląskim mieszka ponad 1600 milionerów, najwięcej w całym kraju.

■ **MOST** wytrzyma! 21 marca na legendarny już most w Mszanie wjechało 60 ciężarówek, każda ważyła 40 ton. I nic się nie zaważyło. Próba obciążeniowa mostu na autostradzie A1 zakończyła się sukcesem. Otwarcie 400-metrowego molocha zapowiedziano na czerwiec.

■ **ANGLIKI** są legalne – nie chodzi tu jednak o mieszkańców Zjednoczonego Królestwa, lecz produkowane tam wókielki posiadające kierownicę po złej – zdaniem wielu Europejczyków – stronie. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu stwierdził, że Polska będzie musiała zezwolić na rejestrację aut z kierownicą po prawej stronie. Ministerstwo zamierza, oczywiście, niezwłocznie – co pewno trochę potrwa – zmienić odpowiednie przepisy. Tymczasem ruch lewostronny obowiązuje w naszym kraju nie tylko na rondach, ale i w tunelu dla autobusów pod dworcem kolejowym w Katowicach, co wynika z ułożenia przystanków autobusowych.

■ **GLIWICE** budują konkurencję „Spodka”, halę dawniej zwaną „Podium” z własnych środków i kredytu, sądząc się równocześnie z marszałkiem o należne, zdaniem władz Gliwic, dofinansowanie, którego władze marszałkowskie odmówiły, choć gliwicka inwestycja znajdowała się na liście priorytetów Regionalnego Programu Operacyjnego.

■ **KAMIL** Stoch, niedawny mistrz olimpijski, odebrał w Planicy słynną Kryształową Kulę, czyli Puchar Świata. Towarzystwu mlm kibice i żona Ewa.

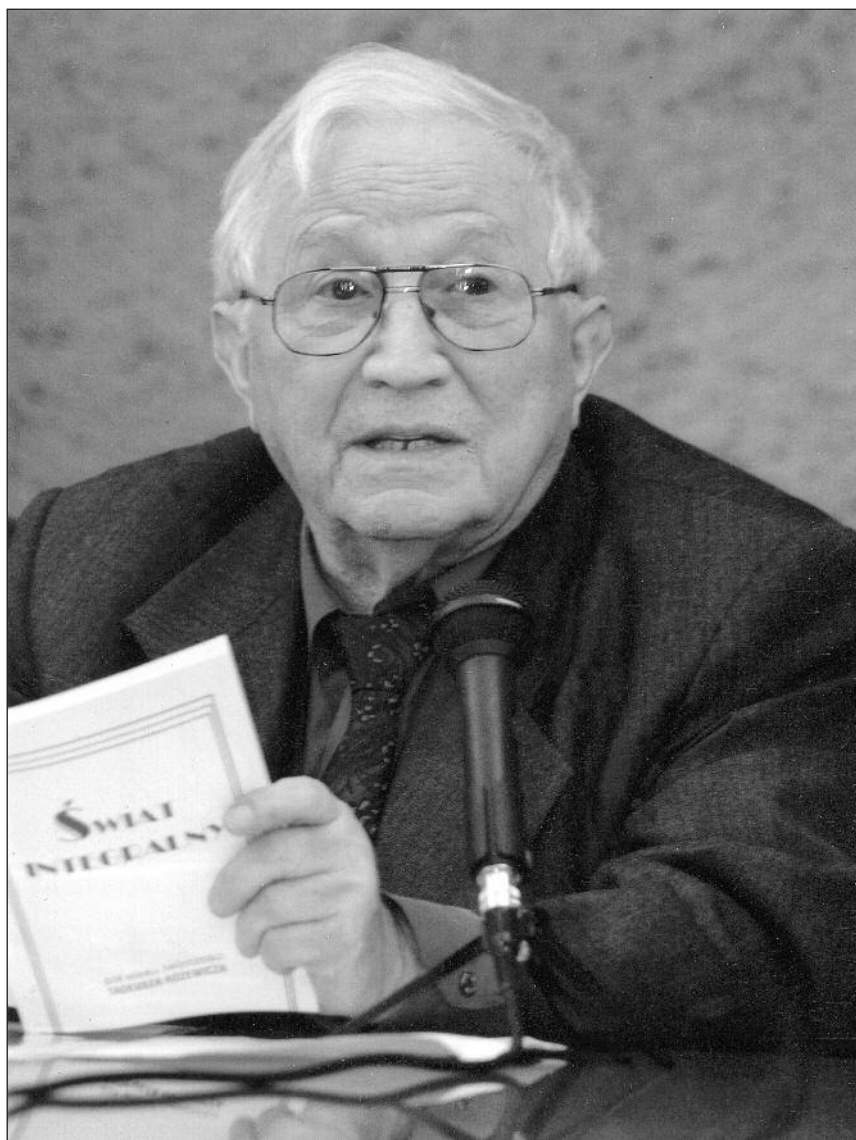
■ **STARA** Filharmonia z 1873 roku w nowej odsłonie. 28 marca, po trwającej cztery lata generalnej przebudowie, otwarto gmach Filharmonii Śląskiej w Katowicach.

Tadeusz Różewicz wydawał się nam wieczny. Był zawsze z nami: od pierwszej, szkolnej lektury po ostatnie tomy. Utożsamiał nie tylko naszą współczesność, ale cały wiek XX. Krytycy orzekli w dniu śmierci poety, że wraz z nim skończyło się definitywnie ubiegłe stulecie. Znamienne jest to, że słów tych – w tak ścisłym znaczeniu – nigdy nie odniesiono do Czesława Miłosa, Wisławy Szymborskiej, Zbigniewa Herberta czy innych twórców tzw. „nowoczesności”. Tylko Różewicz umiał oddać w swoim dziele to, co w wieku „ideologii”, „rewolucji”, „wojen” i „zagłady” było jego „immanencją”. Nazwał ją „niepokojem”. Źródłem „niepokoju” upatrywał zaś w doświadczeniach II wojny światowej. Po wojnie bowiem – jak trafnie zauważył Krzysztof Kłosiński – „nie nastaje pokój, ale nie-pokój”. O człowieka, cywilizację, świat.

„Różewicz zrodził się jako poeta Holocaustu – zjawiska wyjątkowego, i takim pozostał” – pisała Maria Janion. Holocaust, Szoa/Shoah czy Zagłada? Słowa znaczące podobnie, a jednak inaczej. „*Szoah* ma sens opisowy, określa fakt podstawowy, to, co się wydarzyło z Żydami w okresie II wojny światowej. *Holocaust* znaczy „ofiara” i zawiera określoną sugestię interpretacyjną: ewentualny wymiar teologiczny zagłady Żydów, przypuszczalne znaczenie *szoah*” – pisał Władysław Panas. I dodawał: „*Szoah* nie jest synonimem *holocaustu*. Jest natomiast synonimem polskiego słowa „zagłada”.

Pytając o zagładę/Zagładę w dziele Tadeusza Różewicza, mierzymy się z doświadczeniem całego wieku XX. Pisana minuskulą/majuskulą nie jest tą samą zagładą/Zagładą. Wielkość liter ma tutaj zasadnicze znaczenie. Wiemy z nowszych prac o twórcy *Niepokoju*, że zagłada/Zagłada jest w jego twórczości czymś organicznym, i mówić o jednej bez świadomości drugiej stanowi jakieś naruszenie interpretacji.

Słowo „zagłada” akcentuje całkowitość, nie zawęża do egzemplaryczności, odnosi się do liczby mnogiej. „Zagładzenie, zglądzenie, wyniszczenie, wniweczenie, zaguba, zaginięcie” – tak definiował je pierwszy leksykograf nowoczesności Samuel Bogumił Linde, dodając jeszcze silniejsze znaczenie słowa „zagładzić”: „zglądzić, wyglądzić, wygubić, zagubić, wytepić”. I wreszcie: „zagładzić z pamięci, wypuścić z pamięci, oddać niepamięci”.



Poeta Zagłady

MARIAN KISIEL

Nigdy nie jesteśmy przygotowani na pożegnanie. Nawet wiedząc, że nieuchronnie się zbliża, wyrzucamy je z pamięci, staramy się zakłąć czas, unieruchomić go. A kiedy – jak napisał Czesław Miłosz w *Piosence o końcu świata* – „staje się już”, trwamy w osłupieniu. I tak zawsze: nienauczeni ostatnim pożegnaniem, każde kolejne oddalamy od siebie.

Bliski temu rozumieniu był Jean Baudrillard, gdy pisał: „Niepamięć o Zagładzie sama stanowi jej część, gdyż jest ona w równym stopniu zagładą pamięci, historii, społeczeństwa itp”. Francuski filozof twierdził, że w naszych czasach, za sprawą telewizji, to, co się wydarzyło naprawdę (Holocaust) powtarza się, estetyzu-

je i traci swoje znaczenie. Nie ma różnicy między rzeczywistością zagłady a „zimnym światłem telewizji”, emitującej obrazy udające zagładę i „niebezpieczne dla wyobraźni”. Dowodził: „Zapomnienie, unicestwienie, które osiąga w ten sposób wymiar estetyczny – swój kres znajduje w stylu retro, wyniesione tutaj ostatecznie

do swego wymiaru masowego”. I kategoryzował: „Ten sam proces zapominania, likwidacji, eksterminacji, to samo unicestwienie pamięci i historii, to samo dośrodkowe i implozyczne promieniowanie, to samo pochłanianie bez możliwości jakiegokolwiek odbicia, ta sama czarna dziura jak Auschwitz”.

To, co Baudrillard zobaczył w „zimnym świetle telewizji”, Tadeusz Różewicz odkrył – wcześniej – w poezji estetyzującej, pisanej w „języku Muz”, widzianej w „tańcach poetyckich”, uprawianych przez „synów Apollina”. Tymczasem – pisał – „Taniec poezji zakończył swój żywot w okresie drugiej wojny światowej w obzrach koncentracyjnych, stworzonych przez systemy totalitarne”. Czyniąc Zagładę „punktem zero” świadomości nowoczesnej kultury, autor *Niepokoju* nie odsyłał jednak do Szoah czy Holocaustu. „Prześladowcy i ofiary, ślepo uderzający i ślepo się broniący, tkwią na równi w fatalnym błędnym kole. (...) Absurdalna rozrywka, jaką jest zabijanie, potwierdza otepiałe życie, na które ludzie się godzą” – notowali Max Horkheimer i Theodor W. Adorno. Podobnie sądził Różewicz, nie zawężając słówka „zagłada” do historii jednego narodu, ale nadając mu wymiar uniwersalny. Słowo „zagłada” jest bowiem samowrotne, odsyła do siebie. Stwarza siebie i siebie unicestwia. „Piszę, pisałem, będę pisał, będę układał słowa; już wiem, że tych słów będzie jeszcze więcej i nie będę już ich zatrzymywał, zabijał, niech wypływają, wychodzą ze mnie, niech płyną. (...) Będę tonął w słowach. Utoniemy w słowach” – notował poeta w *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego*.

Maria Janion napisała o Różewiczu: „On pilnuje słowa. Jest jego strażnikiem, jego się nie wyrzeka”. Modyfikując lekko to sformułowanie, bo przecież nie niwecząc jego sensu, powiedziałbym zatem: „Różewicz zrodził się jako poeta Zagłady (...) i takim pozostał”. Odrywamy się tu od „zjawiska wyjątkowego”, Holocaustu, by mocniej zaakcentować świadomość kresu kultury nowoczesnej.

* * *

Wyrastając z doświadczenia Zagłady, Tadeusz Różewicz uczynił je doświadczeniem poezji. Innej niż dotąd. Od samego początku mieli tego świadomość poeci starsi, jak Julian Przyboś, ale także rówieśnicy – co ciekawe – niebędący Polakami. Draho-
mir Šajtar – eseista i literaturoznawca czeski – pisał w roku 1948: „Domyślałem się, że w gronie żyjących

Różewicz jest niekwestionowanym poetą. Jest niskiego wzrostu, ciemnego oblicza, pewny siebie, ale nie uparty. Bystry, czujny, dowcipny. A jego poezja? Nie sądzę, żeby ją coś łączyło z liryką [Adama] Włodka, choć obaj są uczniami Przybosia. I Różewicz jest pełen czułości, emocji, nie-dopowiedzeń. Ale mocniej je akcentuje w walce z rzeczywistością, która go ekscytuje niczym demon. I on wyrasta z gruzów, ale jakby się na nim głębiej odcisnęły. Patrzy szeroko otwartymi oczyma. Widzenie Różewicza jest szersze, bardziej przenikliwe. Jest w nim coś typowo polskiego: odczuwa ból, by się od niego wyzwolić”.

Owo: „odczuwa ból, by się od niego wyzwolić” jest, prawdopodobnie, zwróceniem uwagi na pracę żaloby. Nie wikłając się w dodatkowe uzasadnienia, zapytajmy: Od czego chciał wyzwolić się Tadeusz Różewicz? Sądzę, że wychodząc z chaosu i rodząc się na gruzach, jak pisał Šajtar, twórca *Niepokoju* – jako poeta Zagłady – stanął przed najważniejszym być może sprawdzianem. Ponieważ doświadczenie historyczne postawiło go wobec konieczności egzystencjalnej, postanowił je pokazać w wymiarze nie jednostkowym, ale uniwersalnym. W sześciu – fundamentalnych – perspektywach: zagłady języka, zagłady tekstu, zagłady poezji. I na innym poziomie: zagłady biografii, zagłady historii, zagłady rzeczywistości.

Wszystko to jest „zagłada” napisana małą literą. Nie odnosi się do narodów ani państw, czy – jak by powiedzieli oświeceni – społeczeństw (Linde: „całkowite prawie społeczeństw zagłady”), ale do tego, co mieści się w planie wyrażania, ekspresji. Różewicz jest „strażnikiem słowa”, mówi Janion. Jeżeli tak, to „zagłada” z małej i wielkiej litery, najpierw dotyczyć będzie języka.

* * *

Dokonyuje się ona już w *Echach leśnych*. Najpierw na poziomie tytułu, który – przez bezpośrednie nawiązanie – jest w istocie rzeczy odrzuceniem frazy Stefana Żeromskiego. Szlacheckość jako status ustąpiła miejsca plebejskości, a szlachetność jako cnota zastąpiona została przez zdżyczenie (później widać to w dramacie *Do piachu*). „Na wojnie życie się bierze, życie się oddaje”. Etyka odarta z mitu, a codziennosc wojny bliższa ziemi, brudu niż nieba, patosu – chwieją posadami wartości.

Najpełniej, jak wiemy, wyraził to poeta w *Ocalonym*, wierszu o języku, który nie znajduje dla siebie uzasadnienia po Zagładzie. Odwołując się

do dwumianu nieodwracalnego, współrzędniąc wyrazy i pojęcia, Różewicz sięga do Księgi Rodzaju jako wysłowionej historii początku. Wysłowionej w tym sensie, że zapisano w niej porządek wartości, określono to, co stoi po stronie światła (dobra) i ciemności (zła). Opozycja ciemności/światła, literacko upowszechniona wcześniej, tutaj ma swoje okrutne zakotwiczenie. „Ocalony” jest anonimem, który może odzyskać swoją tożsamość dzięki językowi. Potrzebuje nauczyciela, który potrafiłby przywrócić go życiu. Bo „ma dwadzieścia cztery lata” i „ocalał”, „prowadzony na rzeź”.

To ocalenie jest najpierw sensualne, a nie pojęciowe czy racjonalne. „Niech mi przywróci wzrok słuch i mowę” odnosi się do poznania przez zmysły, które Arystoteles definiował jako pierwsze i definitywne. Ale także do **patrzenia**, którego granic nie znamy, **rytmu**, który odmienia formę poezji, **języka**, zmieniającego rzeczywistość. Dwie dekady po *Ocalonym* poeta napisał: „Dla mnie, młodego poety, który czcił wielkich poetów zmarłych i żywych jak bogów, za wcześniej stały się zrozumiałe słowa Mickiewicza o tym, że „trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę” (...). Zbyt wczesne zrozumienie takich „prawd” nie pomaga twórcy, który ma przed sobą lata terminowania w królestwie sztuki, dla którego „boskie” tajemnice formy są, być może, główną podniętą twórczości. Odwracałem się z lekceważeniem od źródeł estetycznych. Źródłem twórczości – myślałem – może być tylko etyka. Ale i jedno, i drugie źródło wyszło: „umył w nich ręce morderca”.

Język dotychczasowej poezji uległ zglądzeniu, rozbiciu, odrzuceniu, rozformowaniu. Stało się tak za sprawą Zagłady, która sprawiła, że nic po niej nie było już takie samo, jak przed nią. „Człowiek przecież został zamordowany w Oświęcimiu”. Jak wygląda „wnętrze poety współczesnego”? „Przecież to jest kosz na śmieci”. „Ja próbuję sadzić drzewa i kwiaty na «śmietnikach»”. Takie są odpowiedzi twórcy *Czerwonej rękawiczki*.

Tomasz Kunz zauważył, że język poezji Różewicza tym różni się od macierzystego kontekstu awangardowego, że jego ascetyczne „minimum” to – w istocie rzeczy – „minimum poetyckości”. „W tym znaczeniu jest to rzeczywiście anty-poezja. (...) Różewicz mówi (...), że poezja mieści się poza wszelką instytucją, poza konwencjonalnie pojmovaną formą („minimum wierszowości”) i poza językiem jako szczególnym, „najwyżej zorganizowanym”.

wanym” gatunkiem mowy („minimum swoistości językowej”).

Poeta wyznaje: „Kiedy piszę lirykę... To jest także takie krystalizowanie wiersza z jakichś materii nieczystych. Z nieczystych sytuacji, z nieczystych znaków. Z materii zabrudzonej krystalizuję wiersz”. Idzie o to, że autor *Form* nie afirmuje poetyckości jako nadorganizacji językowej, destrukuje jej sens. Destrukcja zaczyna się elementarnie – na poziomie leksykalnym, od frazeologizmu, by osiągnąć stopień wyższy w przestrzeni tekstualnej. Tekst Różewicza traci swoją formę, nie ma charakteru całościowego, obca jest mu holistyczna i teleologiczna struktura.

To, co zaprzeczone, „spustoszone”, rozsypane, „rozrzucone” i „złożyć się nie może”, stanowi o nowej jakości wyrażania. Wszystko zaczyna się od zrozumienia mechanizmu zagłady tradycyjnego języka, który nie może wypowiedzieć świata po Zagładzie. Tadeusz Różewicz twierdzi, że tradycyjna forma dlatego nie może utrzymać kształtu poezji, że kryje się w niej Nic. Nie ma więc całościowości przedstawień, jest ich procesualność; nie ma skończonego dzieła, jest „work in progress”.

To, co Tomasz Burek, a za nim Halina Filipowicz, nazwali „nieczystymi formami”, Marta Piwińska „techniką collage’u”, a sam poeta „materiami nieczystymi”, w istocie rzeczy zmierza do unieważnienia tradycyjnie pojmowanej poezji jako inteligibilnej formy wypowiedzi zorganizowanej swoiście, tj. wedle uprzednich kryteriów. Jest to poezja „agramatyczna”. Jak pisze Tomasz Kunz: „Literacka «agramatyczność» Różewiczowskiego tekstu domaga się równie «agramatycznej» lektury, która potrafi przystać na niekonkluzywność i wewnętrzną sprzeczność interpretacji i zdaje sprawę raczej z zawiedzionych nadziei na odnalezienie scalającej formuły, spójnej wykładni czy całościowego sensu niż z totalizującego aktu jednania sprzeczności w imię wiary w niezawodność sprawdzonych metodologicznych procedur”.

* * *

Zagłada języka, tekstu i poezji jest podstawą pytania o biografię, historię i rzeczywistość. Pojęcia nakładają się na siebie. Pisałem kiedyś: „Biografia jest (...) tym, co w życiu człowieka wyznacza miarę jego egzystencji. Bez biografii nie ma pamięci, nie ma «punktu zero» dla żyjącej ludzkości, nie ma wreszcie człowieka”. W wierszu *Zostawcie nas* poeta, wychodząc od własnej biografii i swojego pokole-

nia, mówił o manipulacjach biografiami, więc także o manipulacjach historią, którą się współtworzyło, a przynajmniej określało jej etyczny kształt. Konkluzja była kategoryczna: „zapomnijcie o nas / nie pytajcie o naszą młodość / zostawcie nas”.

Dlaczego: „zostawcie nas”? W *Przygotowaniu do wieczoru autorskiego* czytamy: „Chcę wam powiedzieć kilka słów o moim pokoleniu. «Pokolenie zarażone śmiercią.» Nie tylko zarażone, skonsumowane przez śmierć. Strawione przez śmierć. Żyjemy”. W tym wyznaniu śmierć gra pierwsze skrzypce. Żyjący są „strawieni przez śmierć”, a śmierć nie może być dobrym sprzymierzeńcem biografii, nie może kształtować historii, nie może także określać rzeczywistości. Gdzie jest pamięć o śmierci, jest rozsypująca się biografia, a rzeczywistość umyka. Być może rację ma Ryszard Nycz, kiedy pisze, że w poezji Różewicza „tym, co naprawdę realne (bo nie tylko rzeczywistość trwa, ale i niezmiennie oddziaływanie) nie jest ani rzeczywistość zewnętrzna, ani też wewnętrzna. Staje się nim natomiast **trauma** jako (...) **dotkliwy ślad nieobecności**”.

W nietytułowanym wierszu z *Plaskorzeźby*, który odsyła do Hölderlina, czytamy tajemnicze słowa: „lecz ten co przyszedł po Końcu / nie otrzymał odpowiedzi / [...] / odarty przez czarnego anioła / z wiary nadziei miłości / znalazłem się na drodze / pustej ciemnej / wyziębionej / [...] / zostawiłem przed sobą ślady stóp / i odszedłem w krainę bez światła”. Tomasz Kunz interpretował ten wiersz metafizycznie. Zobaczymy w nim jednak biografię indywidualną, historię „odarcia” i jej zmierzch, rzeczywistość jako „dotkliwy ślad nieobecności”, a wreszcie – „Koniec”, Zagładę.

Otwiera się wtedy wielkie porozumienie między wierszami wczesnymi, od *Niepokoju* poczynając, a *Plaskorzeźbą*, która wносиła do poezji Tadeusza Różewicza nową interpretacyjną jakość. I dalej idąc: również porozumienie między tymi zbiorami, od *Zawsze fragment*, które przywróciły Różewicza nie tylko refleksji literackiej, ale także wprowadziły go do globalnego namysłu nad końcem historii, człowieka, kultury.

Tom *Plaskorzeźba* inaczej ustawił Różewicza w dotychczasowych lekturach. Po blisko dziesięcioletnim milczeniu poety odżyły dawne odczytania, ale i pojawiły się nowe konteksty, których – z różnych przyczyn – jawnie nie można było (nie chciano) poruszać. Jednym z takich kontekstów, w usytuowaniu historycznym, filozoficznym, kulturowym,

była problematyka Zagłady. Najważniejsza problematyka dzieła Tadeusza Różewicza. Wciąż nie mamy do niej dobrych kluczy. Ale cytowany w urywku wiersz o tym, „co przyszedł po Końcu”, jest zbyt czytelny dla nas, by tego nie powiedzieć wprost.

Mowa jest w nim o Tadeuszu Różewiczu, tym z *Ocalonego*, który uniknął rzezi, doświadczył manipulacji biografiami, przeżył wielokrotną śmierć historii, odrzucił dotychczasową estetykę poezji, zaufał etyce, potem zrozumiał, że „i jedno, i drugie źródło wyschło”, chciał rozgonić szkoły i wyrzucić rekwizyty poezji dawnej. Przed nim był ktoś, kto będzie po nim? Napisał: „zostawiłem przed sobą ślady stóp / i odszedłem w krainę bez światła”.

Zagłada ma wiele imion. Jest ta, która zaczęła się wraz z II wojną światową. O niej poeta mówił wielokrotnie. I jest ta, która jest otwarciem na „krainę bez światła”. Czy uporał się z nią poeta? A czy upora się z nią nasza kultura? Jeżeli więc cytowany wiersz jest metafizyczny, to stoi za nim cała fizyka doświadczenia. I pointuje się w nim świat, a jest on światem człowieka, który zobaczył kres (Zagładę), zanim „znalazł się na drodze / pustej ciemnej / wyziębionej”.

* * *

„**P**o wojnie nad Polską przeszła kometą poezji. Głową komety był Różewicz, reszta to ogon” – pisał Stanisław Grochowiak. „Wszyscy mu coś zawdzięczamy, choć nie każdy z nas potrafi się do tego przyznać” – dodawała Wisława Szymborska. „Z Różewiczem nie łatwo się uporać, skoro jest on w każdym z nas (...). Każdy, kto mówi o nim, boryka się też ze sobą, i właśnie ta cecha jego poetyckiego dzieła, że umie ono przekazywać ważną treść skuteczniej, niż zrobiły to dyskurs, przesądza o miejscu tego poety w polskiej literaturze” – pointował Czesław Miłosz.

Długie życie Tadeusza Różewicza już się domknęło. Pisał przez siedemdziesiąt pięć lat. I pisze dla nas dalej, bowiem wciąż są słabo znane – lub zgoła nieznane – jego wiersze, szkice, wypowiedzi krytyczne i reportaże rozrzucone po gazetach. Jakie światło rzuci na jego twórczość zebrana korespondencja? Co ujawni jeszcze archiwum poety?

Wszyscy, którzyśmy go czytali, szanowali, kochali, wiemy: nie umarł wszystek, wciąż do nas przemawia. Z „krainy bez światła”.

Od redakcji:

Poniższy tekst po raz pierwszy został opublikowany na łamach „Śląska” w październiku 2010 roku. Przypominamy go wraz z „Postscriptum” napisanym przez autora w ostatnich dniach kwietnia 2014 roku.

Tadeusz Różewicz w „Śląsku”

STANISŁAW
GĘBALA

Tadeusz Różewicz obecny jest w „Śląsku” od pierwszego numeru, który wplótł się w listopadzie 1995 r. tak jakoś bardzo naturalnie w pasmo jubileuszowy Poety, ciągnące się nieprzerwanie od Jego 70. urodzin w r. 1991, zaakcentowanych szczególną uroczystością – nadaniem Mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego. Równy rok przed pojawieniem się na rynku naszego miesięcznika, z inicjatywy Tadeusza Kijonki została zorganizowana w Katowicach konferencja podsumowująca *pół wieku twórczości Tadeusza Różewicza* (jak informował podtytuł książki *Świat integralny*, zawierającej materiały z konferencji zredagowane przez Mariana Kisiela). Pamiętam tłok na sali (przypominającej dużą świetlicę czy stolówkę szkolną), który wprawił Znakomitego Gościa w lekki niepokój. Zamieniliśmy wtedy w przejściu parę słów na temat tego tłumu – Różewicz oczekiwał raczej spotkania bardziej kameralnego; jednak z upływem czasu jego nastroj zdawał się poprawiać.

Chyba wtedy jeszcze nie uświadomiłem sobie, że oto rodzi się **Teatr Różewicza** w dosłownym znaczeniu: jako teatr jednego aktora – Poety odprawiającego rytuał wieczoru autorskiego. A w uświadomieniu sobie tego na tamtej zatłoczonej sali, do której trzeba było się przepychać przez tłum młodzieży stojący także w drzwiach, przeszkodziło mi pewne przykre wspomnienie. Otóż chyba jeszcze w r. 1970 byłem w Rzeszowie po raz pierwszy na spotkaniu autorskim Tadeusza Różewicza. W małej salce Wojewódzkiego Domu Kultury (o ile pamiętam) zebrało się kilkanaście osób (raczej w wieku podeszłym), które zajęły dwa, może trzy, rzędy krzeseł. Gość omiół tę grupkę zmęczonym spojrzeniem, po czym wyjął gruby plik tzw. odbitek szrotkowych *Poezji zebranych*, które miały się ukazać w następnym roku w wydaniu wrocławskiego Ossolineum, i powiedział

coś w rodzaju: „To może ja... przeczytam... parę wierszy...”. Nie pamiętam czy wywiązała się później jakakolwiek dyskusja; pamiętam tylko Poetę siedzącego jakby za szklaną ścianą, od której głucho odbijały się czytane przez niego słowa. To spotkanie autorskie wpisało się w mojej pamięci w ówczesną doktrynę upowszechniania kultury. Jak bardzo schematy owego „upowszechniania” musiały uwierać wrażliwość Poety, zdałem sobie sprawę czytając tom esejów *Przygotowanie do wieczoru autorskiego* (wydany w tym samym, co *Poezje zebrane*, roku 1971).

Wspomnieniowa dygresja jest mi niezbędna dla podkreślenia wagi, jaką Tadeusz Różewicz przywiązuje do wieczoru poetyckiego – a ponieważ jest to najbardziej bezpośredni kontakt z czytelnikami, a zarazem najbardziej wiarygodny (tu się zawahałem; może tylko najszybszy?) sprawdzian oddziaływa-

nia poezji na czytelników, przygotowawanie do niego zawsze łączy się z poczuciem niepewności i niepokoju. Ale poza tym wieczór autorski jest jeszcze formą teatru – i ta jego funkcja zdaje się z biegiem lat zyskiwać na znaczeniu w oczach Różewicza, który zaczyna coraz bardziej (albo na nowo – wszak zdarzyło mu się to już w dzieciństwie) ulegać teatralnej magii.

I teraz już wracam do tematu: Różewicziana w pierwszym numerze „Śląska”. A są one nader różnorodne: najpierw informacja o uroczystym nadaniu Poecie 5. października 1995 roku tytułu Honorowego Obywatela Gliwic, w których upłynęło prawie dwadzieścia lat jego życia, pod informacją skrót przemówienia radnego Aleksandra Chłopka; na następnej stronie fragmenty wiersza *W ciszy tak drogo okupionej* oraz poematu *Acheron w samo południe*. Te dwa tytuły dzieli dystans 18. lat – pierwszy ukazał się w „sorealizycznym” jeszcze tomie *Czas który idzie* (1950), drugi w tomie *Twarz trzecia* (1968). „Po drodze” był Październik ’56, a w 1968 Marzec. Poezja Różewicza pokonywała ostre wiraże polityczne, pozostając w istocie sobą (pomijam obowiązkowe w „socu” figury retoryczne).

Kolejna dygresja (której usprawiedliwieniem niech będzie przynajmniej mój wiek, jeśli już Czytelnik odmówi jej związku z tematem niniejszego omówienia): jesienią roku 1965 albo wiosną 1966 (tylko ten rok szkolny przepracowałem jako nauczyciel języka polskiego w jednym z wrocławskich liceów ogólnokształcących) przygotowywałem moją uczennicę do konkursu recytatorskiego. Wybrała sobie (albo ja jej wybrałem, ignorując fakt, że podmiotem jest tu mężczyzna?) wiersz *W ciszy tak drogo okupionej*. Dziewczyna recytowała z emfazą:

Śnieg kołował nad czarnym miastem
leży na hałdach senny biały ptak
Cisza jest w naszym domu
w ciszy żona się śmieje
jej śmiech wypełnia ciszę
tak drogo okupioną

– a ja powtarzałem w nieskończoność: „Nie recytuj, po prostu zwyczajnie mów”. Po latach poczułem się ogromnie dowartościowany, czytając w książce idola mojej młodości Laurence’a Oliviera *Wyznania aktora*¹: „Od najwcześniejszych przedstawień szkolnych uczono mnie takiego sposobu traktowania wiersza, jaki wciąż uważam za właściwy, a mianowicie, żeby mówić wiersz tak samo, jak się mówi normalnie.”

W naszej poezji dopiero Tadeusz Różewicz definitywnie skończył z recytacją (nie mówiąc już o deklamacji).

Żeby uświadomić sobie, ile deklamatorstwa było jeszcze choćby w poezji awangardzistów, wystarczy posłuchać nagrań Juliana Przybosia wygłaszającego własne wiersze.

Na wspomnianej uroczystości w Gliwicach Różewicz oczywiście również czytał swoje utwory. Wśród materiałów drukowanych w „Śląsku” znajduje się zapis komentarza, którym przerywał lekturę słynnego *Dytyrambu na cześć teściowej*. Objaśniał np., skąd się wzięło określenie „ciele majowe”... *Wiecie, to dawniej były takie wyrażenia, jeszcze po moim tacie odziedziczone. Teraz tego się już w ogóle nie używa, to zanikło.* Po przeczytaniu kolejnych dwóch strof mówił... *Przepraszam, że będę komentował własny wiersz. [...] Komentuję, bo to są już archeologiczne wiersze... (śmiech)...* Na tym przykładzie wyraźnie widać, że komentarz (często humorystyczny) podkreśla dystans do własnego utworu. Temu samemu celowi służy samo głośne czytanie tekstów na takich spotkaniach. Nader ciekawe uwagi na ten temat zanotował po latach w *Posłowi* do wyboru wierszy wydanego w r. 2000² (które zresztą włączył do kolejnego wydania *Przygotowania do wieczoru autorskiego*):

[...] często na wieczorach autorskich skracam swoje wiersze, w czasie czytania opuszczam jakieś słowa, które mi dokuczają, opuszczam całe zwrotki... wiersz często wydaje mi się za długi... ogarnia mnie dziwne uczucie, że w „tym miejscu” skończyła się poezja, ale nie skończył się wiersz... więc milknę. Moje przeżycia na „spotkaniach” i „wieczorach poetyckich” są dla mnie zawsze przygodami.

W różewiczianach z pierwszego numeru „Śląska” znalazło się jeszcze wystąpienie Poety zatytułowane *Na dobre i złe zawsze z Wami*. Wspomnienia lat gliwickich zabarwione są w nim niepowtarzalnym poczuciem humoru, który ma wiele odcieni. Kapitalne są szkice portretowe ludzi, którzy odwiedzali mieszkanie państwa Różewiczów. Na niektórych z tych szkiców autor kładzie wyraziste akcenty kolorystyczne: „Przychodził też do nas do domu taki młody, różowy, przystojny chłopiec, nazywał się Tadeusz Kijonka. Bardzo sympatyczny, rumieńce miał piękne (śmiech).” Na innych utrwala słowa czy charakterystyczny sposób mówienia, np. pomrukiwania Kornela Filipowicza, który pomagał



Fot. Zbigniew Sawicz

cowy przynosi fragment poematu *recycling*, którego tytuł – ukształtowany graficznie na wzór słynnego ARBEIT MACHT FREI z bramy oświęcimskiego obozu zagłady – został nieco rozszerzony: *RECYCLING 1944-1994*; majowy – wstrząsające *kartki z gliwickiego dziennika* zatytułowane *Matka odchodzi*; wreszcie październikowy – poemat *Gawęda o spóźnionej miłości*, poświęcony pamięci Wandy Rutkiewicz.

Nakłonienie Tadeusza Różewicza do publikacji *Dziennika gliwickiego* (pod takim tytułem znalazł się w książce *Matka odchodzi*, wydanej w r. 1999, a w następnym uhonorowanej Nagrodą Nike) bez wątpienia zostanie uznane za jedną z największych zasług Tadeusza Kijonki wobec literatury polskiej. Dzienniki pisarzy w XX w. stały się niejako obowiązkowym dopełnieniem ich twórczości. Maski, do których zakładania zmuszała fikcja literacka,

w przeprowadzce do Gliwic: „Kornel był silny, wysoki... milczący. Dobry prozaik, znakomity, pamiętam jak żeśmy się zbliżali do Zygmunta Starego, mówił „no to tak, tak sobie wybrałeś, no tak...”. Poczucie humoru zapewne wydatnie pomogło Poezie-Jubilatorowi-Laureatowi przebyć owo ciągnące się latami pasmo uroczystości związanych z kolejnymi okrągłymi rocznicami urodzin, doktoratami honoris causa czy prestiżowymi nagrodami.

A już w dwa miesiące po ukazaniu się pierwszego numeru „Śląska” zaczął się rok, w którym wypadły 75. urodziny Tadeusza Różewicza. W numerze marcowym znalazły się dwa jego wiersze (*co dzieje się z gwiazdami* oraz * * * [*pieniądze albo życie*]), natomiast w październikowym wprawdzie tylko jeden (*w hotelu*), ale Jubilat został w nim uhonorowany w sposób wyjątkowy: publikacją wypowiedzi dwudziestu poetów na jego temat – w tej liczbie Czesława Miłosza (*Noty o Różewiczu*) i Wisławy Szymborskiej, której dwuzdaniową zaledwie ocenę znaczenia poezji Różewicza warto ciągle przypominać: „Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak wyglądałaby powojenna poezja polska bez wierszy Tadeusza Różewicza. Wszyscy mu coś zawdzięczamy, choć nie każdy z nas potrafi się do tego przyznać”.

W 1997 roku aż trzy numery „Śląska” zawierają teksty Różewicza. Mar-

ka, coraz bardziej raziły sztucznością i uwiierały twórców, którzy powszechnie zaczęli ulegać przemożnemu pragnieniu odsłonięcia własnych twarzy. Wypowiedzieć się w pełni – to był (i chyba jest nadal) nadrzędny imperatyw pisarza. Różewicz również wyraźnie formułuje go w swoim dzienniku:

Przez wszystkie lata pracy w Polsce jestem pozbawiony możliwości **pełnego** wypowiedzenia się; wynika to z tej przyczyny, że nie jestem, nie byłem nigdy związany z żadnym pismem. Dorywczo drukuję utwory i to jest wszystko; tymczasem potrzebny byłby mi jakiś bodaj niewielki kąt, w którym mógłbym się swobodnie (**zupełnie swobodnie**) wypowiedzieć. Redaktorzy zawsze byli do mnie jakoś dziwacznie ustosunkowani. Miałem i mam ciągle wiele ciekawych tematów, spraw, które chciałbym poruszać; ale gdzie? Nawet do prowincjonalnych tygodników nie mam dostępu.

Zacytowałem fragment notatki z 30 VI 57 w wersji opublikowanej w „Śląsku”. Warto dodać, że podkreślone przeze mnie słowa zniknęły w publikacji książkowej³, co wypaczyło w sposób istotny sens pierwszego zdania przytoczonego fragmentu. Uważny czytelnik znajdzie zapewne więcej różnic pomiędzy obu wersjami *Dziennika gliwickiego*, ale zostawmy ich tropienie przyszłym edytorom. Będą oni mieli w ogóle nie lada pro-

blem z ustalaniem tzw. kanonicznej wersji tekstów Tadeusza Różewicza, który mnoży warianty, wprowadzając do kolejnych publikacji swoich utworów mniejsze i większe zmiany. Myślę, że tłumaczą je słowa (już tu przytaczane) dotyczące „spotkań” czy „wieczorów poetyckich”; kolejne wydania książkowe są przecież także rodzajem spotkań z czytelnikami, a cała twórczość jest permanentnym przygotowaniem do wieczoru autorzkiego.

Zatrzymajmy jeszcze na chwilę wzrok na jednej z takich charakterystycznych zmian. Oto fragment wiersza *w hotelu*, w wersji drukowanej w „Śląsku”:

*wszystko dalekie
jak mgławica*

*jak staroświecka
miłość do kobiety*

*której usta
przysiadły na dłoni poety
i odleciały*

W wersji opublikowanej w tomie *zawsze fragment. recycling* zamiast słów „i odleciały” pojawił się oddzielny dwuwiersz:

*usta ulotne
jak skrzydło motyla⁴*

Na tym „spotkaniu” z czytelnikami Poeta zrezygnował z dosłowności prozaizmu („odleciały”) wprowadzając epitet i porównanie mające ogromną tradycję literacką, liczoną w stuleciach.

Jakoś opornie idzie mi ten przegląd... Spowalniają go również zdjęcia, towarzyszące prawie każdemu tekstowi. Wpatruję się w twarz Poety – najczęściej uśmiechniętą – dwudziestoparol-, czterdziesto- i osiemdziesięcioletniego, twarze jego Matki, Teściowej, Żony... Ale i z wierszy wyłaniają się wyraziste twarze – bardziej i mniej znane: Wandy Rutkiewicz, prof. Czesława Hernasa... *Totentanz* – wierszyk barokowy, drukowany w kwietniowym numerze z 1998 r., dedykował autor prof. Hernasowi „z uśmiechem i sympatią...”:

*dostałem dziś w nocy
zaproszenie do tańca
hop! dziś dziś!*

.....

*życie moje było kulawe
teraz śmierć prosi na zabawę
hop! dziś dziś!*

.....

*siedzę przy stole z własnym
szkieletem*

*i patrzę na czarną niezglębioną
Lete
hop! dziś dziś!*

W korowód *Totentanz* Profesor Czesław Hernas został wciągnięty 11. grudnia 2003 roku.

W majowym numerze ukazała się III część *recyclingu*, zatytułowana *Mięso*, wraz z postscriptum oraz wierszem *Unde malum?*, z którym w tomie *to* polemizował Czesław Miłosz – na słowa Tadeusza Różewicza, wzięte za motto:

„Skąd się bierze zło?
jak to skąd

z człowieka
zawsze z człowieka
i tylko z człowieka”
– odpowiadając:
Niestety panie Tadeuszu
dobra natura i zły człowiek
to romantyczny wynalazek
gdyby tak było
można by wytrzymać
ukazuje pan w ten sposób głębię
swego optymizmu⁵

Już w napisanych w 1996 r. *Notach o Różewiczu* Miłosz stwierdzał kategorycznie:

Wbrew pozorom, odnawiał wzór poety romantycznego, rozpiętego pomiędzy utopią przeszłości i utopią przyszłości. Ludzie dawniej byli według niego szczęśliwsi, bo żyli w przymierzu z Bogiem. Świat kiedyś był w porządku, ale „wyszedł z trybów”, i Bóg znikł, rozwiął się, znikło Niebo i Piekło.

No cóż, że Miłosz ma rację, nie trzeba długo przekonywać; wystarczy przypomnieć początek znanego wiersza *Drzewo*, z tomu *Srebrny kłos*:

Byli szczęśliwi
dawniejsi poeci
Świat był jak drzewo
a oni jak dzieci

Przypomniałem wiersz sprzed przeszło pół wieku, ale redakcja „Śląska” robiła to również od czasu do czasu, przypominając z rocznicowych okazji nawet bardzo wczesne utwory Tadeusza Różewicza. Tak było w numerze styczniowym (rocznica wyzwolenia obozu oświęcimskiego) z 1999 r., w którym znalazły się wiersze *Rzeź chłopców* i *Warkoczyk* (oba napisane jeszcze w r. 1948) oraz *Widziałem cudowne monstrum* – utwór kończący się słynną retrospekcją:

*a ja młodszy od siebie
o dwadzieścia siedem lat
idę na ulicę Krupniczą
po drodze kupuję*

*herbatę cukier
bulki i serdelki*

*w domu czeka na mnie
zadanie:*

Stworzyć poezję po Oświęcimiu

To zadanie zajęło Różewiczowi całe życie po wojnie – czyli już 65 lat; choć temat wojny bynajmniej nie zdominował jego twórczości, dominuje w niej raczej baczna obserwacja i diagnozowanie najaktualniejszej teraźniejszości, która wprawia go w zaniepokojenie, ale i równocześnie w rozbawienie. Trudno tu zresztą wytyczyć jakąś wyraźną granicę pomiędzy tymi, wydawałoby się, skrajnie różnymi odczuciami, które już dawno zlały się w jedno, określane jako poczucie absurdu. Twórczość Tadeusza Różewicza jest nim przesiąknięta w podobnym stopniu, jak dzieła Witkacego, Gombrowicza czy Mrożka – z tą jednak różnicą, że odnajdujemy w niej obecny jeszcze (a już raczej niespotykany u tamtych) Prusowski dobroduszny humor.

Takim humorem przesycony jest wiersz *do wnuczki na 18 urodziny*, który drukowany był w majowym numerze „Śląska” z 2000 r. Redakcja pod tekstem umieściła lakoniczną informację, iż utwór znajdzie się w tomie *Uśmiechy*, przygotowywanym w Wydawnictwie Dolnośląskim. III (przejrzane i poszerzone) wydanie *Uśmiechów* istotnie ukazało się w tym samym roku, spotykając się w księgarniach z wydanym równocześnie wyborem wierszy zatytułowanym *Niepokój*. Te dwa tytuły jakby wyznaczyły na nowo krańcowe punkty na skali emocjonalnej Poety.

80. urodziny Tadeusza Różewicza w numerze październikowym z 2001 r. „Śląsk” zaakcentował publikacją długiego wiersza *nic o Tobie nie wiem*, który w tomie *szara strefa* uległ znacznym skrótom. Skreślona została między innymi strofa, która pobrzmiwała jakby ciemniejszym echem cytowanego tu fragmentu poematu *W ciszy tak drogo okupionej*:

*śnieg biały kruk kołuje
coraz ciemniejszy opada na miasto
czarny kruk
świerki za oknem*

Jeszcze raz – z żalem – muszę pozostawić takie porównania edytorom, ale nie mogę przetrwać pokusy zestawienia dwóch wersji jednego niewielkiego fragmentu (najpierw wersja ze „Śląska”, a później z tomu *szara strefa*):

*w tym mieście
po którym chodzi biały niedźwiedź*

w którym słyszę śpiew chłopaka
z Sosnowca
la donna é mobile

a więc to było w Polsce – Nigdzie
gdzie żyją białe niedźwiedzie
które piją wódkę
a kiedy podnoszą paszczę
widzimy fioletową uśmiechniętą
jak denaturat twarz
rodaka

w tym mieście
po którym chodzi biały niedźwiedź
w którym słyszę śpiew Kiepury
la donna é mobile
gdzie żyją białe niedźwiedzie
które piją wódkę i mówią „o kurwa!”
a kiedy podnoszą paszczę
widzimy fioletową jak denaturat
twarz
rodaka⁶

Wymarzony materiał do analizy na zajęciach polonistycznych! Zaczniemy od „chłopaka z Sosnowca” – tak przed wojną (i jeszcze jakiś czas po) poufale nazywano Jana Kiepurę (ale Poeta mógł zasadnie obawiać się, że w latach dwutysięcznych wielu czytelników mogło już nie wiedzieć, o jakiego to „chłopaka z Sosnowca” chodzi). Idźmy dalej: „W Polsce (czyli nigdzie” to, oczywiście, z *Króla Ūbu* Alfreda Jarry⁷. Dalej: Wykrzyknienie „o...”, zawierające najpopularniejsze pol-

skie słowo (którego brak w projekcie naszej konstytucji Sławomir Mrozek uznał przed laty, gdy ów projekt był jeszcze dyskutowany, za jego istotną słabość⁸) nie wymaga uczonego komentarza. Najbardziej intrygująca jest dla mnie ta fioletowa uśmiechnięta „jak denaturat twarz / rodaka”. Że „fioletowa jak denaturat”, to oczywiste – ale „uśmiechnięta jak denaturat”? Niezręczność składniowa? Niemożliwe... Tak znakomitemu mistrzowi takie niezręczności się nie zdarzają. Wysłałam swoją pamięć i odnajduję w niej obraz butelki denaturatu z charakterystyczną nalepką. Czy nie było na niej przypadkiem rysunku trupiej czaszki ze skrzyżowanymi pod nią piszczelami? (W tym momencie przypomniałam sobie „ludową” nazwę tego trunku – prawie poetycką peryfrazę, która była w powszechnym użyciu: „jagodzianka na kościach” – i już nabrałam pewności, że pamięć mnie nie zawodzi.) Czaszka na rysunku (jak każda czaszka) była uśmiechnięta. Ale u autora tomu *Uśmiechy* to słowo nie może budzić makabrycznych skojarzeń; uśmiech to otwarcie na drugiego człowieka, zaproszenie do rozmowy...

To jeszcze interpretacja czy już nadinterpretacja, czyli spekulacja? Warto o tym porozmawiać ze studentami polonistyki na zajęciach. Tymczasem sięgam po kolejny tekst Ta-

deusza Różewicza z tego samego numeru, fragmenty *Dziennika z partyzantki*. Na początku zdjęcie autora z lata 1944, jak informuje podpis. 23-letni (niespełna) kapral podchorąży „Satyr” patrzy na jakiś rozłożony na stoliku arkusz papieru (mapę?). Jest w mundurze. Przy pasie niewielka kabura. Fragmenty *Dziennika* mają podtytuł *Akcja „Burza”*, ale dramatyczne zdarzenia raczej omijają miejsce postojów oddziału „Satyra”. Oto skrót notatki z 4. sierpnia 1944 – dnia śmierci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (o czym autor, rzecz jasna, nie mógł wiedzieć):

Przez kilka dni w pamiętniku białe karty. U nas nic się nie dzieje. Deszcz pada i pada, bębni w obwisłe płótno namiotu. Leżymy na barlogu, gniecimy wszy. Słuchamy radia – są 100 km od Krakowa – w Warszawie walki. Ciekawe, co będzie dalej. [...] Jestem bardzo ciekawy, jak ułoży się przyszłość. Dwa lata będę chciał poświęcić na opanowanie języków, oczywiście wykorzystam to do budowania podstaw życia. [...] Zawsze można znaleźć miejsce na Ziemi, swoje miejsce. Trzeba życie pogłębiać, gdyż nie ma nic poza życiem. Dlatego właśnie trzeba je pogłębiać i musi być ono piękne. Istnieje we mnie głęboka wiara, że Bóg dla jednego człowieka może zmienić oblicze świata i bieg wypadków.

Fot. Zbigniew Sawicz



Był z nami od pierwszego numeru „Śląska” do lat ostatnich. Gościł w naszej redakcji, wspierał stałą współpracę. Miało także prestiżowe znaczenie, że Tadeusz Różewicz przyjął tytuł honorowego członka Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego – wydawcy „Śląska”.

Redakcja i GTL byli współnioskodawcami przyznania Poecie tytułu *doctora honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego. Na zdjęciu zespół redakcji podczas spotkania z Tadeuszem Różewiczem w październiku 2006 roku. Od lewej: Feliks Netz, Bogdan Widera, Tadeusz Kijonka, Tadeusz Różewicz, Barbara Gruszka-Zych, Wojciech Łuka, Marian Kisiel i Wiesława Konopelska.

W znieruchomiałych, zastygłych w grozie dniach wojny wyobraźnia Poety wybiega w przyszłość i buduje obraz przyszłego pięknego życia. Czy można się dziwić, że tak wielu ludzi wojnie tak łatwo uwierzyło w propagandową utopię?

Kolejny plik *Kartek wydartych z „dziennika gliwickiego”* zawiera lutowy numer z 2004 r. (Wcześniej, w numerze styczniowym z r. 2003, znalazły się jeszcze dwa wiersze – *budujemy mosty* i *strachy na Lachy*, które później weszły do tomu *Wyjście*.) Plik zawiera zapiski z lat 1954 i 1955. Od wojny minęła prawie dekada, mimo to już pierwsza notatka (z 24.11.1954) zaczyna się słowami: „Umarli są ciągle ze mną”, a ostatnia zawiera opis egzekucji „Wrony”, który jest pierwowzorem wstrząsającej finałowej sceny sztuki *Do piachu*. Bez śladu zniknął młodzieńczy (nazwijmy go tak) optymizm filozoficzny *Dziennika z partyzantki*. Trudno wprost uwierzyć, że ostatnie zdanie z poprzedniego cytatu napisał ten sam autor, który 10. 05. 1955 snuł następującą myśl:

Świat zewnętrzny, natura; to wszystko tylko otacza wnętrze, które jest puste. Ale ta pustka ma swoją postać – występuje jakby pod postacią głodu, pragnienia, oczekiwania. Jest to ciągle oczekiwanie, od lat. Czy jest pokarm, który wreszcie nakarmi głód człowieka naszego czasu? (...)

Czy można czegoś oczekiwać od świata? Nie. Chcesz przychodzić, chcesz odchodzić. Jakże się mylą ci, którzy swoje siły czerpią z przekonania, że są konieczni. Nie ma niezastąpionych. Nie dać się wciągać w pozorne życie. Przez wszystkie lata, odkąd zacząłem myśleć, od młodości do dnia dzisiejszego, czekałem i będę czekał. Tylko w dzieciństwie było spełnienie. I nie było wielkiego czekania. Człowiek jest „naturze” zupełnie obojętny. Rozmawia z „naturą” jak dziecko z zabawką.

Znów (z paskudnej zawodowej pedanterii) zerkam do wersji drukowanej w *Utworach zebranych*⁹ i znajduję w niej drobną na pozór korektę: zamiast „zabawki” jest „ściana” – ostatnie zdanie brzmi: „Rozmawia z naturą jak dziecko ze ścianą”. Nie będę się rozwodził na temat złowrogich konotacji słowa „ściana” w twórczości Tadeusza Różewicza, sięgnę natomiast jeszcze po fragmenty notatki z 16.07.1955:

Nigdy się nie wyrzeknę stworzenia nowej poezji. Przeżyłem koniec jednego ze światów – świata, w którym żyłem jako dziecko i jako młodzieniec. Na moich oczach został zamordowany człowiek. Nigdy nie zgodzę się na to, aby grzęznąć w śmietniku papie-

rowych słów; wiele wierszy to tylko grzechy, to słowa. Musi powstać nowa poezja.

[...] Nasz język musi najściślej przylegać do naszych wzruszeń, do obrazu naszego świata. [...]

Wypełnia się mój czas. Bez względu na to, co czynię. W ciszy. Czy i przez kogo zostanie ona przerwana? Odchodzą dni podobne do siebie jak zapalki w pudełku.

Gdy czytam te ostatnie słowa, przenika mnie dreszcz. Wypowiada je Poeta, Filozof, Człowiek (po prostu), który wyzbył się złudzeń, że Bóg dla niego jednego „może zmienić oblicze świata i bieg wypadków”. Który wie, że jego czas może się wypełnić i bez niego. W ciszy. Cisza pochłonie i unicestwi jego (moje, twoje) istnienie, po którym nie pozostanie żaden ślad. „Cała twórczość to dążenie do najpełniejszego wyrażenia, do wypełnienia własnego kształtu” – czytamy w następnej notatce (z 20.07.1955).

W październikowym numerze z 2004 r. znalazł się kolejny wiersz z tomu *Wyjście* (który wyszedł w tym samym roku) – *Der Zauberer Czarodziej*. Tytułowy Czarodziej dokonał w połowie lat 90. ubiegłego wieku nie lada sztuczki:

Christo spowił Reichstag
zużywając tysiące metrów
srebrzystej cudownej
tkaniny

pierwszy zniknął portal
z napisem
„Dem deutschen Volke”
„Niemieckiemu narodowi”

Owijanie Reichstagu to symbol zacierania (wymazywania) pamięci historycznej:

Reichstag owinięty w srebrne suknie
zapomniał o swojej historii

Oczywiście Różewicz jest (zawsze był) przeciw takim zabiegom; zdiera „srebrne suknie”, ożywia i rozjątrza pamięć:

dywanowe naloty zamieniły
miasto w gruz i popioły
Adelheid hat Supp gekocht
die ganze Woch
auf einen Knoch

Współcześni Niemcy, syci i pławiący się w dobrobycie, chyba już zapomnieli ten wierszyk z czasu powojennego głodu. Polski Poeta coraz częściej inkrustuje swoje utwory niemieckimi cytatami, a uczeni egzegeci coraz częściej piszą o „niemieckich intertekstach” czy „niemieckiej mitologii” w jego twórczości¹.

Pora zmierzać ku końcowi tego przeglądu, który chyba nadmiernie obciążylem dygresjami. W majowym numerze z 2005 r. opublikowany został tekst reprezentujący jeden z najważniejszych kręgów zainteresowań Poety: *Edward Munch „In der Schenke”*. Różewicz wyznał przed laty (na *Kartkach wydartych z „dziennika gliwickiego”*): „Malarstwo przyciąga mnie z siłą magiczną, rosnącą z latami.”¹ O malarstwie i czasie spędzonym (w okresie studenckim i później) w pracowniach malarzy zapisał wiele kart. Nie mógł również oprzeć się pokusie opisu ulubionego obrazu – tego właśnie, wymienionego w tytule. Nie będę streszczał opisu obrazu, nazwanego przez Poetę „malowanym opowiadaniem” o pijaczku staczającym się na dno; przytoczę tylko pytanie stanowiące wariant tamtego, sformułowanego po łacinie, które sprowokowało do polemiki Miłosza – *unde malum?*: „Gdzie jest Zło? Czy w małym pijaczku czy w dzielnym szynkarzu czy w pustych butelkach czy w „losie”.”

Ostatnie (jak dotąd) teksty Tadeusza Różewicza, opublikowane w „Śląsku”, to dwa wiersze. Jeden należy do najbardziej znanych, przedrukowanych wielokrotnie w podręcznikach szkolnych – * * * (*oblicze ojczyzny*). Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach z okazji 15. rocznicy swego powstania, wraz z redakcją „Śląska”, ogłosiło konkurs na esej i utwór poetycki nawiązujący do tego utworu. Wyniki podano w numerze styczniowym z 2008 r. Drugi wiersz (*Kobieta w oknie*) – nowy, napisany w styczniu 2008 r. – został opublikowany w numerze kwietniowym wraz z informacją, pióra Marii Dębicz, o *Europejskiej Nagrodzie Literackiej 2008 dla Tadeusza Różewicza*.

Obok informacji zdjęcie Poety. Promiennie uśmiechniętego. Świadomego, że zdołał się najpełniej wyrazić – wypełnić własny kształt.

¹ Polskie wydanie w przekładzie Piotra Szymanowskiego: Warszawa 1988 (cyt. ze s. 112).

² Tadeusz Różewicz, *Niepokój. Wybór wierszy*. Warszawa 2000 (cyt. wydanie: Tadeusz Różewicz, *Proza 3*. Wrocław 2004, s. 137).

³ Por. Tadeusz Różewicz, *Matka odchodzi*. Wrocław 1999, s. 97.

⁴ Tadeusz Różewicz, *Poezja 4*. Wrocław 2006, s. 24.

⁵ Czesław Miłosz, *to*. Kraków 2000, s. 76.

⁶ Tadeusz Różewicz, *Poezja 4*, s. 135.

⁷ Jerzy Jarzębski w tytule jednej ze swych książek niejako odwrócił to powiedzenie: *W Polsce czyli wszędzie* (Warszawa 1992).

⁸ Por. felieton *Taniec rytualny* (*Dziennik powrotu*. Warszawa 2000, s. 94).

⁹ *Proza 3*, s. 318.

¹ Por. materiały z książki *„Nasz nauczyciel Tadeusza Różewicz i Niemcy*, red. Andreas Ławaty, Marek Zybura. Kraków 2003.

¹ *Proza 3*, s. 325.

To ostatnie zdanie brzmi jak zakończenie nekrologu. Niestety, przyszedł moment, w którym my – czytelnicy – musimy pożegnać się z Tadeuszem Różewiczem. On z nami żegnał się już od lat. „Już tylko się żegnaj” – powiedział Hannie Krall w październiku 2012 roku w Konstancinie, ale pożegnania zaczęły się dużo wcześniej. Jednym z najbardziej przejmujących była rozmowa z Matką w wierszu bez tytułu z roku 1989, dedykowanym *pamięci Konstantego Puzyny*, który znalazł się w tomie *Plaskorzeźba* (1991). Prawie każdy z następnych zamykał jakiś wiersz-pożegnaniem. Tom *zawsze fragment* kończy utwór *czego byłoby żal* z trzema odpowiedziami na to trzykrotnie powtórzone pytanie; początek trzeciej, ujęty w cudzysłów, jest przejmujący w swojej prostocie: „całego życia”. Te strofy tchną spokojem pogodnej zgody na to, co nieuchronne; ale poprzedza je wiersz bez tytułu (*wicher dobijał się do okien*), poetycki zapis koszmaru sennego, który jest dokładnie datowany: *noc z 16 na 17 stycznia 1992 r.* Tu już parokszym strachu przed śmiercią pojawia się w zwierzęcym kształcie:

zwierzę
mutant hieny i lisa
z pyskiem przy ziemi
wężąc
sunęło w gęstniejącą ciemność

na granicy snu
i jawy
pomyślałem
poczułem
że to ja jestem
biegnę w stronę cmentarza
do grobu

z brzuchem pełnym kamieni
ciemne zwierzę
pod czerwonym niebem
biegnę coraz szybciej
choć wiem że tam czeka
na mnie dół
„Zwierzęcy strach”, jak potocznie się mówi, można próbować przezwyciężać na różne sposoby. Jednym z nich może być nawet banalny *savoir-vivre*; rozróżnienie, co „wypada” a co „nie wypada”. W *drugiej*

tajemnicy poety (z tomu *szara strefa*) czytamy:

żony też nie wypada budzić
żeby jej powiedzieć
że boję się śmierci

Błogosławiony *savoir-vivre!* Wystarczy powiedzieć sobie „nie wypada”, żeby uśmierzyć strach. Wystarczy? To dlatego nas straszy ten złowrogi dźwięk „ż”, który

Postscriptum

zaczyna każdy wers i jeszcze dodatkowo pojawia się w wersie pierwszym, w zestawieniu wyrazów wyraźnie go wzmacniającym i wydłużającym („żony też”)?

A skoro już wsłuchujemy się w brzmienia poszczególnych głosek... Czy nie budzi w nas (podszytego grozą) wstrętu samo słowo „śmierć”? Jakby z obu stron dotknięte procesem gnicia, zamieniające się w maź miękkich spółgłosek – „ś”, „ć”, a na dodatek jeszcze to zmiękczone „mi” – i nagle twarde „r”, jak ostry kawałek kości, sterczący z mazi.

Czy poezja może oswoić śmierć, zneutralizować nasz strach? Tadeusz Różewicz zdawał się w to (coraz bardziej z upływem lat) wątpić:

pośrednicząc
między górą i dołem
wykonuję od wielu lat
ten zawód
do którego zostałem wybrany i
powołany
„a który nazywa się poezją”

odałem się z ociąganiem
„tej najosobliwszej
ze wszystkich czynności ludzkich,
jedynej, co służy
uświadamianiu śmierci”

rzec to trochę wstydliva
być może nie nadawałem się
do niczego – byłem do niczego –
miałem dwie lewe ręce

do dziś piszę tylko ręką
ręką stawiam litery
oszczędzam na kropkach

moja ręka lewa
to mój anioł lewy
ten co nie wiedział
ten co odlatuje

moja ręka prawa
to tylko narzędzie pracy
służy do ocierania potu z czoła
pisania wierszy

na obrzeżach poezji
pod pokrywką śmierci
sentymentalnej
kipi życie i poezja
pełna smaku
dobrego i złego

wietrzeje sól ziemi
słowa
stają się bezdomne

1997

To końcowa część wiersza *na obrzeżach poezji*, zamykającego tom *zawsze fragment. recycling*. Czyje są przytoczone słowa? Z kim polemizuje Poeta? Odpowiedź na te pytania pozostawiam dociekliwości uczonych egzegetów.

I namawiam ich do podjęcia wielkiego tematu: Śmierć w twórczości Tadeusza Różewicza – któremu tak niedawno powiedzieliśmy „dobranoc”, żegnając Go tak samo, jak On żegnał już w lipcu 2000 roku swój świat w wierszu *deszcz w Krakowie*, zamykający tom *nożyk profesora*:

deszcz deszcz deszcz
w Krakowie
czytam Norwida
słodko jest zasnąć
słodziej być z kamienia

dobranoc moi mili
dobranoc
żywi i umarli poeci
dobranoc poezjo

STANISŁAW GĘBALA
kwiecień/maj 2014 roku



Tadeusz Różewicz w Konstancinie, 12 października 2012 roku. Zdjęcie wykonał Janusz Drzewucki.

Z WOJCIECHEM KUŚPIKIEM, prezesem Zarządu Polskiego Towarzystwa Wspierania Przedsiębiorczości, inicjatorem Europejskiego Kongresu Gospodarczego rozmawia JÓZEF WYCISK



Przez Katowice do Unii Europejskiej



– Kiedy Europejski Kongres Gospodarczy startował, zadawaliśmy pytanie, jak się będzie miał do Forum w Krynicy, które wówczas było najważniejszą imprezą biznesową w Polsce. Niektórzy drwili z pomysłu i kpiąco porównywali pomysł kongresu do spotkania w Davos. Dzisiaj okazuje się EKG jest już coraz bliżej Forum w Davos...

– Jeszcze nam daleko, ale niewątpliwie Europejski Kongres Gospodarczy

stał się już ważną debatą w Europie. To już nie jest tak, że jesteśmy ważną imprezą na Śląsku, czy w Polsce. Jest to ważny projekt dla Europy, zauważany w Parlamencie Europejskim, czy w Komisji Europejskiej. Naszym celem od zawsze było to, aby Europejski Kongres Gospodarczy odgrywał istotną rolę, przynajmniej w Europie Centralnej, choć po cichu aspirowaliśmy do tego, aby stał się ważnym spotkaniem w ca-

łej Unii Europejskiej. I to rzeczywiście się udało.

– Co stanowi o wyjątkowości tej imprezy?

– Składa się na to naprawdę wiele elementów. Po pierwsze – dobrze dobrane tematy, dobra grupa panelistów, dobra współpraca z władzami regionalnymi, czy też szerzej – zaangażowanie różnych środowisk, a nawet różnych osób – od początku tego pomysłu jest z nami

na przykład premier Jerzy Buzek. Konieczna jest także dobra organizacja i talent logistyczny. Ale tak naprawdę liczy się wiele różnych elementów, które wspólnie tworzą pewną całość. Jeżeli to nie współgra ze sobą – to po prostu się to nie udaje.

– **Jak co roku, mówiąc o Kongresie, zaczynamy od kilku podstawowych liczb – tylu a tylu gości, tylu panelistów, tyle a tyle lokalizacji...**

– Tak, to prawda, mogą więc powtórzyć – jak co roku mamy sześć tysięcy gości, jak co roku trzy dni debat, sto paneli dyskusyjnych, ale... jest w tym roku pewna innowacja... Zawsze mieliśmy jedenaście lokalizacji, co było nawet dla niektórych pewną atrakcją, chodzili sobie po mieście, zwiędzali, ale stanowiło też pewną uciążliwość organizacyjną. W tym roku nie będzie jedenastu lokalizacji, a tylko cztery. Inauguracja w jednym miejscu a potem przez dwa dni w trzech lokalizacjach. Sądzę, że to będzie duża, pozytywna zmiana. Kongresy muszą być bardziej skonsolidowane, ludzie muszą się spotykać w kuluarach i w tym roku będzie widoczny postęp.

– **Jak to się robi? Co należy uczynić, żeby – od pierwszego wydania – stworzyć imprezę na najwyższym poziomie i potem go stale utrzymywać?**

– To jest duży problem dla organizatora, ponieważ Kongres nie może być ciągle na tym samym poziomie. Musi się rozwijać i co roku nasi goście muszą widzieć coś nowego, coś lepszego. Paradoksalnie jest tak, że gdybyśmy w tym roku zrobili Kongres na tym samym poziomie co w roku ubiegłym, to w odczuciu naszych gości pojawiałaby się myśl, że „coś słabo, nie widać rozwoju”. Musimy więc nie tylko utrzymywać poziom, ale dążyć do tego, żeby Kongres w Katowicach się rozwijał i był coraz bardziej atrakcyjną imprezą o coraz większej sile oddziaływania.

– **Ale jak się to robi, żeby efekt był właśnie taki? Mamy kilka innych kongresów organizowanych w Katowicach, i poza EKMŚP – pozostałe to dość kameralne imprezy.**

– Owszem, różnych wydarzeń, kongresów, konferencji, na Śląsku i w Polsce jest i powstaje bardzo, bardzo dużo. To jest fakt. Ale żeby osiągnąć pewien poziom organizacyjny, merytoryczny i pewną siłę oddziaływania potrzeba wielu elementów, o czym już wspominaliśmy. My nad Kongresem pracujemy de facto prawie rok, praktycznie jak się kończy jeden, to już pewien zespół pracuje na poczet przyszłego roku.

– **Prędzej czy później będziemy mieli w Katowicach Międzynarodowe Centrum Kongresowe. Jeśli mają je wypełniać tylko dwie imprezy w ciągu roku, to trochę szkoda. Podziwiając umiejętności pańskiego zespołu warto jednak zapytać, czy inni też mogą się tego nauczyć?**

– Cieszymy się z faktu kończenia budowy centrum kongresowego, ponieważ będzie to niewątpliwie duża zmiana i w Katowicach, i na Śląsku. Z punktu widzenia miasta i potencjalnego operatora tego obiektu – przypomnę, że my uczestniczymy w przetargu na wyłonienie operatora MCK – będzie to ogromne wyzwanie, ponieważ rzeczywistość tego typu obiekty muszą żyć nie tylko dwa razy do roku, ale przez cały czas. To wymaga ogromnej sprawności operatora, pewnej struktury, ale i ogromnej umiejętności przyciągania wydarzeń na Śląsk; od sportowych, kulturalnych, przez biznesowe, czy medyczne. Wyzwanie duże, ponieważ różnych obiektów też tego typu: hal, centrów targowych, centrów kongresowych niestety w ostatnim okresie w Polsce powstało dużo i dalej powstają.

– **Powiedział pan „niestety”. Najbliższe powstaje w Krakowie. Czy będzie konkurencją dla Katowic?**

– Jeśli zostaniemy operatorem MCK w Katowicach, po prostu będziemy musieli zagwarantować, żeby ten obiekt rzeczywiście żył i skutecznie konkurował ze wszystkimi obiektami w Polsce i w najbliższym otoczeniu. A najbliższe otoczenie to jest Bratysława, Wiedeń, Praga czy też Berlin. Do tego potrzebne są kompetencje.

– **Ile razy składano panu propozycję, aby Europejski Kongres Gospodarczy odbywał się w innym mieście, niż Katowice?**

– Kilkakrotnie w ciągu każdego roku... Z punktu widzenia innych miast czy regionów taka impreza jest bardzo atrakcyjna przynajmniej z dwu powodów: ogromna promocja miasta i zmiana sposobu jego postrzegania. Takie miasto jawi się jako biznesowa stolica. Jednak Kongres to także ruch dla małego i średniego biznesu. Ceny w hotelach wzrastają, czasami nawet brakuje taksówek w mieście, restauracje, cateringi, wszelkie usługi – wszystko żyje. A jeśli patrzemy na to przez pryzmat Katowic – pamiętajmy, że wtedy na Śląsk przyjeżdża kilka tysięcy osób, przyjeżdżają dziennikarze z Warszawy, z Pragi, z Brukseli, z Chin, przyjeżdżają najważniejsze osoby w biznesie, które często nigdy nie były na Śląsku. W ogóle nie kojarzą, czy nie wiedzą czym jest Śląsk. A są to osoby, które decydują o tym, czy fabryka bądź centrum usług, czy jakaś inna inwestycja powstanie w Polsce, a może gdzie indziej. I czy Katowice być może będą taką lokalizacją. Te korzyści dla miasta i regionu są ogromne.

– **Czy dlatego należało sformalizować współpracę organizatorów Kongresu z władzami regionu i podpisać list intencyjny o przyszłej współpracy?**

– Wielokrotnie podkreślaliśmy, że oczywiście chcemy organizować Europejski Kongres Gospodarczy w Katowicach, na Śląsku, ponieważ jesteśmy stąd, tu jest siedziba naszej spółki. Nie-

zbędna i wręcz konieczna jest do tego dobra współpraca z władzami regionalnymi i z władzami miasta, aby taka impreza się powiodła. Cieszy nas to, że miasto Katowice, województwo śląskie, metropolia, znają już wartość Europejskiego Kongresu Gospodarczego i go wspierają. Wspomniany list intencyjny to deklaracja nie jakiegoś jednorazowego wsparcia, ale współpracy obliczonej na lata. Daje to mocne podstawy ku temu, aby to cyklicznie przecież wydarzenie mogło się rozwijać właśnie w tym miejscu.

– **Jest w Polsce silny podział na „My” i „Oni”, że oto tam, na Kongresie, są wielcy i ważni tego świata, czyli „Oni”. A my jesteśmy tu i możemy sobie popatrzeć. Od początku Kongresu staraliście się walczyć z tym stereotypem. Od początku pojawiał się temat społecznej odpowiedzialności biznesu, a w tym roku pojawiają się na Kongresie związki zawodowe.**

– Z oczywistych przyczyn nie jesteśmy w stanie zaprosić na Kongres wszystkich, jednak zawsze bardzo nam zależało na pewnej otwartości tego spotkania. Zależało nam na tym, aby obecne były różne środowiska, NGO-sy czy związki zawodowe także. I to nie w roli protestujących, czy pikietujących, ale w roli uczestników dyskusji. W tym roku udało nam się wprowadzić element społecznej odpowiedzialności biznesu na większą skalę, niż poprzednio. Także zagadnienia związane z ekonomią społeczną. W naszym rozumieniu Kongres to platforma do dyskusji, spotkań polityków, nauki, mediów, biznesu, środowisk samorządowych, czy właśnie środowisk zaangażowanych społecznie.

– **Ale jest to też taki nowy wizerunek Kongresu. Nie podział „My” i „Oni”, ale że wspólnie tworzymy gospodarkę dla wszystkich**

– Tak, staraliśmy się, żeby rzeczywiście wprowadzić Kongres w nowe środowiska, w nowe tematy, tak, aby to w pozytywny sposób uzupełniało debatę publiczną i czyniło ją pełniejszą.

– **Można chyba powiedzieć, że Kongres doczekał się już swoich „dzieci”. Mamy Forum Europa-Chiny, mamy Forum Europa Centralna-Afryka, czyli wydarzenia, które już żyją własnym życiem.**

– Staramy się, żeby w trakcie Kongresu, ale też przed i po, pojawiały się różne inicjatywy, które wspólnie z naszym spotkaniem tworzą pewną wartość. Dlatego trzy lata temu w ramach Kongresu powstało Forum Chiny-Unia Europejska, które ma na celu to, żeby przyciągać kapitał chiński, żeby przyciągać partnerów z Chin, i co ważniejsze – aby to ich spojrzenie na Europę przechodziło przez Polskę. Kolejnym elementem, który w ubiegłym roku się pojawił, to Afryka-Europa Centralna. W najbliższej perspektywie najbardziej rozwojowym regionem na świe-

cie będzie Afryka i my, jako Polska, ale także inne kraje Europy Centralnej mamy potencjalnie największe predyspozycje do tego, żeby tam realnie zafunkcjonować. Stąd właśnie forum Europa Centralna-Afryka, które nie tylko spotkało się z bardzo dobrym przyjęciem w świecie biznesu, ale coraz więcej przedstawicieli afrykańskich państw jest nim zainteresowanych. Ale nie tylko Afryka. W tym roku po raz pierwszy pojawi się na Kongresie bardzo mocna delegacja z Pakistanu, będzie kilku ministrów i duża reprezentacja biznesu. Przyjeżdżają tu nie po to, żeby się promować w Polsce. Chcą zaistnieć w Unii Europejskiej, czyli poprzez Kongres, poprzez Katowice wejść do Europy. To także jest to, o co nam chodzi, żeby Kongres był pewną platformą nie tylko do wejścia do Polski, ale wejścia – no przynajmniej – do Europy Centralnej. Kolejne inicjatywy, które się pojawiały, to fora w krajach Grupy Wyszehradzkiej, w ubiegłym roku byliśmy w Bratysławie, byliśmy w Pradze, organizowaliśmy fora z udziałem prezydentów Polski i Czech, Polski i Węgier, tego typu projekty też będziemy kontynuować.

– **Ładnie to zabrzmiało – „przez Kongres, przez Katowice ktoś chce wejść do Unii Europejskiej”. To znak nowych czasów. Ale jest także fatum starych czasów. Jeśli Kongres odbywa się w Katowicach, wszyscy myślą, że musi być na nim mowa o węgla, o energetyce, i tak się zresztą dzieje. Czy to jest jakieś fatum?**

– Ja uważam, że to jest atut Śląska. Przyszłość nie tylko gospodarki, ale i bezpieczeństwa w Europie to energetyka. Bezpieczeństwo i pewność dostaw energii, niskie ceny – to będzie podstawa rozwoju. My to na Śląsku mamy. Mamy bezpieczeństwo, dlatego że mamy energię z węgla i mamy energetykę. Oczywiście sami musimy zadbać o to, żeby było to konkurencyjne cenowo, dobrze zorganizowane i tak dalej, no ale niewątpliwie to jest atut. Poza tym jesteśmy chyba największym regionem przemysłowym w Unii Europejskiej. Powinniśmy to podkreślać w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Dodawać, że i ten przemysł, i energetyka się zmieniają, stają się nowoczesne, konkurencyjne, innowacyjne, że powstają na przykład takie projekty jak Centrum Czystych Technologii Węglowych. Warto dodawać, że w coraz większej części jest to prywatny biznes. Przecież to, co jest naszym towarem eksportowym, to technika górnicza. Śląskie firmy produkujące maszyny i urządzenia górnicze osiągają sukcesy w różnych regionach świata. Pokazujemy to, promujemy i traktujemy jak atut.

Nie było tak, że temat energetyki wszedł na stałe do katowickiej debaty tylko dlatego, że zbiegły się w czasie dwa wydarzenia? Rodzi się pierw-

szy Kongres i powstaje nowa polityka klimatyczna Unii. Polityka niebezpieczna dla Polski. W czasie pierwszego Kongresu taka opinia z Katowic popłynęła, choć niewielu wierzyło w to, że kogokolwiek to zainteresuje. Po latach widać, że jednak wysłuchano tej opinii, choć może nie całej...

– Naszym celem było to, aby o tematach ważnych z naszego punktu widzenia nie rozmawiać we własnym gronie, tylko rozmawiać w taki sposób, żeby ten głos, nasze poglądy były słyszane w Europie, przez Parlament Europejski, czy Komisję Europejską. Aby nasza opinia dotarła też do innych krajów Unii. Takim bardzo ważnym, ale też trochę kontrowersyjnym tematem jest polityka klimatyczna Unii Europejskiej. Stąd od początku był to mocny punkt Kongresu. Ale i w tym roku w połowie kwietnia zorganizowaliśmy konferencję „Polska droga do gospodarki niskoemisyjnej”, w której uczestniczył między innymi prezydent RP Bronisław Komorowski. Było to swego rodzaju wprowadzenie do Kongresu, na którym zawsze tematy energetyczne, polityki przemysłowej, polityki klimatycznej są bardzo znaczące.

– **Kongres potrafi wyprzedzać swój czas. Mówi się na przykład o potrzebie budowania sieci gazowych północ-południe, a dzisiaj widzimy jakie to ważne. Mówi się o szansach w Afryce, potem polscy politycy zaczynają do tej Afryki wyjeżdżać, a później zaczynamy tam sprzedawać traktory.**

– Tak, ponieważ wszystkie działania wymagają pewnej promocji, czy publicznej dyskusji. Ważne jest poparcie płynące z różnych kręgów: środowisk naukowych, samorządowych, polityków europejskich czy regionalnych. Warto także zaprezentować je mediom. Rozmawiać i konfrontować poglądy. Rzeczywiście, jakby przeanalizować te pięć lat wstecz, to różne tematy, które poruszaliśmy podczas Kongresu stały się rzeczywistością. To nie tylko duże projekty infrastrukturalne. Często ludzie z biznesu przychodzą do nas i mówią: „Podczas Kongresu dwa lata temu spotkaliśmy się z firmą z Niemiec i od tego czasu wspólnie startujemy w przetargach, od tego czasu to jest nasz partner biznesowy, a tutaj w Katowicach spotkaliśmy się z nimi po raz pierwszy.” A jeśli gości kongresowych jest sześć tysięcy, to takich rozmów, czy kontaktów powstaje być może kilka tysięcy, i to co roku, czyli masa konkretnych projektów biznesowych, konkretnych inwestycji, a to tworzy przecież pozytywny ruch w gospodarce.

– **Wizji tematów również warto pogratulować...**

– To jest też jeden z tych elementów o których mówiłem, czyli budowania Kongresu przez jakość. Bardzo dokładnego analizowania, poszukiwania tych tematów, które mogą być rozwojowe

z punktu widzenia Polski. Parę miesięcy temu wymyśliliśmy, że jednym z wiodących tematów tegorocznego Kongresu może być potencjalne porozumienie Unia Europejska-Stany Zjednoczone o stworzeniu wspólnej strefy handlu. Nie spodziewaliśmy się, że dojdzie do konfliktu między Rosją a Ukrainą, i że pojawi się nowy kontekst tej umowy. Dzisiaj rzeczywiście można powiedzieć, że waga tego porozumienia może być zupełnie inna niż jeszcze parę miesięcy temu mogło się wydawać. Wszystko wskazuje na to, że na Kongres przyjadą główni negocjatorzy po stronie amerykańskiej i unijnej. Będzie to prawdopodobnie pierwsza taka szeroka, publiczna debata na ten temat, dyskusja w tak reprezentatywnym gronie. Negocjatorzy wiedzą o umowie najwięcej, oczywiście nie wszystko nam powiedzą, bo nie mogą, ale myślę że będzie dość spektakularna dyskusja podczas Kongresu.

– **Dużo w mediach bezkrytycznie pozytywnych opinii na temat tego porozumienia, niektórzy już zdążyli włożyć w ten temat kwestię wiz do USA, ale niewielu podkreśla to, że gospodarka amerykańska ma przewagę nad europejską, ponieważ obowiązują tam zdecydowanie niższe ceny energii. Z tym problemem zmierzą się unijni producenci, a w konsekwencji – unijni wytwórcy energii, a w konsekwencji – polska energetyka i górnictwo. No i tu mogą się zacząć schody.**

– To prawda. Właśnie dlatego trzeba o tym rozmawiać, ponieważ – jak w każdym porozumieniu – są plusy i minusy. W Unii panuje doktryna drogiej energii, obciążonej różnymi daninami, między innymi klimatycznymi. W Stanach Zjednoczonych mamy z kolei tanią eksploatację łupków. Ale jeżeli będzie wspólny rynek to być może ceny gazu w Stanach Zjednoczonych zaczną być też cenami w Unii Europejskiej. Dlatego to porozumienie może bardzo wiele oznaczać, bardzo wiele zmienić, ale właśnie teraz jest ten czas, w którym można jeszcze coś zmodyfikować. Bardzo ważne jest więc to, aby teraz właśnie Polska, czy polski rząd, a także polski biznes pojawił się w tych dyskusjach. Niestety, do tej pory często włączaliśmy się do takich dyskusji, kiedy już wszystko było zamknięte i uchwalone. Protestowaliśmy, kiedy już wszystko było podpisane. Teraz jest czas na zmianę, czas na to, aby Polska uczestniczyła w tworzeniu prawa i przekazywała swoje stanowisko. Myślę, że mamy już taką pozycję, iż nie powinniśmy być tylko biorcami tego, co Unia daje, ale powinniśmy aktywnie uczestniczyć w kreowaniu tych uregulowań. Kongres jest do tego znakomitą platformą.

• Ani Elizjum, ani Hades

1 maja 2014 roku, czyli w Święto Pracy dla jednych lub święto Józefa Robotnika dla innych, minęło równo dziesięć lat od polskiej akcesji do Unii Europejskiej. Pamiętamy bardzo dobrze tamten czas poprzedzony narodową debatą na temat korzyści i strat jakie ponieść miała RP. Pesymiści podkreślali z przekonaniem, że kraj nasz więcej przekaże krwiożerczej Unii niżli od niej otrzyma, upadnie rodzime rolnictwo, a chłopci staną się ofiarą traktatu akcesyjnego. Optymiści z kolei przekonywali, że Unia jest przyszłością Polski. A z przyszłością, jak wiadomo, nie należy walczyć tylko dobrze do niej się przygotować. I jedni, i drudzy mieli świadomość, że kraj jest zacofany cywilizacyjnie i gospodarczo w porównaniu z piętnastoma państwami starej Unii, a początki tego regresu miały już miejsce w XVII stuleciu. I, że trudno będzie te różnice rozwojowe w krótkim czasie zniwelować. Dzisiaj, po dziesięciu już latach, można z przekonaniem powiedzieć, że akces okazał się korzystny dla kraju, ale też dla całej Unii. I chodzi nie tylko o swobodę podróżowania, rozwój infrastruktury, dróg, trakcji, światłowodów, ale także o zmiany w mentalności Polaków i ich odwadze w byciu Europejczykiem. Nie brakło też zjawisk trudnych czy wręcz bolesnych. Unii jednak daleko jest do ponurego Hadesu i wciąż daleko do krainy wiecznej szczęśliwości, Elizjum.

• Migracyjny upust krwi

Z całą jednak pewnością negatywną, a przy tym przewidywaną i nieuchronną, konsekwencją akcesji była masowa emigracja rodaków za lepszym niż w kraju chlebem. RP opuściło, prawdopodobnie w znacznym stopniu na stałe, blisko dwa miliony obywateli, zazwyczaj młodych, rzutkich i wykształconych, a skala tego zjawiska nie może pozostać bez wpływu na demografię i rozwój cywilizacyjny państwa. Pogłębioną próbę bilansu dziesięciolecia polskiej obecności w Unii Europejskiej podjęła między innymi kadra pedagogiczna i młodzież Liceum Ogólnokształcącego im C.K. Norwida w Tychach podczas specjalnej konferencji. To spotkanie było niezwykle pouczające i pokazujące jak duże wsparcie można otrzymać na cele edukacyjne i oświatowe. Pod jednym wszakże warunkiem, że da się Unii szanse i złoży stosowne dokumentacje. Uczestnicząc w konferencji przywoływałem w pamięci zdanie patrona tyskiej placówki. *Może powiesz mi kiedyś ludzie serdeczni za te prawdy, których istotę powtarzam lat oko-*



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Rachunek pierwszej dekady – Polska w Unii Europejskiej

to dwanaście, ale gdybym miał dziś na szyi powróż, to jeszcze gardłem przywartym chrypiałbym, że Polska jest ostatnie na ziemi społeczeństwo, a pierwszy na planecie naród, pisał przed laty mistrz Cyprian Kamil. Czy fraza ta wciąż jest aktualna? Oto jest pytanie.

• Poza filantropią

Polska wkraczała do Unii Europejskiej ze statusem spóźnionego przybysza. A to oznacza, że kluczowe reguły gry zostały ustalone już wcześniej i raczej kraj nasz je akceptował niżli zmieniał. Bez względu jednak na regulacje prawne akcesyjna przebiegłość polegała na prawidłowym zdefiniowaniu UE i reguł jej działania. Unia nie jest, i nigdy nie była, instytucją filantropijną i charytatywną. Nie pełniła też funkcji towarzystwa świętego Franciszka, które spolegliwie wspiera ubogich i przegranych.

Unia Europejska to instytucja, która pomaga przede wszystkim tym, którzy tego pragną, i którzy chcą pomóc samemu sobie. Oferuje fundusze wtedy gdy aplikant przedstawia ciekawy i konkurencyjny plan rozwiązania jakiegoś problemu, budowy elementu infrastruktury czy wdrożenie nowatorskiego procesu. Wiąże się to ze znajomością rygorów projektowych: składania, realizacji, wykorzystania dokonań i wreszcie ewaluacji wysiłków. Z mozołem trzeba przygotować obszerną zazwyczaj dokumentację i bez zniecierpliwienia wypełnić wszystkie jej rubryki. Nawet te najbardziej zdumiewające czy wręcz zabawne. A to z kolei wymaga od aplikanta kilku przynajmniej zdolności.

• Brukselscy interesariusze i Oscar Wilde na zakończenie

Najważniejsza z nich wiąże z kompetencjami cywilizacyjnymi, zwłaszcza zaś z funkcjonalnym alfabetyzmem. Mówiąc wprost to zdolność do gromadzenia, przetwarzania i praktycznego wykorzystania informacji. W zgodnej opinii ekspertów to w dobre informacyjne szumy i mnogości kanałów przekazu wyjątkowo cenniona przez UE i zarazem pracodawców umiejętność. Mogą być profesorem zwyczajnym uniwersytetu, a jednocześnie funkcjonalnym alfabetą jeśli nie dysponują podstawą do rozumienia, selekcji i korzystania z informacji. Bezcenną umiejętnością jest też podwójna czy nawet potrójna zdolność językowa. Bez angielskiego, które pozwala na swobodny dialog i komunikację, ani rusz. Dobrze też znać inny język, chodliwy w UE, jej kularach i strukturach. Trzeba też otwarcie przyznać, że niezwykle pomocna w korzystaniu z funduszy unijnych jest znajomość *brukselki*. I nie chodzi tutaj bynajmniej o zdrowe warzywo, ale cały żargon projektowy, wszystkie te *benefity*, grupy interesariuszy wewnętrznych, *stakeholderów* i Bóg sam jeden wie jakich innych. W UE konieczne są także, co oczywista, umiejętności sieciowe, związane z komputerem i nowymi mediami. Osoba przyjmująca wobec nich postawę wyniosłej izolacji, skazuje się na cyberwykluczenie i radykalnie ogranicza dobre funkcjonowanie w projektowym obiegu Unii. I wreszcie prawo jazdy kategorii B, dające szanse na dużą ruchliwość przestrzenną. Uff... Oscar Wilde powiedział jednak: *Nie bój się cieni. One świadczą o tym, że gdzieś znajduje się światło.*

Śląsk – wieś czy miasto, tradycja czy zmiana?

Ludzie boją się zmian. Im kto bardziej przywiązany do tradycyjnych rytuałów dnia codziennego, do rodzinnych pamiątek, skrawka przekazywanej z dziada pradziada ziemi, tym trudniej dostrzec mu w odchodzeniu *oswojonego* i nadchodzeniu *nieznanego* jakąś alternatywę na dalsze życie. Trudniej mu uznać przemiany i ich efekty za coś normalnego, nieunikniony element ludzkiej egzystencji.

„Niy poradza sie oswojić z myślom, że musza sie brać”

tradycji, przywiązanie do przeszłości, trwale wrośnięcie w ziemię. Nie brakuje świadectw odmowy opuszczenia własnego kawałka gruntu czy też ogromnych oporów podczas wysiedlania (oczywiście nie tylko ze wsi), którego nie udało się już uniknąć. Warto chociażby wspomnieć o doświadczeniach ekspatriantów z Kresów Wschodnich, o wszystkich, których konieczność budowy drogi, osiedla pozbawiła dotychczasowej oazy spokoju, jakim był dom należący od pokoleń do rodziny. Ból i trud porzucania gospodarki w okolicznościach jeszcze bardziej tragicznych, bo z powodu powołania do Wehrmachtu, doskonale oddaje wyznanie bohatera książki Alojzego Lyski. Stwierdził on: „Niy poradza sie oswojić z myślom, że musza sie brać. Wszystko musza zostawić (...)”¹. Wielu mogłoby podpisać się pod tym zdaniem, a szczególnie Karol Habryka z filmu Kazimierza Kutza *Paciorki jednego różańca*, którego fabuła oparta została na noweli Albina Siekierskiego *Tego domu już nie ma*.

Gdyby dokonać pewnego uproszczenia, to wieś można by uznać za czasoprzestrzeń, w której dominuje wierność

Kultura robotnicza i dwa kręgi

strującym teorię Richarda Hoggarta o pochodzeniu kultury robotniczej z wiejskiego folkloru, którego jednym z głównych elementów budulcowych jest silny związek z domem, rodziną i sąsiedztwem. Te trzy składniki stanowią fundament, na którym także emerytowany górnik wypracował własny styl życia oraz niezłomny charakter, pozwalający mu oprzeć się społeczno-politycznym naciskom epoki. Habryka miał poczucie istnienia dwóch kręgów: „swojskiego” oraz „obcego”; tego, który mieści w sobie to, co „moje”, oraz tego, który jest „poza mną”. Jak pisze Hoggart: „Prawdopodobnie większość grup czerpie część siły ze swojej wyłączonej, z poczucia, że naokoło są ludzie, którzy „do nas” nie przynależą”². Karol nie tyle odcinał się od tych, którzy do niego nie należą, co nie pozwalał oderwać się od tych, którzy byli „jego”: od domu, sąsiadów, ziemi, ogródka. On dobrze wiedział, gdzie przebiega granica i jej strzegł.

Podobną postawę przywiązania reprezentuje Ślązak z Mikulczyc, który w dokumentalnym filmie Michała Majerskiego *Oberschlesien. Kołocz na droga*

wyznaje: „Jo miyndzy tymi ludźmi żyja od dziecka i mom sam zamiar umrzeć. Jo niy mom zamiaru sie nikaj stond wykludzać. Miy jest sam dobrze”.

Na marginesie rozważań warto zaznaczyć, że deklaracja ta ma cechy uniwersalne. Gdyby nie śląska gwara, można by włożyć te trzy zdania w usta mieszkańca dowolnego regionu, miasteczka, wsi, dzielnicy... Tak mógłby powiedzieć Kaszub, Mazur, warszawiak z Pragi czy Żoliborza, cieszynianin, krakowianin, ale i stambulczyk, rzymianin, dublińczyk, Toskańczyk, Bretończyk czy Jakut. Oni wszyscy na pytanie: „Skąd jesteś?”, mogliby odpowiedzieć krótko: „Stąd!”, a każdy miałby przed oczami krajobrazy, które zobaczył po raz pierwszy w życiu i z którymi stykał się potem przez kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat; owe „krajobrazy centralne” z eseju Kazimierza Wyki pt.: *Bose ścieżki*. Wreszcie każdy przeprowadzałby w sercu podobny proces mityzacji ziemi, w którą wrasta jego duchowy, mentalny, społeczny, kulturowy i rodzinny *radix*.

Miasto – progresja i metamorfoza

Powracając do głównego wątku i upraszczając nadal obraz rzeczywistości, można by stwierdzić, że miasto

jest z kolei przestrzenią zdominowaną przez progresję i metamorfozę, poddawaną permanentnej fluktuacji i stale zwróconą ku nieznannej przyszłości. Kultura mieszkańska nie bez powodu utożsamiana jest z nowoczesnością, czyli kroceniem z duchem czasu, nadążaniem za najnowszymi trendami mody. **Metropolia zbudowana jest** nie z jednego domu, trwającego niezmiennie przez pokolenia, chronionego przed unicestwieniem, ale z **nawarstwiających się upadków kolejnych epok, na gruzach których budowany jest nowy świat**.

Bardzo dobrze obrazuje ten proces powieść Orhana Pamuka *Stambuł*. Postępująca europeizacja oraz schyłek Osmanów nadają tytułowej aglomeracji cechy organizmu miejskiego w trakcie transformacji, której efekt ostateczny wciąż nie jest znany i która przebiega bez wyraźnego planu. *Stambuł* Pamuka nie odcina się jednak od przeszłości, nie przeprowadza architektonicznych czystek, ale pozostawia wszystko własnemu biegowi, pozwala, by czas sam pokrył krajobraz mchem, by Bizancjum obrosło europejskim bluszczem, jak zarastają chwastami ruiny każdego okresu. Dzięki temu naturalnemu nawarstwowaniu się kolejnych stylów, gromadzeniu kurzu wieków, dzięki kołazowi Wschodu, Zachodu, minionego i przyszłego, powstaje pejzaż, który autor za Johnem Ruskinem nazywa „malowniczym”.

W tym kontekście trzeba podkreślić, że **niestety przez wiele śląskich miast przejechał peerelowski walec, który**

nie dal przeszłości czasu na powolne pokrycie się pyłem, na którym można by wybudować kolejną warstwę. Pragnienie socjalistycznych planistów, by stworzyć „nową” rzeczywistość, nakazało im gorączkowe wyburzenie wielu wartościowych budynków i wstawienie w ich miejsce betonowych i blaszanych „plomb”, które tu i ówdzie straszą do dziś. Równie tragiczny w skutkach okazał się proces degradacji poidustrialnej spuścizny po 1989 roku. Jego efektem – według Henryka Wańka – jest „krajobraz rozszarpany”. Trudno zatem znaleźć metropolię, która w całości byłaby „malownicza”. Pozostały nam takie jedynie nieliczne ulice, osiedla i dzielnice – cudem uratowane przed młotkiem ideologicznej licytacji oraz niszczącym działaniem wiatru i złomiarzy.

Pamuk za Ruskinem pisze, że „(...) o malowniczości danego dzieła można mówić dopiero wtedy, gdy minie wiele wieków, a bluszcz, trawa, rośliny i inne elementy przyrody (fale, morze, skały, a nawet chmury) zespolą się z nim na zawsze. A więc chodzi o absolutnie przypadkowe piękno, które nie przynależy budynkom nowym (...), ale tym oglądanym z (...) perspektywy, narzuconej nam przez historię i czas”³. Taki trwały związek natury i ludzkich dzieł opisuje Peter Ackroyd w monumentalnej książce *Londyn. Biografia*. Dzieje stolicy Wielkiej Brytanii to historia pisana przez procesy geologiczne, pożary, naturalne katastrofy, najazdy, przesilenie się wpływów poszczególnych ludów, budowy, zniszczenia i ponowne odbudowy. Narracja Ackroyda bardzo

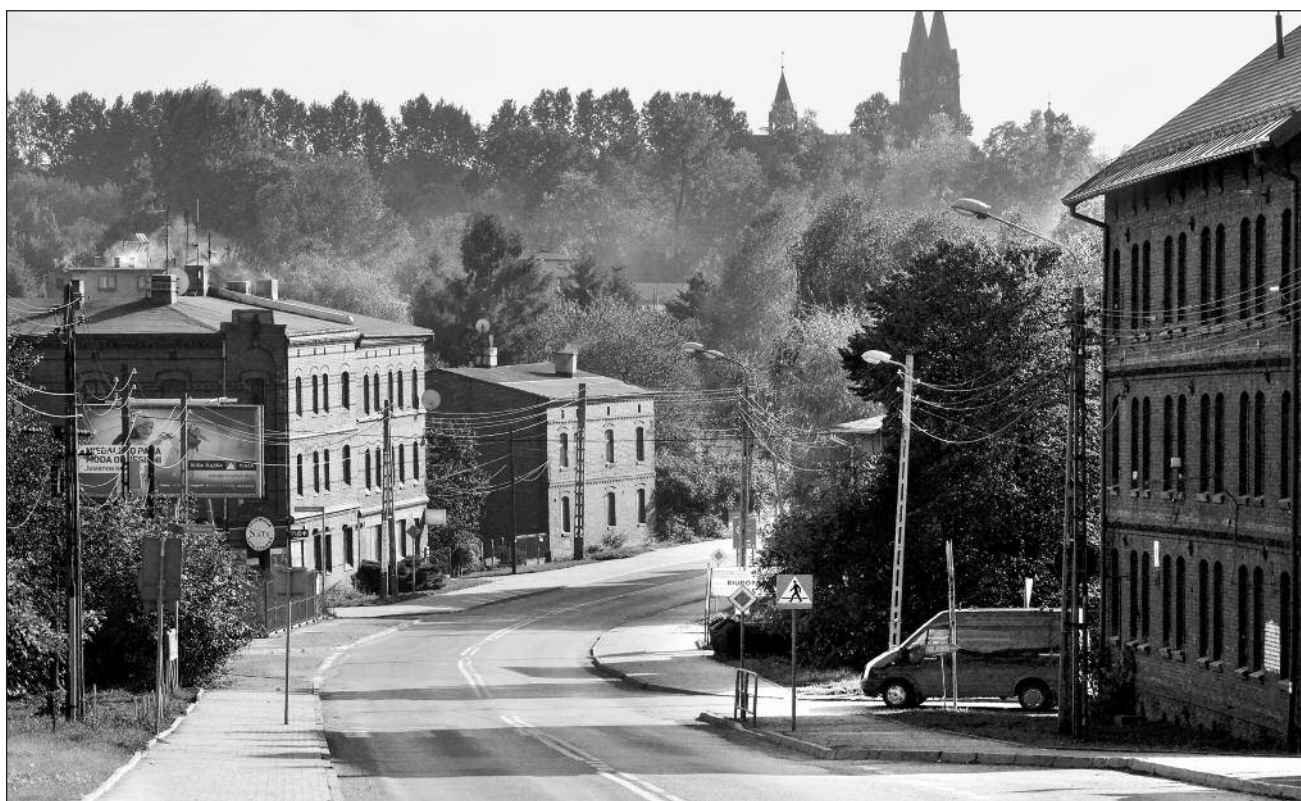
dobrze oddaje istotę „malowniczej” metropolii. Ma ona piętno wieków odciśnięte w kamieniach, ceglach i dachówkach, topografii, krajobrazie, pewnej ciągłości politycznej, administracyjnej, finansowej, kulturowej, gospodarczej, językowej. Ma też przeszłość ukrytą pod powierzchnią, sięgającą kilkudziesięciu pięt w głąb ziemi.

Historia miasta – otwieranie się na nowe i inne

Historia miasta to również dzieje nie tyle opierania się **obcemu**, co otwierania się na **inne** i uczenia się koegzystencji z nim w ramach jednego organizmu. Społeczeństwa, którym brakuje takiej otwartości, z czasem umierają. Należy bowiem pamiętać, że „(...) zasady narodotwórcze mają charakter włączający”⁴, podczas gdy **rozmaite postaci nacjonalizmu zawsze wyłączają innych**. Ta druga postawa czerpie często pożywkę z mechanizmu, który jest dla człowieka naturalny, a który Czesław Miłosz w *Rodzinnej Europie* określił następująco: „(...) punkt, w którym urodziliśmy się, separuje nas od poglądów gdzie indziej przyjętych”⁵. **Taką tendencję do sakralizacji i idealizacji własnej ziemi i kultury oraz stawiania jej w opozycji do ziem i kultur obcych przejawiają mieszkańcy każdego regionu świata**. Zjawisko to wpisuje się w uświęcanie domu i sąsiedztwa, charakterystyczne dla wiejskiego folkloru, które to elementy przejęła następnie kultura robotnicza. Aby proces ten był jednak twórczy i nie rodził separaty-

stycznych stanowisk, trzeba pamiętać o uwadze ks. Jerzego Szymika: „**Człowiek jest zawsze skądś, ale to skądś nie jest przez to lepsze od innych skądś**”⁶. O tej optyce otwartości i wzajemnego ubogacania się zapominano w czasach Polski Ludowej, co znalazło swoje odzwierciedlenie nie tylko w stylistyce publicznych wypowiedzi, ale także w estetyce śląskich miast. Niestety, spuścizna ta pozostała nam do dzisiaj i nie chce się wykruszyć, choć przypomina już tylko obesznięte błoto, którego nie ma się co obawiać.

Dobrym zaś przykładem metropolii otwartej na *novum*, w której kolejne warstwy historii nakładają się na poprzednie z szacunkiem do tego, co minęło i bez lęku przed tym, co nadchodzi, jest niewątpliwie Rzym. Jego literacką pocztówkę trafnie nakreślił Gustaw Morcinek, dlatego warto ją tutaj przypomnieć. Cytując anonimowego Anglika, zanotował: „Rzym jest miastem, w którym osoba z każdej kultury znajdzie swój drugi dom, dom ducha”⁷. Sam pisarz odnalazł taki oto *home of spirit*: „(...) jestem w Rzymie i widzę, jak na Kapitolu patrzy w daleki świat imperatorski Marek Aureliusz na brązowym koniu, pod nim zaś generał Dąbrowski przemawia do swych Legionów, a wśród nich do moich przodków, zwykłych „gemajnow”, chłopów z Cieszyńskiego. Moi przodkowie słuchają pilnie (...), gdyż na swym tułaczym szlaku z ziemi włoskiej na Szląsko nie wolno im niczego uszczknąć z tamtych dostojnych słów o Polsce, tak bardzo im dalekiej przez całe wieki. Na ulicach spotykam cesarów i tłumy papieży, Michałów



Ruda Śląska – Kochłowice

Fot. Katarzyna Bereta



Katowice – Panewniki, widok na klasztor i kościół św. Ludwika Króla, 1910

Aniołów i Michała Archaniola nad Tybrem; widzę za witrynami smukłe Madonny, rzeżane z białego drzewa lipowego (...). Na rogach ulic prażą się kasztany, a w perspektywie Corso Umberto wynosi się ponad dachy marmurowy patos pomnika Wiktora Emanuela z rozpedzonymi kwadrygami (...). Stąpam po stopniach wiodących do Santissima Trinità dei Monti jak po skamieniałym sonecie Petrarki. Spotykam prototypy Madonny Rafaela, Madonny zaś patrzą na mnie dużymi, czarnymi oczami i nuca „O sole mio!...”⁷⁸.

Miasto jako psyche i ciało

Interesujące rozważania nad rozwojem Wiecznego Miasta snuje także Zygmunt Freud.

Dostrzegając zjawisko odbijania się w rzymskiej tkance kolejnych epok, stwierdza, że są to refleksy, których nie możemy zobaczyć równocześnie. Nie są dla nas widoczne wszystkie warstwy naraz, gdyż młodsze wypierają starsze, spychając te drugie gdzieś pod ziemię. Jest to niewątpliwie prawidłowość dotycząca każdej historycznej metropolii i, jak

zauważa austriacki psychiatra, przypomina ona utrwalanie się jednostkowych doświadczeń w psychice. Miasto jest więc obrazem ludzkiej *psyche*, a odkrywanie jego historii przypomina zstępowanie do podświadomości i rekonstruowanie zapisanych w niej wspomnień i przeżyć.

Do zupełnie innej tradycji odwołuje się z kolei Peter Ackroyd, gdy nakreśla obraz Londynu jako ciała. Z jednej strony sięga po biblijną symbolikę Miasta Boga – mistycznego ciała, którego głową jest Chrystus; z drugiej dostrzega w życiu metropolii analogię do fizjologicznych procesów, którym podlega organizm. Londyn jest zatem metafizyczny, ale i podobny do konsumującego, trawiącego i wydalającego człowieka. Takie są również wszystkie górnośląskie struktury miejskie.

„Ludzki konglomerat” i anty-miasto

Wreszcie miasto – zwłaszcza współczesne – to o wiele częściej „ludzki konglomerat”, jak obraźliwie wyraziła się o Wałbrzychu jedna z postaci „Wiktorii”,

socrealistycznego opowiadania Morcinka; a coraz rzadziej **wspólnota**, rozumiana jak u Ferdynanda Tönniesa. Warto w tym miejscu dodać, że nakreślony przez skoczowianina obraz to również krytyka metropolii, która poprzez nieoplamowaną i czasami bezplanową industrializację oraz towarzyszącą jej ludnościową erupcję staje się **anty-miastem**. Termin utworzony przez Lewisa Mumforda w dwudziestolecie międzywojennym z powodzeniem można odnieść do wielu peerelowskich ośrodków przemysłowych, które również były zatłoczone i zadymione, oferowały mieszkania przypominające „koszary industrializmu”, powstawały i rozwijały się głównie po to, by zaspokoić zapotrzebowanie przemysłu na siłę roboczą (taki jest właśnie Wałbrzych w opowiadaniu Morcinka). Podobne są współczesne miasta, będące coraz częściej jedynie **wielkimi multipleksami i centrami handlowymi**, w których **człowiek** pracuje, bawi się, kupuje, odpoczywa, korzysta z wszelkich cywilizacyjnych wygód, ale **nie tworzy żadnych społecznych więzi**. Jakże odmienny jest obraz przemysłowej Karwiny w *Czarnej Julce!* Ta zasnutą dymem osada z początku XX wieku jest przeciwieństwem i socjalistycznych „konglomeratów”, i teraźniejszych aglomeracji, gdyż jej istnienie opiera się nie na przypadkowości i anonimowości mieszkańców, ale na rodzinnej i sąsiedzkiej zażyłości. Jej doświadczenie autor wyniósł zapewne z Żabkowa, dlatego opisana przez niego Karwina charakteryzuje się tak złożoną siecią tradycyjnych stosunków społecznych. Podobnych świadectw budowania lokalnej wspólnoty w oparciu o międzyludzką bliskość i solidarność nie brakuje w licznych dokumentalnych i beletryzowanych opisach górnośląskich miast, miasteczek i dzielnic. Wystarczy wspomnieć nikiszowiecką społeczność nakreśloną piórem Doroty Simonides w jej książce-wspomnieniu *Szczęście w garści. Z familoka w szeroki świat* czy mieszkańców Giszowca utrwalonych przez Małgorzatę Szejnert w *Czarnym ogrodzie*.

Związek z domem i rodziną oraz otwartość na innych

Takie były niegdyś wszystkie śląskie miasta i miasteczka, gdyż taka była wieś, która je poprzedziła. Z folkloru wytworzonego przez tę ostatnią czerpała późniejsza kultura robotnicza, dlatego jedną z jej najbardziej wyrazistych cech był **silny związek z rodziną, domem i sąsiedztwem**. To był podstawowy, najbliższy krąg, oswojony, własny. Poza nim byli inni, obcy, nienależący do „nas”. Patrząc na tych drugich przez pryzmat przywiązania do ziemi, domostwa, najbliższego krajobrazu, jestem dziwnie spokojna, że sposób ich traktowania nie miał żadnego związku z **nacjo-**



Katowice – Dąbrówka Mała, huta cynku „Pawel”, 1926



Zdjęcie pochodzi z: Lech Szaramiec, „Osady i ostiebla Katowic”

Katowice – Szopienice. Ostatni szopieniczny gospodarze, 1998

nalistycznymi i separatystycznymi hasłami. To, że ktoś w danej chwili nie należał do „nas”, nie oznacza, że miał raz na zawsze zamkniętą drogę. Jak z każdą nowością, tak i z przybysem trzeba było się oswoić. W ten sposób następowało włączanie nowych do grona sąsiadów, rodziny itd. Poza tym, jak twierdzi Bernhard Waldenfels, nie ma „swojego” bez „obcego”, ten drugi bowiem jest lustrem, w którym odbija się moja własna podmiotowość. Bez niego nie wiem, kim jestem, a zatem nie jest on moim wrogiem, ale raczej pomocą w zrozumieniu i określeniu własnej tożsamości.

Otwartość na innych, przyjezdnych była więc ważną cechą śląskich społeczności miejskich i wiejskich, którym przyszło egzystować na permanentnym pograniczu kultur i narodów. Oczywiście proces osvajania przebiegał różnie, czasami burzliwie, o czym pisze m. in. Emil Szramek w eseistycznej rozprawie *Śląsk jako problem socjologiczny*. Pewna jednak nieufność i ostrożność nie oznaczała zamknięcia na nowość, ale o wiele bardziej **obawę przed utratą tego, co znane, stare, z czym obyliśmy się przez lata i co cenimy jako coś wartościowego**. Czasami być może był to także lęk przed prawdą o sobie samym.

Należy w tym miejscu podkreślić, że **ten rodzaj niepokoju jest charakterystyczny dla całej ludzkości**. Wszyscy boimy się zmian, boimy się, że nowe zabierze nam stare, że będzie gorsze od tego, co już znamy i przed czym nie czujemy trwogi, boimy się wykorzenienia, rewizji poglądów i przewartościowania priorytetów. Drżymy na samą myśl o nieznanym, dlatego zapewne tak chętnie zamykamy się w stereotypach.

Naturalna potrzeba „swojskości”

Ważna jest również jeszcze jedna kwestia. Ów „swojski” krąg wydaje się być naturalną potrzebą, która tak wyraźnie wybrzmiała w cytowanej wypowiedzi Ślązaka z Mikulczyc. Każdy urodził się i wzrastał w jakimś najbliższym otoczeniu, w którym uczył się też relacji z ludźmi. Te pierwsze doświadczenia i przeżycia pozostają w nas jako coś pierwotnego i dającego poczucie bezpieczeństwa. Kazimierz Wyka określił to następująco: „Przeżycie krajobrazu posiada jakąś wiążącą siłę i zapowiedź niezmienności. Nie posiadają jej w równym stopniu ludzie, do których się przywiązujemy, uczucia nawet, jakim pozwalamy, by w nas się rozpałały. (...) pragniemy, ażeby krajobraz, podobnie jak dom nasz, zawarł w swoich ramach więcej trwałości, aniżeli jesteśmy w stanie zagwarantować tworam i uczuciom, które (...) z nami przeminą”¹. Nie dziwi więc, że większość stara się zachować kontakt ze swoją „macierzą” przez całe życie, a jeśli musi opuścić rodzinny dom, region, dzielnicę, to wspomina je z nostalgią, sakralizuje pamięć o nich, a często poszukuje sublimacji, próbując stworzyć tam, gdzie żyje, własny „swojski” krąg. Potrzeba ta wydaje się tym silniejsza, im większe jest wyobcowanie świata wokół i im rozleglejsza aglomeracja, do której się przeprowadziliśmy.

Drzewo rzeka?

Przed Heraklitowym *panta rei* nie ma ucieczki, dlatego zastanawiam się, czy Śląsk jest bardziej wię-

ski – związany z domem, rodziną, sąsiedztwem, tradycją, stałością? A może miejski – otwarty na ciągłą metamorfozę, narastanie kolejnych warstw i budowanie nowego na zgłiszczach przeszłości? Czy jest drzewem wrastającym coraz głębiej w płaszcz ziemi, pod którym zamienia się w węgiel, historię, tradycję, kulturę, a na powierzchni staje się dla pokoleń domowym ogniskiem i schronieniem? Czy też może rzeką – Brynicą, Czadeczką, Odrą, Olzą, Ostrawicą, Puńcówką, Wisłą... – zbierającą po drodze osad wieków, ale równocześnie stale zasilaną świeżymi wodami ze źródeł i dopływów? Pytania te jednak otwierają perspektywę odrębnych rozważań.

¹ A. Lysko, *Duchy wojny. Dziennik żołnierski 1942-1944. W koszarach pod szczytami Alp*, Katowice 2008, s. 12.

² R. Hoggart, *Spojrzenie na kulturę robotniczą w Anglii*, Warszawa 1976, s. 100.

³ O. Pamuk, *Stambul. Wspomnienia i miasto*, Kraków 2008, s. 325.

⁴ J. Ortega y Gasset, *Bunt mas*, Warszawa 1997, s. 191.

⁵ Cz. Miłosz, *Rodzinną Europą*, Warszawa 2009, s. 18.

⁶ *Akropol z holdy – czyli teologia Śląska. 25 rozmów z księdzem Jerzym Szymikiem o Śląsku i teologii, o poezji i kapłaństwie, o Pszowie i podróżach, o życiu i naszym świecie*, Katowice 2002, s. 31.

⁷ G. Morcinek, *Listy z mojego Rzymu*, Warszawa 1957, s. 16. Cytat w tłumaczeniu autorki eseju. W oryginale jest w języku angielskim.

⁸ Tamże, s. 21.

⁹ K. Wyka, *Bose ścieżki*, [w:] K. Wyka, *Nowe i dawne wędrówki po tematach*, Warszawa 1978, s. 5-6.



Dekada wielu pytań

1 maja obchodziliśmy dziesiątą rocznicę przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. O konsekwencjach tej dekady dla Polski i Śląska opowiada prof. zw. dr hab. Genowefa Grabowska, kierownik Katedry Prawa Międzynarodowego Publicznego i Prawa Europejskiego na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego, a także deputowana do Parlamentu Europejskiego w latach 2004-2009.

– Wydaje się, że 10 lat członkostwa to czas wystarczający dla dokonania pewnych podsumowań. Nie jesteśmy już w Unii państwem-nowicjuszem, a okres naszej nauki funkcjonowania we wspólnocie powinien mieć się już ku końcowi. Czy tak jest w istocie?

– Na początku postrzegano nas jako przybyszy z innego, niezrozumiałego dla „starej Unii” świata. Byliśmy zmuszeni udowodniać swoją wartość, by zaczęto nas traktować poważniej. Gdy zaczęliśmy w pełni uczestniczyć we wszystkich instytucjach unijnych, musieliśmy sobie wyrybywać drogę, żeby pokazać, że chcemy aby na tę część Europy, w której żyjemy i jej specyficzne problemy, zwracano należytą uwagę. Świetnym przykładem jest próba skierowania wzroku Unii na wschód, miast koncentracji tylko na obszarze Morza Śródziemnego. Owocem tej idei był współtworzony ze Szwedami projekt Partnerstwa Wschodniego, którego zamysł był znakomity. W praktyce okazało się jednak, że trafił na istotne przeszkody, co najlepiej widać w kontaktach z największym państwem objętym programem, czyli Ukrainą. Flirt z Kijowem szedł bardzo daleko, aż do wydarzeń z jesieni 2013 roku, gdy zadziałała geopolityka i wielki sąsiad przypomniał o sobie. Trudno powiedzieć czy była to bardziej wina Janukowycza, czy Unii, która była zbyt mało hojna. Ale jeżeli integracja miałaby się opierać tylko na „kupnie” partnera, to miałyby się z celem. Mam wrażenie, że sama Ukraina nie była wówczas w stanie zadeklarować czy jako całość chce wejść do Unii i rozumie jakie wyrzeczenia się z tym wiąże. Ponieważ ta polityka nam nie wyszła, można było zaobserwować polskiego geopolitycznego kaca, objawiającego się w mocnym promowaniu Ukrainy, które jednak wiązało się z antagonizowaniem Rosji. Podczas, gdy mądry polityk zostawia sobie zawsze ścieżkę odwrotu, my ją bardzo zawęziliśmy. Swobodę manewru mamy tylko wtedy, gdy robimy coś wspólnie, z Unią lub NATO. Ale zbudowanie spójnej polityki UE wobec Ukrainy, w kontekście gospodarczego zaangażowania państw członkowskich w Rosji, jest bardzo trudne, a może wręcz niemożliwe. Jak 28 państw ma tu mówić jednym głosem?

– Jaką ocenę można wystawić naszym urzędnikom pracującym w instytucjach unijnych oraz europolsom?

– Niestety nie bardzo umiemy nasycać administrację UE obywatelami polskimi. Z moich obserwacji wynika, że w Parlamencie Europejskim nie ma jednostki, gdzie nie byłoby Hiszpana, Niemca czy Francuza. Zwłaszcza Hiszpanie prowadzili doskonałą politykę personalną, mimo że przecież nie byli założycielami Unii. Nie hałasujcie – radzili nam – nasycajcie administrację młodymi ludźmi od najniższych stanowisk. Oni

będą awansowali i zajmowali odpowiednie wysokie posady. Tymczasem my nie pokazujemy młodym ludziom ścieżki, uświadamiającej im, że jeśli są dobrzy, to mają szansę w UE zaistnieć. Nie promujemy konkursów na krajowym podwórku, mówiąc na czym to polega, jak się starać. Jeśli zaś chodzi o europosłów, część z nich zdołała zdobyć sobie pozycję. Innym, jako że oscylują tylko w kręgu polskojęzycznym, przychodzi to trudniej. Jeśli chcemy mieć w Parlamencie Europejskim liczącą się reprezentację, to nie powinno być tam osób, które sobie nie radzą, czy takich, które idą po to, by Unię zniszczyć. To nieporozumienie, zwłaszcza że te frakcje które mają eurosceptyczne nachylenie, nie mają tam prawie nic do powiedzenia. Wybranie odpowiednich przedstawicieli jest tym bardziej istotne, że rola PE ciągle rośnie, a posłowie chcą mieć coraz większy udział w tworzeniu unijnej prawa.

– Mówiąc o ekonomicznych korzyściach z integracji Polski z UE, często ogranicza się do podawania, istotnie imponujących, kwot dotacji. Czy jednak należy być zadowolonym z tego, jak te pieniądze zostały wykorzystane?

– To bardzo ważna kwestia. Mówimy, że większość środków poszła na modernizację. Ale rozglądając się dookoła widzimy, że modernizacja oznacza tu głównie autostrady. Tymczasem w tym wymiarze liczą się również zmiany w administracji, w dostępie obywatela do władzy, do środków unijnych. Gdyby chcieć wskazać jeden podstawowy problem, to należałoby podkreślić, że fundusze wydawaliśmy głównie na sprowadzenie do kraju nowych (ale przecież nie najnowszych) technologii, czy na kupno licencji. Oznacza to, że nie mamy innowacyjności. Jest bardzo niewiele rzeczy, które wymyśliliśmy za te pieniądze sami i uruchomili jako polski wyrób, który jest od nas kupowany. Więc w gruncie rzeczy oddaliśmy pieniądze tym, którzy wymyślili produkt, podczas gdy powinny one pracować na nas w kolejnych latach. Po drugie, sposób redystrybuowania środków był często naznaczony zachłystnięciem się biednego państwa, które natychmiast chciałoby dorównać zamożniejszym sąsiadom. Na przykład, by mieć w przestrzeni publicznej aquaparki, czy teatry pod gołym niebem. To jest przyjemne, ale często ludzie widzieliby więcej sensu w wybudowaniu mniej efektownej drogi dojazdowej do powiatowego miasta, tak żeby karetka mogła dojechać na czas. Zaczynamy od rzeczy wielkich, zakładając że mniejsze kiedyś tam się zrobi, więc wydajemy środki trochę bez planu. Jeśli to się nie zmieni, nie zrobimy skoku cywilizacyjnego, a będą się tylko rozwierały nożyce między bogactwem a biedą. Unijne traktaty mówią o podniesieniu

poziomu życia wszystkich obywateli UE, a nie tylko cienkiej warstwy ludzi, którym i tak żyło się nie najgorzej.

– Jak w tym kontekście należy ocenić wykorzystanie środków unijnych w województwie śląskim?

– Mam wrażenie, że w województwie, wykorzystując środki unijne, ciągle łatamy dziury albo wylapujemy pomysły. Brakuje mi wizji, w jakim kierunku mamy iść. Nie wiemy jaki będzie Śląsk za 10, 20, 30 lat. Surowce kiedyś się skończą, już teraz widać do czego prowadzi pogłębiona eksploatacja – przez działalność kopalni Silesia możemy stracić ostatnie uzdrowisko w Goczałkowicach. W ostatnich latach powstały różne strategie, a także miłe marzenia, jak to o Dolinie Krzemowej, ale chciałabym, żeby w najbliższym czasie wykorzystywać środki unijne na określenie kierunku, w jakim Śląsk ma pójść. Za to odpowiadają władze, które przez ostatnie lata nie zaproponowały mieszkańcom niczego. Trzeba wyraźnie powiedzieć jakie są ścieżki edukacyjne dla młodych ludzi, bo jeżeli mają oni mieć pracę, to nie da się utrzymywać tradycyjnego modelu kształcenia. Zlikwidowaliśmy szkolnictwo zawodowe, zrezygnowaliśmy z uczenia młodych ludzi świadczenia usług, a przecież usługi to przyszłość. Obserwujemy też niedobry trend związany ze zmniejszaniem się populacji w regionie, wyjazdami, głównie młodych, dobrze wykształconych ludzi, za granicę. Przewidywania mówią, że w 2030 roku liczba mieszkańców całego województwa zmniejszy się o 800 tys. osób. Z ubolewaniem słucham moich seminarzystów na studiach prawniczych, którzy tydzień po obronie wyjeżdżają do Szkocji, bo nie mają tu pracy. Tracimy ludzi, których tu wykształciliśmy, młodych, chętnych do pracy, osoby z inicjatywą, którzy nie boją się wyzwania. To pierwsza rzecz, którą trzeba zmienić, a nie widzę żadnych działań ze strony rządu, żeby wyjść naprzeciw i przy wykorzystaniu środków unijnych i odpowiednich programów, które są przygotowane, temu zapobiec.

– Badania sondażowe wskazują, że choć na tle zachodu kontynentu Polacy są wciąż niezwykle euroentuzjastycznie nastawionym społeczeństwem, to w ostatnich latach widać trend spadkowy. Uznaliśmy już nasze członkostwo w Unii za coś zwyczajnego?

– Na pewno ludzie się do pewnych rzeczy przyzwyczaili. Nie mamy też spójnego przekazu ze strony władzy jak ma być nasza polityka europejska. Opozycja za krytykuje Unię w wymiarze moralnym, wzbudzając obawy, że Bruksela przyjdzie i coś nam zrobi. Do rządu mam żal o to, że nie wprowadził Karty Praw Podstawowych. Przy-

jęliśmy ją, ale wnosząc obrzydliwe zastrzeżenie, mówiące, że Polacy (i Brytyjczycy) nie mogą dochodzić praw gwarantowanych w Karcie ani przed sądami polskimi ani europejskimi. To, co nam po takim dokumencie? Jesteśmy traktowani w tej materii jako obywatele drugiej kategorii. Tłumaczy nam się, że te prawa i tak mamy. Więc dobrze – chcę skorzystać z prawa, które mówi, że ludzie w podeszłym wieku mają pełny dostęp do uczestnictwa w życiu społecznym, gospodarczym i kulturalnym. Proszę mi pokazać gdzie to jest zagwarantowane? Ostatni raport Rzecznika Praw Obywatelskich wskazywał, że Polska zalega z przyjęciem ponad 70 konwencji związanych z prawami człowieka. Osobnym problemem jest też postawa samych Polaków – nasze społeczeństwo jeszcze nie jest typowo obywatelskie, nie nauczyliśmy ludzi działań oddolnych. Widać to choćby po frekwencji w referendum lokalnych. Mamy dziś środek do realizowania demokracji bezpośredniej w UE, w postaci Europejskiej Inicjatywy Obywatelskiej, która może uruchomić proces legislacyjny – niestety zaangażowanie naszych rodaków w tę inicjatywę jest prawie żadne.

– Profesor Geremek mawiał, że mamy Europę, ale jeszcze nie mamy Europejczyków. Czy można dziś mówić o wykształceniu się w Polsce tożsamości europejskiej? Jeśli tak, jakie są tego konsekwencje?

– Badania opinii publicznej wskazują, iż 10 lat po wstąpieniu do Unii znacznie wzrósł odsetek osób, które uważają się za Europejczyków. Nie oznacza to jednak, że osłabła identyfikacja z polskością – funkcjonują one równoległe. Dlatego nie upatruję żadnego zagrożenia w tym, że przychodzi jakaś tożsamość europejska, bo nikt nam nie wyrwie ani z serca ani z umysłu tego, że jesteśmy Polakami. Trzeba zaś zwrócić uwagę, że bardzo duży procent osób utożsamia się ze swoim regionem, małą ojczyzną. Swoją tożsamość wiąże z tym gdzie mieszkają, pracują, z lokalnymi tradycjami, niekiedy z żargonem czy językiem regionalnym. I to jest właśnie piękne – mottem Unii jest „zjednoczeni w różnorodności” – a różnorodność to bogactwo. To wiąże się również z dyskusowanym dziś często problemem śląskości. W Unii szanuje się mniejszości, a poza tym jest ona silną siłą regionów i to powinniśmy wykorzystywać jako region bardzo silny, żeby mówić wyraźnym głosem. A nie umiemy – i to jest kamyczek do ogródka naszych włodarzy regionalnych, którzy nie potrafia wykorzystać potencjału regionu, ani jego znaczenia nie tylko w Polsce, ale i w Europie.

Ucieczka od wolności

Domeną dzisiejszych czasów jest wolność, niezależność i szybkość. Jakkolwiek forma przymusu lub ograniczenia nas – ludzi dwudziestego pierwszego wieku – spotyka się z natychmiastowym sprzeciwem naszym oraz wszelkich organizacji, które stoją na straży naszych praw. Jest jednak sfera, w której dobrowolnie kulimy ogon pod siebie, narzucamy klapki na oczy i chowamy swoją dumę do kieszeni. Uzależniamy się dziś dużo łatwiej niż dawniej, ponieważ zmieniły się formy owych uzależnień. Coraz chętniej więc oddajemy im władzę nad sobą. Dlaczego? Ponieważ to lubimy...

Uzależnić można się od kawy, spacerów z psem, rurek z kremem lub od najlepszego przyjaciela. Słowem – od wszystkiego. Literatura z zakresu patologii społecznej rozróżnia dwie grupy uzależnień: substancjalne (tutaj m. in. najczęściej kojarzone ze słowem *uzależnienie* środki psychoaktywne) i niesubstancjalne (np. od pracy, gier, ćwiczeń, seksu). Dotychczas większość ludzi ogranicza problem uzależnień do alkoholu, narkotyków i hazardu. Obecnie jednak przedmiotami uzależniającymi stają się rzeczy, które wydają się (!) dużo mniej niebezpieczne...

Mieć czy być?

Inni wiedzą lepiej – niezwykle wygodna dewiza współczesności. Inni, a więc kto? Producenci najnowszych marek samochodowych, iphonów, smartphonów, playstation itp. Nie wolno również zapominać o niezawodnym wujku Google, który w ogóle wszystko wie najlepiej. Słuchając „innych” będziemy mogli poczuć się wyjątkowo. W zasadzie nie musimy nawet myśleć o tym, czego potrzebujemy. Wystarczy, że po prostu to kupimy. Zgodnie z tą zasadą gromadzimy, zbieramy, obwieszamy się najnowszymi gadżetami i wciąż poszukujemy nowych. Kultura konsumpcji wymaga dotrzymania kroku obowiązującym trendom, a cały cykl nowe/stare uległ przyspieszeniu. Tendencja ta prowadzi do nadużywania modnych produktów, szczególnie wśród młodych ludzi (choć nie tylko). Osoba szczęśliwa to, coraz częściej, osoba z najnowszym ipodem na uszach, smartphonem w kieszeni i z tabletem w plecaku. Plecak oczywiście również z odpowiednią metką. Brak jakiegokolwiek z tych elementów przekłada się na zmniejszenie uczucia zadowolenia, a niekiedy wręcz przekształca się w osobistą tragedię.

Wszystkie gadżety są tworzone z myślą o ich użytkownikach, mają one ułatwiać życie ludziom, oszczędzać im czas, dbać o ich komfort. Spełniając swoją rolę, niejednokrotnie ograniczają ludzką aktywność do minimum. Bo jakiego wysiłku wymaga kliknięcie w ekran smartphona? Kiedy dookoła nas dominują modne zabawki ich brak zdaje się nas wykluczać ze społeczeństwa. Odstawiamy od innych, ale czy przez to jesteśmy gorsi? Nikt nie chce być samotny ale czy naprawdę chcemy, by ocenę naszej osoby

warunkowało to, czy posiadamy nowego iphona, czy nie? By ważne było to, co mamy, a nie to jacy jesteśmy? Niestety większość ludzi jest podatna na wpływy i ulegnie modzie. Zatraci się, przestawi swoje priorytety i będzie czuła radość złudnego szczęścia. Jest jednak nadzieja, którą nie tak dawno podarował mi artysta, który pod jednym z katowickich mostów namalował na murze postać (ubraną najmodniej jak tylko się da) z napisem *zamiast boga – metki i loga*. A więc istnieje ta świadomość w ludziach, która ich niepokoi! Być może w mniejszości... ale jest.

Szyby niebieskie

Odbiornik telewizyjny to dziś norma w każdym domu. W niektórych bez trudu znajdziemy ich kilka. Stanowi on aksjomat wyposażeniowy taki sam jak łóżko, lodówka czy pralka. Dzisiejsza telewizja została zdominowana przez seriale i produkcje paradokumentalne. Telenowele typu „tasiemce” na szczęście odchodzą już do lamusa, choć w dalszym ciągu istnieją. Ilość uśmierceń bohaterów, ich późniejsze cudowne ozdrowienia, amnezje, niezliczone powiązania miłosne między matkami, szwagrami, braćmi itd. potrafiły przyprawić o mdłości nawet najbardziej zatwardziałego romantyka. Aby zrozumieć na czym polega fenomen seriali przeczytałam całe mnóstwo wypowiedzi internautów i szczerze mówiąc, nie jestem pewna czy obecnie sytuacja jest lepsza, niż ta w czasach świetności *Mody na sukces* czy *Bonanzę*. Wówczas bowiem ludzie zasiadali przed telewizorami w konkretnym celu. Ulice wyludniały się na godzinę, bo wszyscy śledzili losy bohaterów. Owszem, zagrabiano wówczas czas i uwagę odbiorców jednak

po godzinie wracano do normalnego, a przede wszystkim realnego życia.

Obecnie sytuacja wygląda zgoła inaczej. Telewizor bardzo często stanowi tło codziennego życia. Jego włączenie w wielu domach nabiera kształtu odruchu, czynności bezmyślnej i automatycznej. Ogranicza on tym samym rozmowę z domownikami do minimum, bo nikt przecież nie lubi przekrzykiwać się z kolorowym ekranem, ani walczyć z nim o kontakt wzrokowy. Tym bardziej że świat telewizyjny jest dużo bardziej ciekawszy i atrakcyjny dla osób od niego uzależnionych.

Polskich serialoholików dzielę na dwie grupy. Kryterium podziału stanowi tutaj celowość oglądania programów. Pierwsza grupa serialami koloruje sobie życie. Zaliczają się do niej fani (jeśli już nie maniacy) tych produkcji, w których wszyscy bohaterowie mają po dwadzieścia kilka lat, a nawet jeśli są starsi to i tak wyglądają na góra trzydziestkę, zarabiają krocie, do pracy wychodzą dwa razy na tydzień. Mają całe mnóstwo wolnego czasu na zabawę i spotkania z przyjaciółmi. Żyć nie umierać! Takie życie jest ciekawsze od naszej szarej codzienności. Jakże łatwo więc uciec od problemów i zmęczenia dnia codziennego do tak kolorowej alternatywy jaką podsuwa nam telewizja! Ci, którzy oglądają większą ilość tego typu produkcji na co dzień nie zastanawiają się jak mało rzeczywista, jak niezwykle nierealna jest codzienność oglądanych przez siebie bohaterów. No bo po cóż, skoro tak łatwiej? Druga grupa to osoby, które włączają telewizor po to, aby się wyłączyć. Dosłownie. I tutaj pojawiają się niezwykle popularne w ostatnim czasie seriale paradokumentalne typu: *Dlaczego ja?*, *Trudne sprawy*, *Ukryta prawda* itp. Programy te nie wymagają od umysłu odbiorcy niczego ponad rejestrowanie obrazu i dźwięku. Twórcy postarali się nawet o narratora, który wytłumaczy (żeby widz sam nie musiał się wysilać i domyślić), że kiedy pan X krzyczy na pana Y, to prawdopodobnie jest na niego zły. Po wypowiedzi narratora, pan X sam powtórzy to do kamery, żeby zatrzeć wszelkie wątpliwości. Po obejrzeniu jednego odcinka, byłam w równym stopniu przerażona co zażenowana. Przerazona stopniem oglupiania ludzkich umysłów, zażenowana faktem, że musi istnieć popyt na tego typu produkcje. Odnoszę wręcz wrażenie, że jeśli tendencja ta się nie zmieni, za kilka lat przed telewizorami zasiądą jedynie wyjęte z przejażdżonych horrorów bezmózgie zombie.

Uzależnienie od seriali jest realnym zagrożeniem dwudziestego pierwszego wieku. Produkcje te, podobnie jak wszystkie inne dobra masowej kultury, są odpowiedzią na zapotrzebowanie rynku. W dzisiejszym zabieganym świecie stają się one jedną z najłatwiejszych dróg do tego, aby odpocząć, rozluźnić się, wyłączyć... Problem pojawia się wówczas, kiedy niezauważalnie i po cichu zaczynamy układać swoje życie według nich, kiedy pierwsze co robimy gdy wstajemy rano to włączenie telewizora,

kiedy nie potrafimy funkcjonować bez obejrzenia jednego odcinka, do tego stopnia że musimy go nagrać, kiedy w przerwie reklamowej przełączamy się z jednego serialu na drugi. W taki sposób powoli izolujemy się od świata i od innych ludzi. Może zamiast spędzać kolejne popołudnie z rodziną Lubiczów, warto poświęcić je swoim najbliższym?

Kciuki w górę!

Facebook. Aby uzmysłwić sobie jego popularność, wystarczy zerknąć w liczby. Ponad czterdzieści procent jego użytkowników poświęca mu aż 6,5 godziny tygodniowo! W przypadku młodzieży czas ten rośnie do ponad 8 godzin. Siła przyciągania Facebooka jest na tyle duża, że naukowcy rozróżnili uzależnienie od internetu, od uzależnień od portali społecznościowych.

Specyfika ich działania na umyśle ludzkie jest dosyć prosta. Po pierwsze, facebookowicze zaspokajają jedną z podstawowych potrzeb ludzkich – potrzebę przynależności do grupy. To właśnie ta potrzeba sprawia, że mamy tak ogromną słabość do wszelkich portali społecznościowych, że chcemy w nich być. Po drugie, facebook fantastycznie dogaduje się z naszym ego. I właśnie w tym tkwi jego największa siła. Udostępniając swoje zdjęcia i filmy, jak również wygłaszając swoje wypowiedzi kreujemy własny wizerunek, jednak jest on dokładnie taki, jaki chcemy żeby był. Jesteśmy więc piękniejsi, mądrzejsi słowem lepsi, niż w rzeczywistości. Ponadto facebook to ciągły system oceniania, z tym że został on skonstruowany tak, że oceny mogą być tylko pozytywne. Użytkownicy prześcigają się w ilości „lajków”, jednak co ciekawe klawisz „nie lubię tego” w ogóle nie istnieje. Możemy więc albo kliknąć na kciuka uniesionego w górę, albo zaniechać klikania. Innej alternatywy brak. Nawet jeśli zechcemy pokusić się o negatywną opinię w postaci komentarza, użytkownik, którego owa opinia dotyczy jednym kliknięciem może ją usunąć. Przebiegłość portalu polega więc na ciągłym łechtaniu ludzkiej próżności, która jest obecna w każdym z nas w mniejszym lub większym stopniu. Uzależnienie od facebooka, jak i od innych tego typu portali społecznościowych jest realnym zagrożeniem szczególnie dla osób ze skłonnościami narcystycznymi oraz dla ludzi zagubionych. Dla tych pierwszych to idealne audytorium, przed którym mogą do woli błyszczeć swoim przerośniętym ego, wygłaszać pseudowyszukane opinie i pozwalać się wielbić poprzez kolejne „lubię to”. Dla osób zagubionych jest to z kolei miejsce, w którym mają one szansę znaleźć inspirację dla różnych sfer swojego życia. Dla takich ludzi portale społecznościowe mogą być ratunkiem, o ile tylko nie zatracą granicy między tym co wirtualne, a tym co rzeczywiste. Najbardziej zagrożona wydaje się jednak młodzież, głównie ze względu na jej skłonność do zbyt emocjonalnego podchodzenia do świata wokół. Dla nastolatka brak akceptacji, lub zbyt mała reakcja

na jego zdjęcie czy film (a zatem i na jego własną osobę) może przybrać formę osobistej porażki i ostatecznie wpłynąć na jego samoocenę. Z kolei każda pozytywna reakcja działa jak system nagród, który kusi kolejnym wpisem, komentarzem lub informacją, a jak wiadomo apetyt rośnie w miarę jedzenia...

Magnetyzm facebooka działa dziś na całym świecie, a liczba jego użytkowników stale wzrasta. Oczywiście sam fakt posiadania konta na owym portalu nie czyni z nikogo osoby uzależnionej, jednak jak większość nałogów atakuje po cichu i rzadko kiedy je dostrzegamy na czas, szczególnie jeśli je lubimy... Niejednokrotnie już przemknęło obok mnie zdanie: *nie ma Ciebie na facebooku? Nie istniejesz!*

Teraz przyjemność

Wszystkie środki psychoaktywne dają krótkie (!) uczucie szczęśliwości. Dlatego właśnie problem narkomani, lekmani czy alkoholu prawdopodobnie nigdy nie zniknie całkowicie. Uzależniamy się aby poczuć różnicę, zmianę nastroju. Wszystko to, co powoduje wzrost poziomu adrenaliny we krwi jest pożądane. Atrakcyjne są więc nie tylko substancje ale również czynności, a więc m.in. uprawianie hazardu, pracoholizm, nadmierne objadanie się czy seks.

Obecnie wszystko co predestynuje do bycia dobrym (w rozumieniu większości) musi być przede wszystkim szybkie. Fast food, fast car i fast sex to dziś standardy. Wszystko co wymaga większej uwagi lub, co gorsza, wysiłku, dla większości młodego pokolenia jest po prostu stratą czasu. Żyjemy w stanie permanentnego „dziania się”. Kiedy się nie dzieje, jest zwyczajnie, nudno i nieciekawie. Jesteśmy

Każdy nałóg sprowadza się w gruncie rzeczy do przyjemności. Bez względu na to czy odczuwamy ją dzięki wypiciu dziesiątej filiżanki kawy, czy przez obejrzenie trzysetnego odcinka piątego z rzędu serialu.

bombardowani całą masą produktów, które są dostępne w każdej chwili, na wyciągnięcie ręki. Przyzwyczajono nas do natychmiastowego spełniania naszych potrzeb, które coraz częściej przybierają formę zachcianek. Nieco starsze pokolenia są w odrobinę lepszej sytuacji, potrafią ocenić priorytetowe potrzeby, pamiętają czasy kiedy trzeba było powalczyć o coś, co chciało się mieć. Odnoszę wrażenie, że dawniej (choć nie tak dawno, bo zaledwie kilkanaście lat temu) byliśmy bogatsi mentalnie. Życie człowieka dyktowane było poprzez kategorie ból/ przyjemność, a więc aby owej przyjemności zaznać, najpierw należało na nią zapracować, wyczerkać się na nią. Dziś wszelki wysiłek nie jest konieczny. Nieustannie dążymy do niekończącej się przyjemności, bez względu na to, czy dotyczy ona sfery ducha czy ciała. Stanowi to uzasadnienie wzrostu liczby uzależnień zarówno jeśli chodzi o podmioty uzależnień jak i przedmioty uzależniające. Każdy nałóg sprowadza się w gruncie rzeczy do przyjemności. Bez względu na to czy odczuwamy ją dzie-

ki wypiciu dziesiątej filiżanki kawy, czy przez obejrzenie trzysetnego odcinka piątego z rzędu serialu. To ona sprawia, że czujemy się szczęśliwi. Bardzo łatwo jest zgubić się w takim stanie, nie zauważyć kiedy granica oddzielająca niegroźną rozrywkę, od niebezpiecznego nałogu ulegnie zatarciu. Tym bardziej że tak do końca nie chcemy jej dostrzec. Znieczulamy się na niewygodne dla nas fakty, a więc dlatego mielibyśmy pozbywać się przyjemności, skoro jest nam z nią tak dobrze? Przecież *szczęściu trzeba pomagać*, czyż nie? A w owym złudzeniu radosnego życia, pełnego zabawy, emocji i gonienia za rozrywką krzyczymy, że jesteśmy ludźmi wolnymi, że możemy robić co chcemy, jak chcemy i kiedy chcemy! Niech wszyscy, bez wyjątku, wiedzą, że każda próba ograniczenia naszej jakiegokolwiek wolności będzie odbierana jako zamach i akt agresji i że spotka się z natychmiastowym sprzeciwem. To przecież my, ludzie dwudziestego pierwszego wieku sami sobie jesteśmy panami... czy aby na pewno...?

Obecny rozwój cywilizacyjny i nowoczesne technologie oferują nam możliwości, o jakich nasi przodkowie nawet nie mogli marzyć. Niestety mimo złudnego wrażenia, nie przekłada się to na wzrost poziomu szczęścia. Człowiekowi, który stale goni za szybszym i łatwiejszym życiem, dużo łatwiej zgubić samego siebie. Kolejne dni mijają nam bez zastanowienia a nasze kontakty z ludźmi stają się coraz bardziej powierzchowne. Uczestniczymy w ich życiu częściej poprzez portale społecznościowe niż w rzeczywistym, namacalnym świecie. Zapominamy o tym co naprawdę ważne, oddając nasze życie telefonowi komórkowemu, internetowi czy telewizji.

Uzależnienia to jeden z największych paradoksów, jakie dotyczą człowieka. Towarzyszyły mu od początku jego istnienia i będą z nim zawsze. Dziś – bogatsi o mądre głowy psychologów, znajomość patologii społecznych, dużo silniej stawiający na niezależność, gotowi na wiele kiedy tylko poczujemy, że ktoś chce choćby w najmniejszym stopniu ograniczyć naszą wolność – właśnie dziś, bardziej niż kiedykolwiek pozwalamy sobie na uzależnienia wszelkiego rodzaju. Są one mniej lub bardziej inwazyjne, jednak bez wątpienia coraz to rozmaitsze ich formy wkraczają do naszej codzienności. Człowiek, istotnie, nie chce być wolny. Wolność całkowita go przeraża i prawdopodobnie budzi w nim strach. Stuprocentowa samokontrola nie istnieje i nigdy nie istniała. Nawet czas wolny musi być wypełniony względnej jakości zapychaniami, byleby tylko coś się działo. Działająca wolność, zdaje się, polega na naszym niezależnym wyborze tego, co ową wolność ma ograniczać...

THÉRÈSE
SOUDAN

Bal przodków

Z języka francuskiego
przełożyła
MARZENA DUPUIS

OD TŁUMACZKI:

Constance i Gabriel spotykają się na łonie dobrze prosperującej francusko-belgijskiej społeczności w Częstochowie.

Dziewczyna przyjechała do Polski jako sześciolatka, gdy jej ojcu zaproponowano intratną posadę w fabryce, której francuski właściciel pręźnie rozwija przemysł tekstylny na „rubieżach Europy”. Pozostała tu dwadzieścia siedem lat.

Gabriel, wcześniej osierocony przez wychowującą go samotnie matkę, zdobywszy dzięki wielu wyrzeczeniom zawód księgowego, marzy o podróżach do słonecznej Italii. Jednak pod wpływem coraz trudniejszej sytuacji przemysłu tekstylnego w jego rodzinnym północnym regionie Francji, decyduje się wyruszyć na Śląsk, gdzie wyrastają coraz to nowe kominy fabryk.

Życie francuskojęzycznej kolonii toczy się od smutków do radości w rytm historii ich przybranej ojczyzny. Pełni współczucia wobec uciemionych przez cara Polaków, wspierają mieszkańców Częstochowy, a małe gesty i przypadkowe spotkania owocują wieloletnimi przyjaźniami i ślubami.

Młodzi małżonkowie przeżywają w Częstochowie swoje najlepsze chwile, których tło stanowią wyjątkowe wydarzenia takie jak Wystawa Przemysłu i Rolnictwa ale i codzienna praca pełna dumy z bycia częścią postępu technicznego, który w tamtych czasach oznaczał dobrobyt.

Losy Constance i Gabriela przechyla się na szali 3 sierpnia 1914 roku, gdy wojska niemieckie wejdą do Częstochowy i zaczną represjonować członków kolonii, jako obywateli kraju, z którym Niemcy są w stanie wojny. Gabriel wyruszy na poszukiwania syna pozostawionego we Francji na wakacjach u dziadków. Już nigdy nie wróci do Polski.

Powieść jest książkowym debiutem Thérèse Soudan. Autorka odtwarza w niej wspomnienia swojej babki, dla której Częstochowa była kadrem części życia. Po trzech latach badań dokumentacyjnych i wizytach we wciąż zachowanych miejscach, w których toczyły się losy jej przodków, prowadzi nas poprzez dawne wcielenie ulic i zabytków tego miasta, patrząc na nie zachwyconymi i otwartymi na odmienność oczyma.

Przekład z języka francuskiego zrealizowano dzięki stypendium Marszałka Województwa Śląskiego maj – wrzesień 2013.

Polska pod zaborem rosyjskim 1851 rok

Zapręg zatrzymał się przed szeregiem piętrowych domków z cegły.

Między drzewami zagajnika Estelle dojrzała fabrykę. Wolno wysiadła z powozu, ogarniając spojrzeniem swój nowy świat.

– Tak oto nasza podróż dobiegła końca! – oświadczył Edouard, jej mąż, w nad wyraz dobrym nastroju.

Wspiął się pospiesznie po kilku schodkach prowadzących do drzwi wejściowych domu i podekscytowany otworzył je na oścież. Podczas gdy woźnica z pomocnikiem zestawiali na ziemię bagaże, Estelle wciągała w nozdrza zapach tego nieznanego kraju, do którego, jadąc za mężem, przywozila swoje dzieci: syna o imieniu Octave i córkę Constance.

Słońce chyliło się za horyzont. Dobiegający kresu dzień nasilał zapach ściółki przypluwający z pobliskiego lasu.

Mieszkańcy ustawionych w szeregu domów, zwabieni hałasem końskich kopyt na kamieniach, wylegli na alejkę, żeby przyjrzeć się nowym sąsiadom.

Pozdrowili ich z pewną rezerwą.

Edouard przeniósł kufrы i pakunki do dużego pomieszczenia na parterze domu. W tym czasie Estelle nadal kręciła się przed wejściem. Jej uwagę przykuwał zębaty kontur fabryki rysujący się na niebie.

Ogarnął ją przejmujący smutek. W pamięci ujrzała matkę.

Wspomnienie ich rozstania zburzyło entuzjazm towarzyszący odkrywaniu nowego miejsca, który prowadził ich od wyjazdu z Francji.

Starsza pani zamknęła ją w mocnym uścisku ramion. Jednak smutne oczy wodziły z rozpaczą za wnuczkami.

Estelle dołączyła do reszty rodziny myszkujej wewnątrz domu.

Edouard zauważył jej przygnębiony wzrok.

W ciszy zabrali się do pracy.

Słychać było jedynie radosne hałasowanie dzieci.

Po tym pięknym dniu noc przyniosła przyjemny chłód, którym właśnie się rozkoszowali.

Przywoływali wspomnienia przygód, które spotkały ich podczas tej ekspedycji w głąb Europy, a w tym czasie ojciec rodziny zniknął na chwilę. Wrócił, niosąc klarnet, który wydobyl z nierozpakowanego jeszcze kufrа. Swoimi płucami i dłońmi wyczarował melancholijną melodię.

Smutek ojca, mało skłonnego do czarnych myśli, wywołał u reszty rodziny niepokój.

Niespodziewanie przerwał grę, ciekawy efektu, jaki wywołał. Oczy mu się zwięzły, a usta, ponad jasną bródką przyciętą w trójkąt, rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Domyślam się, że waszym zdaniem jest mi smutno. Estelle stań do polki, a ja wam zagram!

Estelle skoczyła na środek, pociągając za sobą dzieci do tańca.

Wszyscy w tej chwili emanowali radością, jak to było zazwyczaj we Francji.

Od czasów Francji klarnet zawsze towarzyszył Choinetom w ważnych chwilach.

Pod rozgwieżdżonym niebem Polska przyjmowała ich w ramiona.

Pojawił się pierwszy brzask rodzącego się dnia. Estelle była zadowolona, że wreszcie się go doczekała.

Mało spała tej nocy, nękana z jednej strony masą pytań, a z drugiej podniecona odkrywaniem swojej nowej ojczyzny.

Jak ma ubrać dzieci na ich pierwsze wyjście? Jakimi ludźmi okażą się ich sąsiedzi? Oczywiście to Francuzi, tak jak oni. Tylko że niektórzy zajmowali w fabryce wysokie stanowiska podczas gdy Edouard był tylko podmajstrzym. Jak on zintegruje się w fabryce począwszy od poniedziałku? Czy ona sama znajdzie tu przyjaciółki? Jaką szkołę uda jej się znaleźć dla dzieci?

Nie mogła tego dłużej znieść i wyskoczyła z łóżka, żeby pójść zaparzyć kawę.

Warkot młynka obudził cały dom.

Octave i Constance rzucili się do okna swego pokoju, urzeczeni pierwszymi promieniami słońca.

Wczoraj przyjechali o zmierzchu, a teraz chcieli obejrzeć widok w świetle dnia.

Byli olśnieni: między niebem a horyzontem rysowały się faliste cienie pagórków. Blżej rozciągał się niewielki las, a słońce odbijało się w wodzie widocznej między drzewami.

Dzieci wymieniły porozumiewawcze spojrzenie, które poświadczyło, że to ważny moment w ich życiu.

[...] Edouard obiecał, że ten dzień poświęca na rozpakowywanie bagaży, ale że na jutro zaplanują zwiedzanie okolicy. Ta perspektywa wywołała okrzyki radości u dzieci. Pobiegły na zewnątrz bawić się z rówieśnikami.

Letnie upały pokryły potem Edouarda i Estelle. Gorliwie rozpakowywali kufry wypełnione bielizną pościelową i naczyniami. Nic nie było w stanie poskromić tej energii wywołanej nowym rozdziałem w ich życiu.

– Jeśli chodzi o meble, zobaczy się później – orzekła Estelle, ale w jej głosie brzmiało wahanie.

Edouard zdawał sobie sprawę, jak bardzo żałowała pięknych mebli z ich poprzedniego uroczego domu, stojącego przy lesie w północnej Francji.

– W żadnym razie! – powiedział. – W przyszłym tygodniu znajdziemy tu jakiegoś stolarza. Spójrz, tu bym widział duży stół z ciemnego dębu, a tutaj kredens na zastawę.

Edouard przemierzał pomieszczenie wielkimi krokami. Ramionami wskazywał umiejscowienie mebli, krzesel, stolików, lamp i bibelotów, które mieli zakupić. Estelle, siedząca na podłodze po turecku, wodziła za nim wzrokiem, rozczulona i rozbawiona.

– Zacznij od dużego łóżka, nie możemy wiecznie spać na ziemi.

Udał, że go ta uwaga uraziła.

– Masz jakieś zarzuty co do ostatniej nocy?

– Myślę przede wszystkim o tych, które nadejdą – powiedziała wycierając pot z czoła. Podniosła się i rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie.

– W takim razie, droga zoneczko, zajmijmy się łóżkiem jak najszybciej!

Jednak Edouard jeszcze nie skończył.

– Potrzebny nam też będzie duży piec na drewno, duży kaflowy piec, aż do sufitu.

– Edouardzie, ty zawsze przesadzasz.

– Wszyscy Polacy mają taki piec! – zareagował.

Po tych słowach powrócili do pracy. Czasem tylko rzucali okiem na drózkę, gdzie ich pociechy dołączyły do gromadki dzieci.

Z powodu głowy pełnej projektów i wysiłku wkładanego w pracę Edouard nabrał rumieńców. Jego zazwyczaj blade policzki znamionowały animusz, który uciszył dopiero chłód zmierzchu.

– A może zagrałbyś nam jakąś melodię? – podsunęła po kolacji Estelle.

Nie dał się prosić. Po pół godzinie muzykowania odłożył klarnet i uroczyście zapowiedział zgromadzonej rodzinie:

– Jutro jest niedziela. Wybierzemy się na wycieczkę, żeby poznać nasze nowe miasto. A teraz chodźmy spać.

W dniu zaplanowanego zwiedzania okolicy Estelle ze szczególną troską wybrała stroje dzieci. Ponieważ była to niedziela, dzień wyjściowy, wyciągnęła dla Constance sukienkę z białego jedwabiu ozdobioną koronką i dopinanym sztywnym kołnierzykiem, na widok którego dziewczynka jęknęła:

– Mamo, będzie mi gorąco, już rano pokazało się słońce. Kołnierzyk będzie mi przeszkadzał!

Rozłoszczona marudzeniem Estelle naciągnęła na nią sukienkę suchym gestem.

– Nie zapominaj, córeczko, że masz dopiero sześć lat! To ja decyduję, co należy założyć na pierwsze wyjście w tym kraju!

Zgromiona Constance spuściła wzrok na białe buciki i aż do wyjścia nie powiedziała ani słowa.

Kiedy buty zostały już wypastowane a ubrania wygładzone, byli gotowi.

Poszli wolno wzdłuż rzędu ceglanych domów. Zdaniem Edouarda zamieszkiwali je francuscy pracownicy tkalni.

Następnie doszli do niskich, znacznie skromniejszych domów zbudowanych z wapiennego kamienia.

– Coś takiego! – rzucił przez zaciśnięte zęby Edouard. – Założę się, że tu mieszkają polscy robotnicy z fabryki.

Zaklął:

– Do diabła, dla Francuzów nawet materiały budowlane zostały wybrane lepsze!

Przeszli obok fabryki. W odgałęzieniu drogi dostrzegli elegancką budowlę z wieżyczkami w narożnikach, a nieco dalej masywny dwupiętrowy dom mieszczący kilka mieszkań.

Te dwa ceglane budynki nadawały załkowi charakter zamożnego osiedla, którego nie psuł nawet widok wysokiego komina przylegającego do fabryki.

Przez ten czas niezbyt zainteresowane architekturą dzieci odkryły, że do lasu jest zaledwie kilka kroków.

Pobiegły w tamtym kierunku. Słońce powoli wspięło się po niebie.

Dwa strumienie rozlewały się, tworząc staw, którego część zobaczyli z okna pokoju. Między trzcinami jego powierzchnia odbijała słońce.

– Tato, mamo, chodźcie szybko, chodźcie zobaczyć!

Pierwszy dołączył do nich ojciec. Estelle najpierw podkasała suknię do kolan, żeby przebrnąć przez wysokie trawy.

Dzieci stały pod jakimś drzewem, twarze promieniowały im dumą z tego odkrycia.

Zapowiadał się piękny dzień.

– Powinniśmy teraz iść do miasta – zasugerowała Estelle.

– Nie, nie teraz! Chodźmy raczej nad rzekę, nad Wartę. Najpierw należało by zapoznać się z Wartą – opowiadał Edouard.

Po chwili dodał, wyjaśniając:

– To jej nurt nadaje sensu istnieniu fabryki.

Edouard zaczął wyjaśniać dzieciom związek między wodą a funkcjonowaniem fabryki włókienniczej.

– Edouardzie, przecież oni są za mali, żeby to wszystko zrozumieć.

– Zobacysz, zawsze coś im zostanie w głowach. Ale widzę, że niecierpliwisz się, żeby zobaczyć miasto...

W takim razie chodźmy tam – powiedział.

Zrobili w tył zwrot, żeby dotrzeć do ulicy Krakowskiej.

Edouard twierdził, że zaprowadzi ich ona do centrum miasta. Po chwili znaleźli się na dużym placu, gdzie liczni kupcy wystawiali na sprzedaż płody rolne i produkty pochodzące z hodowli zwierząt.

Naprzeciwko placu znajdował się uroczy kościółek, w którego progi nieprzerwaną falą wstępowali ludzie ściągający na targ. Od placu odbiegała szeroka droga. Zdawała się przedzielać miasto, nad którym kołowały niezmordowane wrony.

– Tato, czym jest ta budowla z dzwonnica na górze po drugiej stronie? – zaciekawił się Octave.

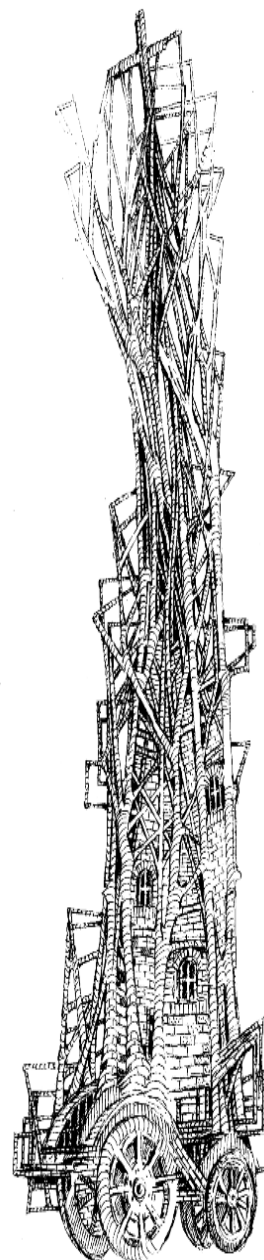
Na końcu tej niezmiernie długiej ulicy rysował się pagórek zwieńczony subtelnym zarysem murów.

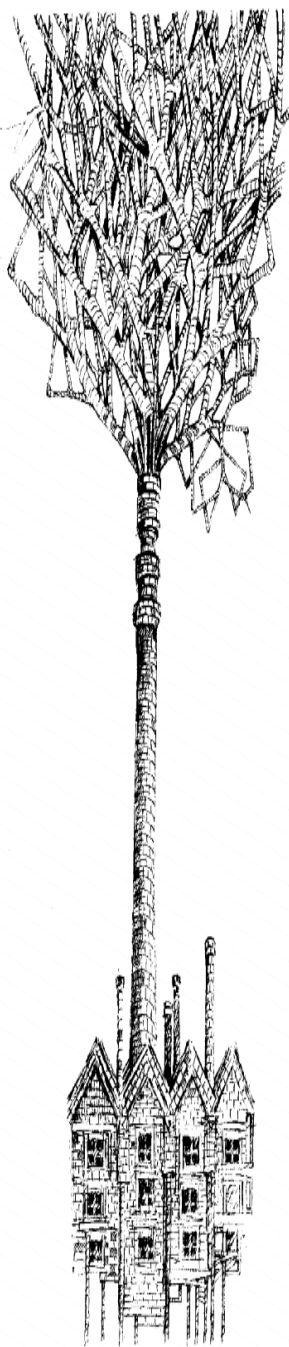
Edouard przyjął pozę nauczyciela.

– To sanktuarium *Jasna Góra*, w którym znajduje się słynna na cały świat ikona Czarnej Madonny.

Dla wywołania efektu wypowiedział to zdanie, podkreślając każde ze słów.

Dzieci przebiegły dreszcz.





– Znajdujemy się w mieście świętym dla Polaków!
Następnie dodał:
– *Jasna Góra!* Zapamiętajcie tę nazwę po polsku. [...]

Wracali do chłodnego domu mniej niecierpliwym krokiem.

Po drodze Edouard pozdrowiał mijanych ludzi, których jeszcze nie znali.

– Powinniśmy zacząć się integrować – powtarzał.

Dzieci zjadły obiad w pośpiechu, aby jak najszybciej kontynuować spacer po okolicy. Rodzice wydawali się mniej skłonni do wchodzenia na upał panujący na zewnątrz.

Po posiłku wszyscy jednak wyruszyli w drogę. [...]

Tym razem Estelle przejęła dowodzenie. Od razu pokierowała ich krokami w stronę kościółka, który minęli tego ranka.

Sklepiarze składali właśnie swoje kramy, uwalniając tym samym plac od hałasu.

Na drugim końcu alei czuwało z góry nad miastem sanktuarium, częściowo ukryte w lekkiej mgielce. Te dwa budynki wznosiły się po przeciwnych stronach arterii, w dość dużej odległości. Wyznaczały religijne granice miasta.

Kościółek zaciekał ich i cała rodzina zagłębiła się do jego wnętrza przez przedsionek.

Ogarnął ich panujący tam chłód i z przyjemnością usiedli w ławce, żeby się nim rozkoszować.

Jakiś pomruk przykuł ich uwagę: to wierni modlili się żarliwie, tworząc monotonne poszeptowanie.

– Przypomina to brzęczenie pszczół wokół słoika z miodem – mruknął Edouard.

To porównanie odbiło się po kościele echem, co gaduła przypłacił solidnym kuksańcem między zębra.

– Bezbożniku! – napomniała go Estelle.

– Ależ do diaska! Przecież oni nie rozumieją francuskiego!

Milczał przez chwilę, a potem dodał:

– A do tego modlą się w tonacji dla niskiego „la”.

Przesłał żonie spojrzenie pełne ironii.

– Jakież to przeraźliwie smutne, to niskie „la”.

Kiedy jednak wyczerpał temat muzyczny i on dał się ogarnąć urokowi miejsca, w którym rządził pozbawiony pychy barok.

Mocny zapach wosku dodawał jeszcze jedną ludzką nutę do tego wnętrza.

Świeżo zerwane białe kwiaty łączyły swój aromat z panującym tu zapachem czystości. Poza gorliwością modlitwy wiernych, siłę kultu widać było w bieli zadbanych ścian, błysku złocień, urodzie rzeźb, ale także w posłudze wyrażonej dbałością o to miejsce.

Estelle zniknęła na chwilę, aby poszukać nazwy kościoła.

Zapewne będzie on ich parafią.

Wkrótce wróciła na ławkę.

– To kościół pod wezwaniem świętego Zygmunta – szepnęła.

Wyobraziła sobie, jakie wydarzenia z ich szczęśliwej przyszłości mogłoby mieć w nim miejsce.

Ujęła dłoń Edouarda i ścisnęła ją w swojej.

Wyszli z kościoła świętego Zygmunta i przez chwilę rozglądali się po opustoszałym placu targowym. Aleja była bardzo długa, ciągnęła się kilka kilometrów do samego podnóża klasztoru.

Właśnie dlatego Edouard zaproponował przełożenie wizyty u Czarnej Madonny na następną niedzielę.

Dzieci pokonane przez zmęczenie i upał nawet nie marudziły z tego powodu.

W drodze powrotnej głowę Edouarda wypełniały myśli. Naszły go troski związane z dniem jutrzejszym. Nie mógł oddawać się w spokoju urokowi spaceru.

Idąca obok niego Estelle układała w głowie listę rzeczy do zrobienia.

Ogarnął ich niepokój, chociaż żadne z nich go nie wyraziło.

Słońce zaczynało ozłacać fasady domów. Drzewa, którymi wysadzana była aleja, rzucały długie cienie, co jeszcze podkreślało melancholijny nastrój tego wieczora.

– Chyba się denerwuję! – przyznał Edouard.

Głos mu zadrzął przy tych słowach.

Dzieciństwo w Polsce

[...]

Tej zimy, co niedzielę, Edouard zabierał Octave i Constance nad staw, gdzie spędzali czas aż do zachodu słońca.

Dzieci Choinetów często wspominały tamto Boże Narodzenie i prezent, którego zazdrościli im wszyscy koledzy.

Edouard nigdy nie protestował przeciwko temu, żeby tuzin innych dzieci dołączył się do nich.

Constance nie siadała od razu na sanie. Pozwalała najpierw nacieszyć się nimi bratu i kolegom. Wolała popatrzeć, jak inni ślizgają się pod opieką jej ojca.

Pewnej niedzieli nad stawem zjawiała się dziewczynka w jej wieku patrząca z zainteresowaniem na sanie wypełnione dziećmi.

Dziecko przemówiło do Constance po polsku. To Edouard, który poznał podstawy tego języka, zrozumiał, że mała chciałaby wsiąść na sanie.

Zawołał małych Francuzów, którzy z ociąganiem zawrócili do brzegu.

– Octave, daj usiąść na sanie swojej siostrze i tej dziewczynce i pociągnij je na środek stawu.

Octave zaprotestował, a wiatr rewolty natychmiast ogarnął resztę chłopców w grupie.

– Dlaczego ja?

– Bo to twoje sanie.

– Nawet jej nie znamy... Przecież to Polka! – powiedział samolubnie.

– Tym bardziej! – oburzył się ojciec. – I ruszaj się!

Dziewczynki usiadły, a Octave pociągnął sanie na lód.

Po powrocie z przejażdżki Constance wiedziała już, że dziewczynka ma na imię Magdalena.

Bariera językowa, akurat w tych okolicznościach działająca pozytywnie, nie pozwoliła małej Polce dowiedzieć się o niewybaczalnej wzdardzie Octave.

Jednak godziny, które nastąpiły po tym zdarzeniu, okazały się dla chłopca trudne za sprawą ojca.

– To, co zrobiłeś, było dyskryminacją! Jak możesz gardzić dzieckiem pochodzącym z kraju, który jest naszą przybraną ojczyzną?

Octave usiłował się tłumaczyć.

– Ale chłopcy z kolonii...

Ojciec domyślił się, co syn zamierzał powiedzieć i uciął mu w pół słowa.
– To, że są Francuzami i, jak niektórzy, dziećmi ludzi bogatych, nie daje im prawa okazywać pogardy osobom, które uważają za inne.
Estelle zachowała milczenie. Octave przyjął burę z pochyloną głową.
Ojciec zamknął się w pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Położył się, przeżył swój gniew i zasnął pokonany przez nadmiar emocji. [...]

Tej zimy Magdalena stawiała się nad jeziorem każdej niedzieli. Z brzegu wiernie wypatrywała francuskiej grupki, mając nadzieję na czas spędzony z Constance i saniami.

Nastały cieplejsze dni i położyły kres ślizgawce. W ciągu lata Magdalena często przychodziła bawić się u Choinetów. W ten sposób przyłączyła się do dzieci z kolonii, i chcąc nie chcąc, nauczyła ich podstaw polskiego.

– Czas najwyższy zacząć studiować polski! – zauważył ironicznie Jules Brett, przyjaciel Octave. Zaś ten, jako że nie przepuszczał żadnej okazji do zabyśnięcia, dodał:

– Kiedyś słyszałem, jak rodzice wspominali, że mówienie po polsku jest zabronione.

Jules nie pozwalał zdobyć nad sobą przewagi.

– Wiem, wiem. W tym kraju wypada mówić po rosyjsku.

– To wręcz obowiązkowe! Nie chodzi o to, co wypada, głupiotki Juleczku!

Octave powtórzył z zapalem jedno z wyrażen rodziców:

– To uciemnienie, człowieku! Uciemnienie!

Jules porzucił postawę wszystkowiedzącego i zwrócił się do przyjaciela z większą pokorą:

– Co to znaczy „uciemnienie”?

– To znaczy, że zabrania się myśleć i żyć tak, jakby się chciało. I zabiera się wolność, jeśli ktoś się sprzeciwia.

Tymi słowami dziecka Octave dowiedział, że zaczął wchodzić w wiek dojrzwania. Nagle naszło go wrażenie, że oto powiedział coś ważnego.

– W takim razie zbuntujmy się... Uczyńmy się polskiego po kryjomu! – podsumował Jules.

– Masz rację! W końcu polski to język kraju, który jest naszym przybrany domem.

To zdanie wywarło na Julesie silne wrażenie. Octave świadomie nie powiedział mu, że to określenie także pochodziło od jego rodziców. Pozwolił ogarnąć się uczuciu, że wypowiadając to zdanie jakby w okamgnieniu urosł.

Pod koniec lata Estelle spotkała na miejskim rynku Magdaleny i Alicję, jej matkę.

Dziewczynka pociągnęła kobietę w kierunku Estelle, a obie stanęły naprzeciwko niej. Dziecko podniosło głowę, aby skierować do matki kilka słów, całe zaróżowione z przejęcia. Estelle zrozumiała, że właśnie ją przedstawiano.

Matka Magdaleny zareagowała szerokim uśmiechem, ukazując liczne braki w uzębieniu.

Chociaż postępowany, jej strój był bardzo czysty i tak doprasowany, że świadczył o wielu staraniach.

Na szarej sukience z surowej bawełny zawiązała nieskazitelnie biały fartuch schodzący na dole aż do skraj spódnicy. Wykrochmalony czepek opinał ciasno jej głowę, ale i tak wymykały się spod niego skręcone pukle jasnych włosów okalające twarz o wysokich wystających kościach policzkowych. Gdy Alicja uśmiechała się, policzki ukrywały zupełnie jej oczy, równie szare co sukienka.

Pomimo braku zębów, matka Magdaleny wydała się Estelle całkiem ładna. W duchu rozczuliła się nad tym śnieżnobiałym czepkiem, który musiał być przedmiotem niezwyklej troski, aby przyciągać wzrok na siebie, a nie na zużytą sukienkę.

Za pomocą języka rosyjskiego i gestów matka Magdaleny podziękowała Estelle za dopuszczenie jej córki do zabawy z małymi Francuzami. Estelle pokiwała głową z serdecznością, a po chwili zrozumiała, że kobieta proponuje jej swoje usługi: tarła pięściami, naśladowując gest prania.

– Słodki Jezu, chodzi jej o pranie – pomyślała Estelle.

Nie namyślając się wiele, zgodziła się. Nie potrafiła odmówić, choćby dlatego, że Magdalena patrzyła na nią błagalnie.

Swoim koślawym rosyjskim Estelle ustaliła dzień, w którym Alicja mogła przyjść do prania.

Młoda kobieta ukloniła się przędko, schwyciła rękę Estelle i położyła ją na swoim sercu.

– *Dziękuję! Dziękuję!* – zawołała.

Magdalena uniosła rozjaśnioną twarz, a Estelle ucałowała ją spontanicznie.

Matka i dziecko oddaliły się lekkim krokiem. Alicja odwróciła się po raz ostatni.

– *Dziękuję! Poniedziałek!*

Estelle zrozumiała, że kobieta dziękowała jej i potwierdzała poniedziałkowe spotkanie.

Patrzyła za nimi, aż zniknęły w tłumie wypełniającym rynek.

– Mój Boże, co powie Edouard? Już mam panią Dąbrowską jako szwaczkę.

Edouard jednak nie zrobił żadnej uwagi. Pomysł wydał mu się całkiem dobry.

W każdy poniedziałek Alicja przychodziła do Choinetów.

Stawiała się o siódmej rano i od razu przystępowała do pracy w stojącej przy domu szopie zagospodarowanej na pralnię.

Bez ustanku okazywała zachwyt tym, że można całe pomieszczenie przeznaczyć na pralnię, co pozwalało zachować porządek w reszcie domu.

Estelle segregowała pranie przed jej przyjściem, wyciągała na środek balie do prania i płukania, tarę a także szczytki i mydło.

Okolo godziny dziewiętej Estelle wściubiła czubek nosa do pralni i za pomocą kilku słów po rosyjsku zapraszała kobietę do kuchni.

Alicja lubiła zapach kawy witający ją w domu. Pijąc chciwie ze swojej filiżanki, wyrażała ubolewanie, że robi taki kłopot.

Wyciągała z przemoczonego fartucha woreczek, zjadała szybko drugie śniadanie, ukrywając swój nędzny posiłek i wracała do pralni.

Estelle nie widziała jej potem aż do chwili, gdy pranie zawisło na sznurkach.

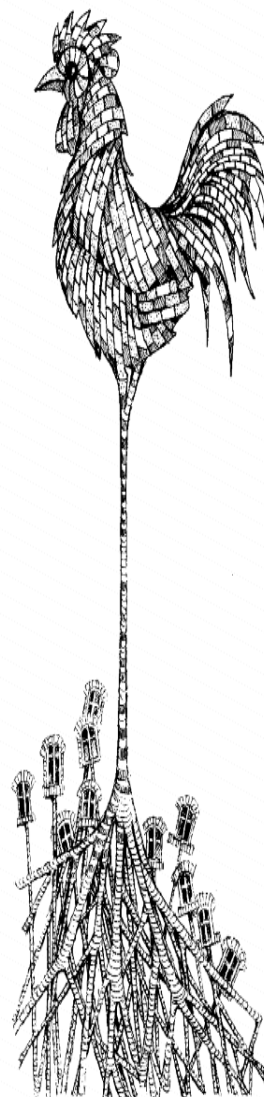
Wieczorem Alicja wkładała fartuszek do koszyka i szła po zapłatę.

Estelle dość szybko zauważyła, że jedynym posiłkiem Alicji był skrawek chleba, który z poczucia godności ukrywała przed wzrokiem innych.

Skorzastała więc z pretekstu nadchodzącej zimy, żeby dawać jej na obiad gorącej zupy z kawałkiem tłustego mięsa.

Często mimochodem wkładała do kosza, obok zmoczonego fartucha, kilka kawałków placka zawiniętego w czystą ściereczkę.

– To dla Magdaleny – dorzucała przędko, aby nie zawstydząć kobiety.



Soborowa ustawa o nieomyślności papieskiej z 18 lipca 1870 r. poruszyła duchowieństwo i wiernych Kościoła rzymsko-katolickiego w całej Europie. Jego owczarnia podzielona się na staro- i nowokatolików. Wielu opuściło ją dobrowolnie. Władze kościelne stanowczo potępiały nieposłusznych bądź wykluczały ich ze wspólnoty, której hierarchowie ustanowili nowe zasady wiary. Jeden z wyklętych kapłanów pisał: „wierze mojej, jaka aż do 18 lipca była, wiernym zostaje, a Biskupi od tej wiary odpadli, niby to dla utrzymania jedności Kościoła. Więcej jednak niż jedność znaczy prawda. Nigdy się do bluźnierczej nauki o nieomyślności człowieka przyznawać nie będę. Pozostają przy wierze w jakiej ojcowie nasi poumierali.”

Wojna o dogmat

Ks. Paweł Kamiński posługiwał wtedy wśród czeladników gminnego Rychtalu, zagubionego pośród łąk i lasów śląsko-wielkopolskiego pogranicza. Nie przychodziło mu nawet do głowy, aby wszczynać jakiegokolwiek wyznaniowe sesesje. Jeszcze jesienią 1870 r., kątem pomieszkując u wuja Jana Kucharza w Katowicach, nie bez dumy i pewnego sentymentu tłumaczył na język polski „Mały katechizm katolicki o nieomyślności”, bo był to dokument, prawie w całości zredagowany przez Piusa IX, z którym jako kapłan wygnaniec spotkał się osobiście kilka lat wcześniej i o którym pozostały mu miłe wspomnienia. Zajmował się tym tekstem chętnie i z nadzieją, że służy dobrej sprawie. Emocjonalnie był gotów bronić nowej zasady infallibilizmu.

Mijały trudne tygodnie gorącego lata 1870. Ludzie szemrali przeciw ultramontanom przywiązany do Kościoła papieskiego, księży w zaciszu plebanii, spierali się o dogmaty, Bismarck rósł w potęgę i brał w obroty Napoleona III. Europa stawała się coraz bardziej liberalna, Kościół rzymsko-katolicki przeistaczał się w samowładczą monarchię absolutną, a smutni mężczyźni w sutannach, na swego kolegę Pawła spoglądali wilkiem. Nie ufali mu bo był zbyt światowy; kiedyś pracował w Rzymie i Paryżu, był u papieża a do tego walczył w polskim powstaniu narodowym. W jego życiu zbliżała się chwila kolejnego przesilenia. Dręczyło go trudne pytanie o swoją własną tożsamość narodową. Czy on, przez tak wiele lat wierny najwznioślejszym ideałom polskiego patriotyzmu, mógł być lojalnym obywatelem wrogiego Pola-

kom państwa? A co z kapłaństwem? Powinien służyć Bogu czy biskupim zarządzeniom? Od kilku lat nie znajdował satysfakcjonującego zajęcia i swego miejsca na ziemi.

Jądro ciemności

W śląskiej diecezji huczało już jak w ulu. Pod koniec stycznia 1870 r. tutejsi katolicy wystąpili z petycją przesłaną do Monachium, tak jak cała Bawaria uchodzącego za ostoję niemieckiego katolicyzmu. Na adres Ignacego Döllingera, profesora tamtejszego uniwersytetu, uznanego katolickiego teologa, głównego przeciwnika dogmatu o nieomyślności papieża, skierowano list znanych i szanowanych naukowców Uniwersytetu Wrocławskiego popierających jego argumentację przeciw podniesieniu spornej tezy do rangi prawdy objawionej. Wśród podpisanych antydogmatyków znaleźli się między innymi profesorowie: filozof Peter J. Elvenich, znany filolog polonista Władysław Nehring oraz historyk i geograf Josef A. Kutzen. W lutym i marcu 1870 r. na terenie diecezji zbierano podpisy pod postulatami przeciw nowokatolicyzmowi.

Jesienią 1870 r. trzech profesorów Uniwersytetu Wrocławskiego: Johann B. Baitzer, Teodor H. Weber oraz Joseph H. Reinkens – wzięło udział w konferencji przeciwników dogmatu w Norymberdze. Na Śląsku jej echem były wystąpienia antysoborowe. Generalny wikariat we Wrocławiu w liście do biskupa Förstera stwierdzał, że wskutek norymberskich dysput „powstało wielkie wzburzenie”. Wierni pisali wprost do wrocławskiej kurii. Dy-

rekcja katolickiego gimnazjum we Wrocławiu ogłosiła protest przeciw postanowieniom soboru, komunikując, że podpisani nauczyciele występują z Kościoła. Podobnie zareagowała dyrekcja gimnazjum w Bytomiu, wyliczająca powody opowiedzenia się swoich pedagogów przeciw dogmatowi. Kuria wrocławska domagała się usunięcia ze stanowisk tych profesorów wydziału teologii katolickiej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz tych nauczycieli katolickich gimnazjów, którzy trwali przy starokatolicyzmie. Był to jeden z bitewnych frontów kulturkampfu, dzisiaj mniej znany, ale wówczas równie newralgiczny jak zmagania Kościoła z liberałami skupiającymi się pod sztandarami Bismarcka.

Na pruskim Śląsku, jednym z bardziej znanych polskich kapłanów nie akceptujących dogmatu i w konsekwencji wykluczonych z Kościoła Rzymskiego był ks. Jan Dzierżon, słynny pszczelarz, długoletni proboszcz w Karłowicach w powiecie brzeskim na Opolszczyźnie. On także publicznie skrytykował zasadę nieomyślności papieża uchwaloną w 1870 r. Na łamach liberalizującej „Schlesische Zeitung” stwierdzał m.in.: „Nie ma chyba większego grzechu jak przypisywać boskie właściwości komuś, kto jest zwykłym śmiertelnikiem, a ten absurd jest fanatycznie popierany przez przedstawicieli Kościoła. Chciałem wykształconej i myślącej społeczności katolickiej dać dowód, że nie wszyscy duchowni katolicy postradali rozum, że nie wszyscy stali się bezwolnymi narzędziami w ręku jednej, zaślepionej, fanatycznej partii”.

Narodziny „Prawdy”

Pewnego wrześniowego popołudnia 1870 roku, ks. Kamiński, tego dnia w garniturze i koloratce, a nie w sutannie, wszedł na schody jednej z katowickich kamienic i dyskretnie zapukał do drzwi mieszkania, w którym jego przybycia oczekiwali dwaj mężczyźni. Panowie spędzili tutaj kilka kwadransów rozmawiając o najnowszych wydarzeniach na arenie politycznej Królestwa Pruskiego, o soborze watykańskim zakończonym przed dwoma miesiącami i o sytuacji społecznej w Katowicach. Ich uwagę zwróciła grupa katowiczian pochodzenia polskiego, trudniąca się pracą na roli i w okolicznych fabrykach. Wszyscy trzej byli zdania, że z tymi ludźmi nie jest łatwo porozumieć się w sprawach modernizacji i unowocześnienia miasta, że są nieufni i obawiają się Niemców. Nawet w kościele Najświętszej Marii Panny nie czują się dobrze, bo proboszcz Schmidt nie posługuje się ich mową. Pod adresem ks. Kamińskiego padło kilka komplementów. Zauważono, że pięknie wysławia się w języku polskim,

a księży w całej diecezji po cichu zazdroszczą mu umiejętności wygłaszania wzruszających i porywających kazań. Ktoś mimochodem, mówiąc niby sam do siebie, napomknął, że ks. Paweł, autor wielu publikacji, mógłby redagować gazetę adresowaną do polskich katolików na Śląsku.

O tym wydarzeniu dowiadujemy się ze wspomnień ks. Kamińskiego. Jednak ani on, ani historia długo jeszcze nie ujawniała, kim byli jego dwaj rozmówcy. Tymczasem to z pozoru mało znaczące spotkanie miało przełomowe znaczenie dla dalszych losów ks. Kamińskiego.

Jeszcze tamtej jesieni rozpoczęły się przygotowania do wydania pierwszego numeru czasopisma religijnego o wymownym tytule: „Prawda. Pismo poświęcone religii i nauce”. Później podtytuł zmienił się na: „Tygodnik Kultury Historycznej dla Oświaty Ludu”. Przez najbliższe miesiące i kolejne 5 lat ks. Kamiński będzie bez reszty oddany swojej gazecie i pochłonięty jej redagowaniem.



Ks. Paweł Kamiński proboszcz parafii starokatolickiej w Katowicach.

Pismo i jego czytelnicy

Pierwszy numer „Prawdy” ukazał się w Katowicach, w styczniu 1871 r. Ani ten, ani kolejne nie zawierały treści, które mogłyby zaniepokoić duchowieństwo rzymskokatolickie i sprzymierzone z nim grono dziennikarzy. Wychodzący w każdy piątek tygodnik, objaśniał nauki Jezusa Chrystusa, zachęcał do chrześcijańskiej pobożności, napominał grzeszników i współczuł doli ubogich. W tym czasie ks. Kamiński nie wypowiadał się przeciw zwolnikom dogmatu o nieomyślności papieskiej. Na marginesie podszczypywał masonerię, która – jako elitarnie zaplecze władzy cesarskiej – w Katowicach i innych większych miastach Śląska przeżywała okres prosperity, i w gruncie rzeczy za nic sobie miała nieprzyjane pohukiwanie żurnalistów.

Pierwsze krytyczne uwagi pod adresem nowokatolickiego duchowieństwa i Kościoła „Prawda” zaczęła publikować na przedwiośniu 1871 r. Wypowiedzi ks. Kamińskiego wzbudzały żywe zainteresowanie Ślązaków. Jego gazeta była czytana i wędrowała od domu do domu. Była jedynym organem prasowym starokatolików na Śląsku. W Katowicach na spotkania Kółka „Prawdy” skupiającego czytelników i przyjaciół czasopisma, z jednej tylko huty „Marta” regularnie przychodzi-

ło 40 robotników. Kółko „Prawdy” było stowarzyszeniem przyjaciół o zbliżonych poglądach. Atrakcyjny – początkowo wyłącznie polskojęzyczny tygodnik, stosownie do zmieniającego się kręgu czytelników został przeprofilowany na pismo bilingwalne. W schyłkowym okresie ukazywało się w nakładzie 1000 egzemplarzy, z przerwami wychodziło do końca 1877 r.; ostatecznie jako „Wahrheit-Prawda”.

Wieloletnim sekretarzem redakcji tygodnika „Prawda” był Bernard Colbert, z zawodu buchalter, znany także z tego, że wspólnie z dr. Georgiem Hoffmannem, dyrektorem katowickiego gimnazjum, w 1894 r. napisał „Geschichte der Stadt Kattowitz” („Historię miasta Katowice”).

Starokatolicka gazeta była drukowana – najpierw przez nestora polskiego drukarstwa na Śląsku – Tomasza Nowackiego w Mikołowie, potem (od 27 numeru) przez Gotfryda Siwinę w Katowicach a następnie przez Erdmana Raabe w Opolu. Początkowo liczyła 8 stron z jednokolumnowym, wyłącznie po polsku zapisanym tekstem uzupełnionym ryciną anonimowego autora. Prócz literacko znakomitych homilii pióra ks. Kamińskiego prezentowała oryginalny komentarz w formie dialogu dwu Ślązaków – Wojtka i Jacka – rozmawiających swoją gwarą. Nie brakowało im poczucia humoru.

W późniejszych latach „Prawda” nie miała już ilustracji. Skurczyła się do czterech dwuszpaltowych stron, wypełnio-

nych mniejszą cześcią. W rubryce „Aktualności” odnotowywała ważniejsze wydarzenia z życia Śląska, Polaków i świata a w tak zwanych „inzeratach” zamieszczała drobne ogłoszenia. Jej wydawcą i redaktorem odpowiedzialnym był ks. Paweł Kamiński.

Można ją było dostać w renomowanej księgarni Maks Giertha, który w zarządzie gminy starokatolickiej pełnił funkcję przewodniczącego. Mieściła się przy katowickim Rynku a wchodziło się do niej od Grundmannstrasse 2 (obecnie: 3 Maja). Pod koniec XIX wieku popularna witryna księgarska i Zakłady Litograficzne przeniosły się na Friedrichstrasse 3 (obecnie: Warszawska 5). „Prawdę” oferowała również księgarnia „Gierth & Werner” znajdująca się w dziś nieistniejącej narożnej kamienicy u zbiegu Teichstrasse (obecnie: Stawowa) i Grundmannstrasse 30.

Przez ponad 100 lat wyglądało na to, że prawie wszystkie numery tygodnika ks. Kamińskiego zawierowały

się w niszach historii, albo też przepadły bezpowrotnie – oficjalne bibliografie nic o nich nie mówiły. Tymczasem dzięki kwerendom Justyny Żurek, studentki Uniwersytetu Śląskiego zbierającej materiały do pracy magisterskiej, udało się odnaleźć około 50 zapomnianych numerów „Prawdy” – niemal kompletny rocznik 1871. Pochodziły z „Biblioteki Walentego Fiałka”, słynnego kolekcjonera, drukarza i księgarza z Chełmna nad Wisłą. Przyprószone kurzem spoczywały na półkach Książnicy Kopernikańskiej w Toruniu.

Aż do roku 2010 przypuszczano, że do naszych czasów dochował się zaledwie jeden egzemplarz „Prawdy” – z numerem „1”, z dnia 2 stycznia inaugurujący rok 1874. Jego wierną fotokopię można oglądać na internetowych stronach śląskiej Biblioteki Cyfrowej. Oryginał znajduje się w zbiorach biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Schizma

W styczniu 1871 r. zostałem mianowany przez biskupa ordynariusza Förstera na stanowisko jednego z księży pracujących przy katedrze wrocławskiej, ale zrezygnowałem ze względu na różnice w wyznawanej wierze.” – tak o tym informował ks. Kamiński w życiorysie własnoręcznie napisanym 11 grudnia 1873 r. i adresowanym do swego nowego zwierzchnika, starokatolickiego biskupa Reinkensa.

W marcu 1871 r. grupa osób z Kółka „Prawdy”, zakupiła nieużywany już dawny katowicki kościółek Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny znajdujący się przy ówczesnym trakcie z Katowic do Załęża. Wydarzenie wzbudziło panikę wśród dostojników kościelnych i stało się przedmiotem licznych procesów sądowych, które dowiodły, że zawarta transakcja była nie całkiem legalna. Zanim jednak zapadły prawomocne wyroki ks. Kamiński i jego zwolennicy zdążyli znaleźć oparcie wśród wpływowych osobistości Katowic, wesprzeć się o stosowne paragrafy bismarckowskiego prawodawstwa i zapewnić sobie poczesne miejsce w rosnącym w siłę ruchu antydogmatycznym.

W kwietniu 1871 r., biskup Förster obłożył ks. Kamińskiego suspensą. To była nagana „za tendencje starokatolickie”. Gdy ukarany niepokornie odpowiedział listem otwartym, ksiądz Kościół wykluczył krnąbrnego kapłana ze swojej owczarni nakładając na niego ekskomunikę. Jednocześnie policja zapłombowała i zamknęła stary parafialny kościółek. Wtedy ks. Kamiński wystosował petycję do kancelarii Rzeszy podpisaną przez 400 osób – głównie czytelników „Prawdy” i jej sympatyków. W ich imieniu żądał wydania zasekwestrowanej nieruchomości. Gdy sprawa zaczęła się przewlekać, w kolejnej apelacji do Berlina datowanej na 14 lipca tego roku, zdeklarował się już jako zwolennik ruchu starokatolickiego. Katowicki magistrat polecił otworzyć bramy świątyni, a Kamiński odprawił w niej pierwsze na terenie Prus nabożeństwo starokatolickie wygłaszając kazanie po polsku i po niemiecku. Działo się to dnia 23 lipca 1871 r. Schizma w łonie rzymskokatolickiego Kościoła na Górnym Śląsku stała się faktem dokonany.

Dyskretny mecenat

Tygodnik „Prawda” ukazywał się w nakładzie 2500 egzemplarzy. Często, jako prezenty trafiała do najuboższych. Z samych abonamentów trudno było zapewnić trwałą byt gazecie. O pozyskanie dodatkowego funduszu na druk i upowszechnienie ks. Kamiński zabiegał również u władz państwowych w Berlinie. Niebawem, formalnymi sponsorami – nie eksponowanymi jednak w winiecie pisma czy choćby w redakcyjnej stopce – stali się kolejno: hr. Edward von Bethusy-Huc, posiadacz ziemski z Bąko-



„Prawda”, 1871 nr 2, strona tytułowa.

wa pod Kluczborkiem, zwolennik Bismarcka, poseł do parlamentu Rzeszy, założyciel – wtedy jeszcze bardzo wpływowej – Deutsche Reichs Partei, a po nim ekspułownik armii pruskiej Hubert Tiele-Winckler, protoplasta słynnego rodu arystokratów węgla i żelaza. Sekrety tego mecenatu ujawnia archiwalny dokument datowany na dzień 2 czerwca 1872 r.

Do 1873 r. – nadzór merytoryczny nad tygodnikiem, z ramienia władz państwowych sprawował urodzony w Gnieźnie Jakub Caro, profesor historii Uniwersytetu Wrocławskiego. W lipcu tego roku odmówił dalszej współpracy z Kamińskim i wnioskował cofnięcie przyznawanych subwencji. Publikacje zamieszczane na łamach recenzowanego czasopisma oceniał jako wystarczająco antyklerykalne, ale zbyt mało pro-rządowe i nie dość proniemieckie.

Ks. Kamiński realizował swój program walki z niegodziwością nowokatolickiego kleru, krzewił wiarę w duchu przed-soborowym a jednocześnie po ojcowsku dbał o to aby jego parafianie mogli modlić się i mówić w swoim ojczystym języku. Nie był dość państwowotwórczy i procesarski a co najważniejsze jego czasopismo nie sprzyjało popularyzacji i utrwalaniu kultury niemieckiej. Z całą bezwzględnością wytknął mu to wspomniany wyżej cenzor. Pisze o tym doskonały znawca prasy śląskiej Joachim Glensk stwierdzając, że ówczesne władze wspierając „Prawdę”, miały nadzie-

ję: „rozbić nią zwarty ruch centrowy na Górnym Śląsku. Była to jednak kolejna iluzja władz. Kamiński, zagorzały zwolennik odbudowy państwowości polskiej, zajmował się w „Prawdzie” prawie wyłącznie szerzeniem idei starokatolicyzmu”.

Na ostrzu noża

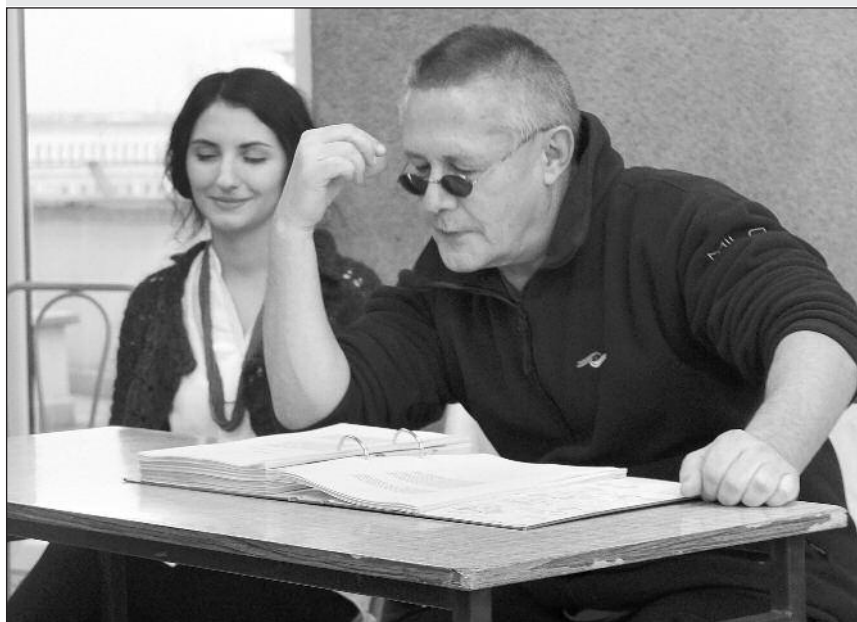
Noworoczne wydanie „Prawdy” z 1874 r. jest znamienne dla okresu jawnej wojny jaka wybuchła pomiędzy duchowieństwem nowokatolickim a wspólnotą ks. Kamińskiego. W treści i w tonie jest zdecydowanie różne od tego co publikowano 3 lata wcześniej.

Znajdujemy w nim dwa teksty. Pierwszy, to list pasterski biskupa Józefa Reinkensa, metropolity starokatolickiej diecezji z Bonn, któremu podlegała parafia w Katowicach. Dawny kuralista pałacu biskupiego we Wrocławiu, krytycznej ocenie poddaje dokonania Piusa IX i ustosunkowuje się do niektórych twierdzeń teologów Kościoła watykańskiego. Autorem drugiego, utrzy-manego w sarkastycznym tonie, jest ks. Kamiński. Swoją komentarz kieruje do kilku duchownych rzymskokatolickich i opatruje go wymownym tytułem „Zawezwanie do byłych moich współkapłanów kolegów”.

Niezatarte piętno

Działalność wydawnicza ks. Kamińskiego niemal od samego początku prócz przyjaźni miała przysięgłych wrogów. Jeszcze w 1912 r. spotkała się z potępieniem zacnego ks. Jana Kudeiry, pierwszego historyka polskiego dziennikarstwa na Śląsku, który niezyczącego już kolegę po piórze, nazwał „kamorantem”, „niespokojnym duchem i wichrzycielem”, dodając przy tym: „Gdy po ogłoszeniu dogmatu o nieomylności Papieża z końcem roku 1870 w Niemczech stwarzała się pod przewodnictwem profesorów gimnazjalnych i inspektorów szkolnych sekta tak zwanych „starychkatolików”, wtedy też u nas na Górnym Śląsku znalazł się odstępca i zdrajca ks. Paweł Kamiński, który pomiędzy polskimi katolikami ową sektę krzewił postanowił.”

Sformułowane wtedy arbitralne określenia trafiły do wielu opracowań i jako stereotypowe etykiety przetrwały do naszych czasów.



Od „Konspiracy” do Wysp Sołowieckich

Mariusz Wilk, autor słynnej „Wołoki”, nominowanej do Śląskiego Wawrzynu Literackiego (2006), oraz tetralogii „Dziennik Północny”, żeby wymienić tylko najwybitniejsze utwory, spotykał się ostatnio ze swoimi śląskimi czytelnikami i mówił o swojej metodzie twórczej, życiu na pustkowiu, fascynacjach wymierającymi kulturami na dalekiej Północy oraz o swoich planach pisarskich. Podczas jednego z takich spotkań, ze studentami i pracownikami Wydziału Filologii Uniwersytetu Śląskiego, poprosiłem pisarza o chwilę rozmowy.

– **Hasłem przewodnim tego spotkania było pojęcie „geopolityki”. Co się za tym hasłem kryje?**

– Jest to pojęcie stworzone przez pisarza Kennetha White’a, Szkota, który mieszka od wielu lat na północy Francji. Termin ten stał się bardzo modny. Moja interpretacja tego terminu jest taka, iż jest to próba oswojenia przestrzeni słowami, po to, żeby się w niej rozprzestrzenić samemu. Jestem wdzięczny losowi, że zetknął mnie z White’em, bo rozmowy z nim uświadomiły mi teoretycznie to, co ja robiłem praktycznie od wielu lat.

– **Jaka była droga, która zawiodła autora legendarnej już „Konspiracy” na Wyspy Sołowieckie?**

– To długa historia, która w wielkim skrócie wygląda mniej więcej tak: wyje-

chałem z Polski w 1989 roku. Najpierw to był Berlin Zachodni, potem Stany Zjednoczone, Moskwa i pucz, różne miejsca w Rosji, w końcu wojna w Abchazji. Przeżycia wojenne uświadomiły mi, że nie chcę być już dziennikarzem, a zwłaszcza korespondentem wojennym. Wyjechałem wtedy na Sołowki, gdzie znalazł mnie redaktor Jerzy Giedroń, przypadkiem lub nie, i zaproponował mi współpracę. I tak, jak na plaży w Suchumi umarł Mariusz Wilk korespondent wojenny, tak na Sołowkach narodził się Mariusz Wilk pisarz.

– **Domyślałem się, że ten poród nie był bezbolesny. Tam przecież wszystko jest inne; życie jest inne.**

– Uważam, że w życiu nie ma przypadków. Namówiono mnie na wyjazd na Sołowki, ponieważ szukałem miejsca, w którym mógłbym pozbyć się wojennej traumy. To, co zobaczyłem zachwycało mnie. Było tak pięknie, że nie chciałem już wracać i statek odpłynął beze mnie. Ojciec German, sołowiecki starzec, którego spotkałem w jednym z tamtejszych monastyrów, powiedział mi: – Mar, zatrzymaj się, a zobaczysz, że dalej dojdiesz. Pozostanie na Sołowkach to był taki rodzaj i postu, i modlitwy, i spowiedzi z całego życia. Uświadomiłem sobie, że idę nie tą drogą; że całe moje życie, do Abchazji, było nie tą drogą. Za szybko także szedłem. Można całe życie biec i uderzyć o grobową de-

skę. Natomiast ten moment, w którym się zatrzymałem, spowodował, że w pięć lat później trafiłem na łamy „Kultury”.

– **Co było pociągające w tym nowym życiu, a do czego trudno było się przyzwyczaić?**

– Właściwie to nie było w tym nic uciążliwego. Na przykład mnie nie potrzeba fitnessu, bo wystarczy przerażać codziennie przerebelać, żeby tę fizyczną siłę mieć. Dla kogoś, kto woli mieć ciepłą wodę z kranu, to może być uciążliwe. Natomiast wielkim plusem jest brak tego, co ja nazywam syfilizacją, tego natłoku reklam, pogoni za kasą, wygodami, tego wszystkiego, co nas otacza w wielkich miastach, także rosyjskich. A tam jest cisza i skupienie. Tam jest pustka.

– **Północ jest dla pana rodzajem absolutu; tak odbieram pana pisarstwo.**

– Może inaczej. Nie sama Północ jest rodzajem absolutu, ale ona zbliża do absolutu. Dzięki Tomaszowi Mertoniowi nie używam słowa absolut ani Bóg. Używam słowa Rzeczywistość. Tam tej rzeczywistości nic nie przesłania, ani reklamy, ani hałas. Tu tę Rzeczywistość widzę przesłoniętą przez rzeczywistość, czyli coś stworzonego przez nas. Tam nic nie zakłóca szumu wody, szumu topoli, śpiewu ptaków, tego co prawdziwe. Nie my stworzyliśmy Rzeczywistość.

– **Niektórzy krytycy zarzucają panu może nie tyle rusofilie, ile rusczenie języka polskiego, nadużywanie rusycyzmów.**

– Ja już na różne sposoby na ten zarzut odpowiadałem. Wygląda to tak, że od pewnego czasu piszę właściwie dla mojej córki, która jest pół Polką, pół Rosjanką. Piszę więc tak, jak uważam za stosowne, a komu się nie podoba, niech nie czyta. Dotyczy to zwłaszcza ostatniej książki, „Dom włączęgi”, a także tej, która właśnie powstaje i zmienia tetralogię „Dziennik Północny” w pięcioksiąg. To jest także książka o córce i dla córki, takie podsumowanie tego cyklu. Co będzie dalej, nie wiem jeszcze. Zapewne będzie to w dalszym ciągu włączęga, ale być może włączęga w czasie. Chce pokazać córce trochę swojej biografii, której inaczej by nie poznała. Jestem późnym ojcem i muszę się spieszyć, żeby pokazać jej dziadków, pradziadków, Lwów, który jest miastem mojego ojca, Wrocław, który jest moim miastem, Tynec pod Krakowem, który dla mnie jest ważny, także Kraków oraz moich przyjaciół.

W tej książce zwracam się do konkretnego czytelnika, który przeczyta ją za lat dwadzieścia parę, z głębokim, mam nadzieję zrozumieniem. To jest tak, jakbym wrzucił butelkę do morza, w nadziei, że ktoś ją odnajdzie.

– **Mieszka pan nadal w Rosji. Jaka jest pana opinia o tym kraju?**

– To jest Rodina mojej córki, a więc także po części i moja. Cztery i pół roku temu pewnie odpowiedziałbym inaczej, jako ktoś z boku, ale od czasu, kiedy pojawiła się Martusza, to jest także, poprzez nią, mój kraj. Wspaniali ludzie i bogata kultura, cudowna literatura, film, muzyka i fantastyczne przestrzenie. Kocham ten kraj i to jest też moja Rodina, choć mam także i Ojczyznę.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Jan Foks, syn Jana Foksa, jest sąsiadem Jana Foksa, syna Jana Foksa, którego dziadek Jan Foks ma kuzyrna Jana Foksa, a jego wnuk Jan Foks chodzi do jednej klasy z Janem Foksem, kolegą, którego tata też nazywa się Jan Foks. Pytanie: „Gdzie mieszka Jan Foks?”.

Kiedy przeszłość staje się przyszłością

Odpowiedź: w Wilamowicach, małym miasteczku między Pisarzowicami, Jawiszowicami, Starą Wsią i Zasolem Bielańskim. Nieopodal płynie wąska w tym miejscu rzeka Soła. Podróżujący do Wilamowic mogą obserwować równinę, po której hula wiatr, i tylko czasem nudę krajobrazu zakłóca samotne drzewo. Po drodze mija się też kilka niewielkich stawów hodowlanych. W podróży można więc spokojnie zająć umysł rozwiązywaniem zagadki sąsiedztwa Jana Foksa, syna Jana Foksa...

Ta równina, bezpieczna i przewidywalna stała się przed wiekami powodem, dla którego dzisiaj warto wybrać się do Wilamowic. Miasteczko leży w powiecie bielskim. Na powierzchni 10 km² żyje tu około 3000 mieszkańców. A kierowce wita dwujęzyczna tablica z nazwą miasta „Wilamowice” i „Wymysou”.

– Co to za język? – pomyśli zdziwiony podróżny.

Nazwa „Wilamowice” jest bardzo stara i pojawiła się już w zapiskach Jana Długosza w wersji staropolskiej „Wylamowycze” w księdze „Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis” z przedziałem czasowym 1470-1480. Intrygujący jest też herb Wilamowic dający proste skojarzenia z lożą masonską.

Taka mała osada, a tyle zagadek, tajemnic...

Spotkanie na rynku

Droga jest prosta. Bez trudu dojeżdżam na miejsce i zatrzymuję się na rynku. Po wyjściu z samochodu, w oczy rzuca mi się szyld: Domex. Z.H. Foks.

– Wędrówka dobrze się zaczyna – myśłę. Rozglądam się. Ryneczek raczej skromny. Z jednej strony góruje nad budynkami wieża kościoła parafialnego, z drugiej przykuwa uwagę zabytkowy dom w kolorze wiśniowym z wyraźnym napisem „Ochronka pod wezwaniem św. Anny”, obok księgarnia w małym żółtym budynku, sklepiki, widoczny z dala Urząd Miasta i Gminy oraz restauracja Rogowa, do której od razu zaglądam. Nie podają tutaj modnych dzisiaj kaw: macchiato czy espresso, za to można się napić zapomnianej, ale jakże klimatycznej „fusiary”.

– Co ciekawego można tu zobaczyć? – pytam kobietę za barem.

– Wilamowice są bardzo stare, mamy więc ciekawe stare budowle – odpowiada. – Ale ciekawsi są mieszkańcy.

– Właśnie jestem umówioną z jednym z nich – wychodzę na ulicę. Srodek tygodnia, ale tu życie płynie leniwie. Niespiesznie idę na ul. Niepodległości 3. Staję przed nowoczesnym budynkiem, niedużym, ale z wieloma szyldami. Czytam z ciekawością: „Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej Żywioł”, „Regionalny Zespół Pieśni i Tańca Wilamowianie”, „Koło Gospodyń Wiejskich”, „Gminne Centrum Zachowania

Dziedzictwa Kulturowego, Informacji i Edukacji w Wilamowicach”. To tutaj jestem umówiona z Tymoteuszem Królem, szefem centrum. Spodziewam się spotkać starszego pana, jak zwykle, kiedy umawiam się na rozmowę o dziejach, o przeszłości, czy ratowaniu tożsamości lokalnej. Tymczasem staje przede mną młodzieniec najwyższej dwudziestoletni. Ubrany jak urzędnik, z teczką w ręce. Wychodzimy na dziedziniec, z którego rozpościera się widok na domy mieszkalne, małe z ogródkami.

– W którym mieszka pan Jan Foks? – zacytnam.

– A jeżeli powiem, że w każdym? – mój rozmówca uśmiecha się.

– To nie uwierzę.

– To jest anegdota, ta opowieść o Janie Foksie i jego sąsiadach Janach Foksach, ale bliska prawdy. Jednak żeby odkryć jej istotę, trzeba poznać historię mieszkańców Wilamowic.

– Chętnie posłucham, bo Wilamowice jawią mi się jako miejsce pełne zagadek, tajemnic i niezwykłych zdarzeń.

– To prawda, a my, młodzi wilamowianie postanowiliśmy je odkrywać, pielęgnować i zachowywać dla następnych pokoleń – opowiada Tymoteusz. – Początek naszej historii sięga XIII wieku. Wtedy ziemie te były spustoszone przez najazdy tatarskie i książę opolsko-raciborski Władysław I postanowił sprowadzić tutaj osadników z zachodu. Przybyli w te okolice emigranci z Flandrii i Fryzji, które były wówczas nawiedzone przez powódzie. Właśnie te równiny położone z dala od wielkich rzek stały się dla nich enklawą spokoju i bezpieczeństwa, miejscem, gdzie mogli „zapaść korzenie”, rozwinąć swoje umiejętności i żyć dostatnio. Przywódcą osadników był Wilhelm lub Wiliam. Pierwsi emigranci osiedlili się w Starej Wsi, a powodzenie z kolejnej fali migracji zaczęli zakładać swoje domostwa w tej okolicy. Wówczas nazywano ją Wilhelmsau, czyli „błonie Wilhelma”. Ten płaskowyż pozwolił łatwo wytyczyć pola, na których wilamowianie uprawiali len. Osadnicy przywieźli ze sobą wysoką kulturę rolną oraz umiejętności tkackie, i to właśnie tymi dziedzinami zajmowała się zdecydowana większość ludności. Byli ponadto bardzo dobrymi handlarzami. Szybko stali się bogaci. W 1300 roku wybudowali swój kościół pw. św. Stanisława. W 1484 roku przybył do Wilamowic kanonik Adam Fox, pleban, wraz z bratem Wacławem. Z 1642 roku pochodzi zapis o szkole parafialnej, a z 1791 roku o zakupie przez wilamowian lasów i stawów dworskich „Leżajów” za 10 500 zł polskich. Potomkowie Flamanów, znakomici kupcy sprzedawali swoje towary w Istambule, Berlinie, Paryżu, Londynie, w Wiedniu. Przez to tak się wzbogacili, że w 1808 roku wykupili się z poddaństwa za 3000 koron reńskich, a w 10 lat później mieszkańcy wykupili prawa miejskie za 2000 koron. Gospodarze odstąpili pola na wy-

budowanie rynku, gdzie powstał urząd oraz szkoła, później urząd pocztowy, żandarmeria, raz w tygodniu odbywały się tutaj jarmarki.

– Pierwszy Jan Foks był jednym z osadników?

– Zapewne,

Jan Foks był Flamandem

albo jednym z ich potomków. Osadnicy w Starej Wsi zasymilowali się z czasem z Polakami, natomiast mieszkańcy Wilamowic, świadomi swojego dziedzictwa, starali się zachować swoją tożsamość i jedność. Stworzyli społeczeństwo homogeniczne kulturowo. Wprowadzono regulę nakazującą zawieranie małżeństw wewnątrz własnej grupy, w celu zabezpieczenia jej przed utratą członków, wzmocnienia izolacji i utrzymania odrębności. Było to społeczeństwo typowo endogamiczne, co miało istotne znaczenie w przekazywaniu kulturowych tradycji. Wilamowianie stworzyli więc wyizolowaną, specyficzną mikrogrupę etniczną otoczoną ze wszystkich stron przez Polaków.

– Stąd wzięła się ta powtarzalność nazwisk?

– Tak, wilamowianie żenili się między sobą, więc nazwiska były wciąż te same. Okazało się to bardzo przydatne w czasie II wojny światowej. Niemcy szukając konkretnego Jana Foksa, żeby wciągnąć go do wojska wpadali w labirynt takich samych nazwisk i często dawali za wygraną. Oczywiście zdarzały się też pomyłki tragiczne w skutkach, kiedy nie ten Jan Foks trafił do obozu koncentracyjnego, czy wysyłany był na Syberię. Lata II wojny światowej były w Wilamowicach, podobnie jak na Śląsku, trudne, bo Niemcy traktowali emigrantów, których język przypominał niemiecki, jak swoich, więc trzeba było podpisać volkslistę. Kto jej nie podpisał, był wysyłany do obozu koncentracyjnego. Trudne czasy dla kultury wilamowskiej trwały również po wojnie. Nowa władza komunistyczna postanowiła zniszczyć jej odrębność.

Dzwoni telefon. Tymoteusz zaczyna mówić ze swadą w dziwnym, trudnym do zidentyfikowania językiem. Nie jest to niemiecki choć brzmi trochę podobnie – twarzą. Próbuje cokolwiek zrozumieć, wyłapać jakieś znajome słowo. Bezskutecznie. Przypominam sobie napis na tablicy drogowej: Wilamowice/Wymysoü.

– Dzwoniła koleżanka. Zaprasza do siebie. Ona też jest zakręcona na punkcie naszego dziedzictwa. Pokaże pani strój ludowy, bo zbiera różne przedmioty związane ze strojem, pamiątki, właściwie wszystko, co jest ważne dla zachowania naszej wilamowskiej tożsamości.

Znów przechodzimy przez rynek, mijamy restaurację.

– Wilamowice naprawdę ładnie się prezentują – myślę. – Czyste miastecz-



Tymoteusz Król z Danutą Kubicą z Regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca „Wilamowianie”.

ko. Chyba przyjemnie się tutaj mieszka. Ciekawe, czy mieszkańcy wciąż tak radykalnie strzegą swojej odrębności? Sądząc po zachowaniu mojego towarzysza, który w mojej obecności używał nieznanego mi języka, jest to jakaś manifestacja inności.

– To był język wilamowski? – zapytałam.

– Tak. Korzystamy z każdej okazji, żeby go trenować i po prostu mówić.

– Jak się pan go nauczył?

– Przez słuchanie. Od dziecka słuchałem swojej babci. Uczylem się od niej. Powtarzałem. Potem zgłębiałem go, doskonaliłem. Wciąż się go uczę.

– Dużo osób zna wilamowski?

– Żyje jeszcze pokolenie dziadków, babć i pradziadków. Oni jeszcze tak mówią między sobą. Ich dzieci już nie. Więc na nas spoczywa teraz obowiązek zachowania naszej mowy. Od trzech lat uczę w szkole młodzież języka wilamowskiego. Chętnie przychodzą na lekcje.

Zatrzymaliśmy przed jednym z domów. Znów słyszę wilamowski. Dziewczyna wita się z Tymoteuszem. Do mnie mówi po polsku. Trochę dziwna sytuacja zważywszy, że jednak nie jesteśmy za granicą.

– Robią to dla upowszechniania wilamowskiego – myślę. – Może chcą, żeby wrócił do mowy potocznej i był słyszany na ulicach miasta?

Potomkini Świętego

Justyna Majerska ma 21 lat. Studiuje, podobnie jak Tymoteusz Król, etnologię w Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest prezesem Stowarzyszenia na Rzecz Zachowania Dziedzictwa Kulturowego Miasta Wilamowice „Wilamowianie”.

– Od kilku lat jesteśmy zaangażowani z Tymkiem w odbudowę naszej lokalnej tożsamości – wyjaśnia Justyna.

– Mają państwo sojuszników, wsparcie, czy wciąż jest to walka na ugorze? – zapytałam.

– Jeszcze kilka lat temu to była walka, teraz jest łatwiej. Ludzie przyzwyczaili się do nas. Zaczynaliśmy w kilka osób, ale część się wykruszyła. Ja miałam szczęście, że wychowałam się w domu z praprababcią. Ona była wiekowa, ale ze swoimi koleżankami, które nas odwiedzały, rozmawiała wyłącznie w języku wilamowskim. One śmiały się, plotkowały, a ja słuchałam i uczyłam się. Opowieści o przeszłości pobudzały moją wyobraźnię i z czasem pobudziły do poszukiwania starych pamiątek, właśnie z czasów, o których opowiadała babcia. Chodziłam po domach, przeszukiwałam stare strychy. Teraz mieszkańcy sami do mnie przychodzą z ciekawymi przedmiotami, które znaleźli.

– Justyna ma już kilka tysięcy eksponatów – dodaje Tymoteusz.

– Zbieramy wspólnie i konkretnie mamy 1500 eksponatów rzemieślniczych oraz 2000 elementów związanych z ludowym strojem wilamowskim, na przykład piękne malowane ręczne skrzynie do przechowywania sukien. Panny same malowały lub zlecały to odpowiedzialne zadanie zdolniejszym od siebie koleżankom. Najstarsza taka skrzynia pochodzi z 1823 roku – Justyna opowiada z zapałem, równocześnie podchodząc do szafy. – Chciałabym pani pokazać taki strój.

– Ludowy strój wilamowski świadczył o bogactwie naszych przodków. Kobiety w innych regionach miały po dwie, trzy spódnice, a u nas co najmniej dwadzieścia! W tym co najmniej 15 w paski, na co dzień i niebieskie ze złotymi galonami – Tymek opowiada z nieukrywaną dumą w głosie. – Na każdą niedzielę miesiąca inną! Stroje były bogate, z drogich materiałów sprowadzanych z Turcji, Wiednia. Zasada była taka, że suknie uszyte z materiałów z odległych krajów były cenniejsze. Im dalej kupione – tym bardziej. Te najdroż-

sze ubierano w święta, na chrzciny, urodziny itd. To były spódnice z kaszmiru, jedwabiu, a na jedną używano wtedy 6 metrów materiału. Podobnie z czepkami. Każda kobieta miała ich co najmniej trzydzieści! Zakładały je po 7 naraz, a na zewnątrz ten najdroższy np. złoty. Do tego korale, grube prawdziwe, w pięciu rzędach ze srebrnym krzyżkiem. Jeżdżono też po materiały do Pszczyny, ale spódnice z nich uszyte służyły np. do kopania ziemniaków. Na co dzień, dajmy na to do dojenia krów i innych prac domowych, kobiety zakładały do stroju oczywiście nie korale, ale bursztyny. Do tego koszule, jupki, chusty, oplecki... W ogóle spódnica to po wilamowsku rek, koszula – jupła, a czerwona chustka – tojruty tihła...

– O strojach ludowych wilamowskich Tymek wie wszystko, może o nich mówić bez końca, bo napisał o nich książkę. Miał wtedy 16 lat. No i sam ma sporą kolekcję – przerywa Justyna, podkreślając jego zasługi. Widać, że wspierają się w swojej działalności.

– Gdzie państwo przechowują swoje zbiory, gdzie można je oglądać? – zapytałam.

– Nie mamy jeszcze muzeum, ani izby pamięci, czy magazynu. Nasi rodzice są wspaniali i wyrozumiali, że pozwalają nam trzymać je w domu. Upychamy w szkryniach, szufladach, szafach – Justyna śmieje się przykładając sobie spódnice do pasa. – Czasem ubieramy stroje i prezentujemy je na sobie podczas prelekcji, różnych prezentacji, czy wystaw, które organizujemy, żeby pokazywać przedmioty związane z naszą przeszłością, a przy tym uczyć.

– Pan też ma swój strój ludowy?

– Oczywiście, lubię go ubierać. W ogóle ze strojem męskim jest pewien problem, bo prawdę mówiąc żaden się nie zachował. Został zrekonstruowany w 1948 roku. Składa się na niego: biała koszula, kamizelki w różnych kolorach, czarne spodnie, wysokie skórzane buty i czarny kapelusz przewiązany czerwoną wstążką w kwiaty.

– To już potrafię sobie wyobrazić Jana Foksa – żartuję.

– Widzę, że słyszała już pani naszą opowieść o Janie Foksie – Justyna odczochoczo podejmuje temat. – Aktualnie żyje w Wilamowicach sześciu Janów Foksów, ale są i inne rodziny, na przykład mamy kilkunastu Eugeniuszów Sznajdrów. Też byłam ciekawa, czy przypadkiem jakiś Jan Foks nie był moim prapraprzodkiem. Tymek rozrysował moje drzewo genealogiczne od XVII wieku. Wynika z niego, że jestem z rodu arcybiskupa lwowskiego, św. Józefa Bilczewskiego, który urodził się w Wilamowicach w 1860 roku. Był wyjątkowym człowiekiem, jeszcze za życia mówiono o nim jak o świętym. Został beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II podczas jego wizyty we Lwowie w 2001 roku. Kanonizacja Józefa Bilczewskiego przez papieża Benedykta XVI odbyła się 23 października

ka 2005 w Rzymie, ale datę kanonizacji wyznaczył jeszcze nasz Papież.

„Dante z Wilamowic”

Za sprawą młodych ludzi znajduję się w innym, zaczarowanym świecie. Oto dwudziestolatki z przeszłości swoich dziadków uczynili swoją przyszłość. Studia, pasja, nauka, kariera – niemal wszystkie sfery życia tych dwojga realizują się w tym dla wielu odrealnionym wymiarze. Życie przeszłością nie ma dobrych konotacji, ale tutaj w Wilamowicach wszystko dzieje się inaczej.

– Jesteśmy kontynuatorami – Tymek jakby czyta w moich myślach. – W szkole uczył mnie wilamowskiego pan Józef Gara, był poetą, umarł w ubiegłym roku. Kiedy zaczynał w 2003 roku było 20 chętnych. Zostaliśmy tylko we dwójkę z Justyną. Od trzech lat ja uczę tego języka w szkole, mam 7 godzin tygodniowo. Staram się zebrać zasady gramatyki i wydać podręcznik. Pracuję nad tym. Lata powojenne władzy ludowej zrobiły swoje. Zakazano używania języka wilamowskiego. Nawet rodzice mówili mi, po co ty się go uczysz i tak cię nikt nie zrozumie. I wiele osób tak myśli. Kiedy zaczynałem interesować się naszym językiem w Wilamowicach w 2003 roku, mówiło nim ok. 100 osób. Wszyscy bardzo starzy. Udało mi się nagrać osiemdziesięciu z nich. Na podstawie nagrań opracowuję właśnie zasady gramatyki.

– Na wniosek Tymka Biblioteka Kongresu USA 18 lipca 2007 wpisała język wilamowski w rejestr języków świata. Został on również zarejestrowany w UNESCO i Międzynarodowej Organizacji Normalizacyjnej, gdzie przydzielono mu kod ISO – do rozmowy włącza się Justyna. – Tylko w Polsce nie ma statusu języka.

– Język jest bardzo ważny, to jest część kultury, dlatego tak walczymy o jego zachowanie. Trzeba pamiętać, że do 1945 był on w powszechnym użyciu. Po latach zapomnienia, w latach 90. przyjechał do Wilamowic pan Tomasz Wicherkiewicz, wówczas student. Pisał prace na temat odkrytego przez siebie rękopisu poety stąd, Floriana Biesika. Mówili na niego „Dante z Wilamowic”. Pisał w naszym języku. Najdłuższym jego dziełem jest „Of jer weł” („Na tamtym świecie”), napisanym na wzór „Boskiej Komedii”. W swoich poematach ustalił własną pisownię, opartą na alfabecie polskim, ponieważ uważał, że alfabet niemiecki nie jest wystarczający dla języka wilamowickiego. Pan Tomasz Wicherkiewicz napisał rozprawę doktorską na temat: „Język, kultura i mieszkańcy Wilamowic w świetle twórczości literackiej Floriana Biesika”. Tym samym przypomniał o wilamowskim języku jako wartości kulturowej.

– My, po latach, włączyliśmy się w ten nurt wydobywania języka wilamowskiego z zapomnienia. Ten język jest naszym bogactwem i dzięki niemu możemy też angażować się w różne programy i projekty, w tym unijne – kontynuuje Justyna – Na przykład bierzemy udział w projekcie realizowanym przez Uniwersytet w Poznaniu „Dokumentacja ginących języków w Polsce” oraz przez Uniwersytet Warszawski „Ginące języki”. Do wszystkich potrzebna jest znajomość etnojęzyka.

– Chcemy do tych działań zaangażować młodzież – przejmuję pałeczkę Tymoteusz. – Młodzi muszą wiedzieć, że zajmowanie się językiem wilamowskim ma sens, bo pielęgnuje przeszłość, zaznacza tożsamość, ale daje też pracę. Również naukową. Świat się językiem wilamowskim interesuje. Przyjechał tu jeden Australijczyk studiować przez miesiąc język wilamowski.

– Jest wiele tekstów wilamowskich zachowanych w repertuarze ludowym. Jego podstawę stanowią miejscowe tańce i przyspiewki zaczerpnięte z bogatych obyczajów rodzinnych i dorocznych, kulturowych w Wilamowicach przez mieszkańców miasteczka – włącza się Justyna. – Dla nas jest to okazja, żeby zaprezentować się innym i opowiadać o naszej odrębności oraz specyficznej, niepowtarzalnej kulturze. Nasz Zespół Regionalny Pieśni i Tańca „Cepelia FIL-Wilamowice” ma już ponad 65 lat. Działał początkowo nieformalnie, ale w 1948 roku dał pierwszy oficjalny występ. Jego twórczyni pani Jadwiga Stanecka, żeby chronić wilamowską kulturę w czasach komuny, tłumaczyła oryginalne teksty na język polski i włączała do repertuaru, a stroje wilamowskie nagle okazały się „ukraińskimi”... Takie były czasy – śmieje się. – Występujemy bez pomocy profesjonalistów: choreografów, scenografów itd. Tańczymy razem, proszę to sobie wyobrazić – my młodzi, dzieci i nasze babcie osiemdziesięcioletnie, wszyscy razem odtwarzamy to, co pamiętamy z domu. Jest to bardzo rodzinny zespół.

Pomyślałam, że słowo „rodzinny” ma w Wilamowicach nieco głębszy sens. Zwłaszcza w kontekście Jana Foksa. Znowu przechodzimy przez wilamowski rynek. Teraz w trójkę. Młodzi odprowadzają mnie do samochodu. Patrę na to miasteczko już innymi oczami. Kiedy przychodzi myśl o równinach, które za chwilę przetną jadąc w kierunku Katowic czuję się jak na wyspie. Egzotycznej kulturowo dla nas wyspie Wilamowice, z oryginalnym językiem, flamandzkim stylem, który można jeszcze odnaleźć w koronkach, czy przechowywanych przez Justynę eksponatach sprzed lat. Wyspie z bogatą historią, swoim daniem i własnym świętym.

HENRYK CIERNIAK

Świat nimfy

najpierw trzeba długo iść
przygarbionym szarym tunelem
bez cienia jednego uśmiechu
nie będziesz sam bo wielu tak jak ty
chce znaleźć się w ogrodzie nimfy –

jakkolwiek cudacznie wygląda pochód
takich zabawnych ludzików
o których opowieść kończy się
zwykle w głębokiej depresji
kiedy pchają swoje marzenia
przez klaustrofobiczny tunel

nie każdemu jednak dane będzie
wejść do królestwa polnej nimfy
bo nawet kiedy stoisz już u jego wrót
nie da otworzyć się drzwi wytrychem
i przepustki tracą swoją ważność –

kluczem do jej ogrodów
są biegające przed i za bramą jaszczurki

więc kiedy staniesz przy zaciśniętej bramie
boskich ust nimfy nie śpiesz się czekaj
aż staniesz się oswojonym głazem
jaszczurek dobrym znajomym
bramy królestwa nimfy otworzą się
kiedy jaszczurka sama wskoczy ci do ręki

staniesz się śpiewającym nimfie drozdem
w rosnących zapachach traw i kwiatów
i brzęczeniu much kolejny raz
po zimie zmartwychwstałych

jeśli naprawdę chcesz zamienić światy –
to musi ci się udać



Rys. Wojtek Łuka



Rys. Wojtek Łuka

Suknie i marynarki

Twoje stare suknie ciągle takie młode
pogrążają się w smutku szafy
rozpięte jedwabście na wieszakach
już pewnie nie przytulią się do twoich ramion i kibici
żeby wsłuchiwać się w szmer podskórnych wód

wisielce twoich sukien smutne jak moje
sportowe marynarki ukrzyżowane na wieszakach
chorują z braku tlenu i czułości

kiedyś wyłamią słaby zamek ubraniowej szafy
siłą bawełnianej woli
żeby wyruszyć w podróż
po równoległym świecie
gdzie czas swobodnie przechadza się tu i tam

krój marynarek podkreśla rzeźbę
post-antycznego młodzieńca
i sukienki łapią pełny oddech –
tak nieprzerwanie przychodzą
widokówki przypomnień na nasz adres.

W starej szafie korniki
chrobocą modlitwy
o drugie życie
dla twoich sukni i moich marynarek.

Na gościnnej węgierskiej ziemi



Henryk Sławik w czasie drugiej wojny światowej

TOMASZ KURPIERZ

„Przypomnijmy sobie pierwsze tygodnie po kampanii wrześniowej. Oszołomieni bólem, przygnieceni lawiną krzywd doznanych i wstrząśnięci klęską do głębi, stanęliśmy na gościnnej ziemi węgierskiej. Jakże posępna wydawała nam się nasza przyszłość, jakże wielu spośród nas wydawało się bliskich wpadnięcia w ostateczne zwątpienie, jak wielu nie dostrzegало już jutrzemki lepszego jutra”. Tak Henryk Sławik jesienią 1943 r. wracał do wydarzeń sprzed czterech lat, kiedy to granicę polsko-węgierską – według różnych szacunków – przekroczyło od kilkudziesięciu do ponad stu tysięcy uchodźców. Polacy liczyli na wsparcie, jednak bezinteresowna pomoc i serdeczne przyjęcie wielu wręcz zaskoczyły. Początkowo, zanim zaczął działać bardziej zorganizowany system opieki, z pomocą ruszyli zwykli Węgrzy. Doświadczył tego i Sławik, który wspominał, że po przekroczeniu granicy wiele razy znalazł się w krępującej sytuacji, ponieważ spał w wygodniejszych warunkach i otrzymywał lepsze posiłki niż członkowie rodzin węgierskich gospodarzy. W kolejnych dniach w wielu miejscowościach spontanicznie zaczęły powstawać różne komitety i stowarzyszenia niosące Polakom pomoc. Najważniejszy i najbardziej wpływowy okazał się, powołany w Budapeszcie, Węgiersko-Polski Komitet Opieki nad Uchodźcami, który tworzyły między innymi arystokratki z najznakomitszych rodów.

Dla redaktora *Gazety Robotniczej* pobyt na Węgrzech miał być jedynie krótkim przystankiem na drodze do Francji. Tam zamierzał, podobnie jak tysiące innych uchodźców, wstąpić do formującej się na nowo armii polskiej. Po kilkunastu dniach Sławik trafił do obozów dla ludności cywilnej w północnych Węgrzech – początkowo do Bekecs koło Szerencs, a następnie do Helemby pod Miskolcem. Określenie obóz miało oczywiście jedynie administracyjny charakter i oznaczało w praktyce nazwę miejscowości, gdzie przebywali Polacy. Cywile rozlokowani zostali najczęściej w prywatnych mieszkaniach, hotelach, i ośrodkach wycieczkowych. Teoretycznie mniejszą swobodę mieli internowani na mocy międzynarodowych konwencji żołnierze, jednak w większości przypadków – jak pokazały najbliższe miesiące – opuszczenie obozu nie stanowiło i dla nich jakiegos większego problemu.

Spotkanie z Józsefem Antallem

Pod Miskolcem losy Sławika skrzyżowały się z drogami Józsefa Antalla (ur. 1896 r.), wówczas wyższego urzędnika w węgierskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych (Wydziale IX), przed wojną jednego z autorów gruntow-

nej reformy systemu opieki społecznej. We wrześniu 1939 r. Antall został delegowany przez rząd Królestwa Węgier do zorganizowania opieki nad polskimi uchodźcami. Jako oficjalny przedstawiciel władz musiał działać bardzo rozważnie i ostrożnie, jego kraj od pierwszych dni wojny znalazł się bowiem w bardzo skomplikowanej sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej. Od lat trzydziestych Węgrzy politycznie i militarnie związaali się sojuszami z III Rzeszą i zmuszeni byli liczyć się z naciskami oraz wpływami Berlina. Liczyli w zamian za to na rewizję katastrofalnych dla nich postanowień traktatu w Trianon z 1920 r., na mocy którego stracili dwie trzecie powierzchni kraju i niemal dwie trzecie ludności. Z drugiej strony przyjaźń polsko-węgierska była tak silna, że ówczesny rząd hr. Pála Telekiego, wielokrotnie narażając własne interesy, nie ugiął się przed żądaniami hitlerowskimi skierowanymi przeciw Polakom, w tym przede

wszystkim nie zgodził się we wrześniu 1939 r. na przemarsz przez własny kraj wojsk niemieckich. W następnych latach Węgrzy starali się możliwie długo powstrzymać od czynnego udziału w wojnie, nieoficjalnie utrzymując nawet poprawne stosunki z aliantami. Silnie podzielone były elity kraju. Regent Miklós Horthy, znaczna część polityków i intelektualistów podchodziła do Hitlera i udziału w wojnie z dużą rezerwą. Nie brakowało wśród Węgrów również zdecydowanych przeciwników nazizmu. Ku III Rzeszy i udziałowi w konflikcie skłaniała się natomiast większość korpusu oficerskiego, generalicji i duża część młodzieży. Pomoc dla Polaków wymagała więc dużej zręczności i doskonałej znajomości krajowej sceny politycznej. Tego, jak i dobrej intuicji Antallowi – wkrótce nazwanego przez wdzięcznych uchodźców „Ojczulkiem Polaków” – nie brakowało.

Do pierwszego spotkania Henryka i Józsefa doszło na początku października 1939 r. Węgier od kilkunastu dni odwiedzał różne miejsca pobytu polskich uchodźców, pytał o warunki, najważniejsze potrzeby, Polacy odpowiadali i na tym zwykle się kończyło. Spotkanie w obozie w Helembie przebiegło jednak inaczej. Po przemówieniu urzędnika głos zabrał Sławik. „Wówczas odpowiedziałem po niemiecku – wspominał redaktor *Gazety Robotniczej* – bo i on tym językiem przemawiał, że jeszcze kilka miesięcy pobytu, a wszyscy rozleniwimy się, bo nie ma co robić i rozpijemy się, bo nasi gospodarze węgierscy są tacy gościnni. Jak mi później opowiadał Antall, był to pierwszy przypadek krytyki ze strony uchodźców. Podkreśliłem jeszcze, że musimy nasze siły pomnażać, bo po powrocie do kraju czeka nas ciężka praca, odbudowa zniszczonych przez hitlerowców miast i fabryk”. Węgura zaskoczyła tak śmiała i stanowcza postawa

polskiego uchodźcy. Rozmawiał błyskawicznie. Po krótkiej rozmowie zaproponował Sławikowi, aby objął on kierownictwo polskiej instytucji, która miałaby dla niego charakter opiniodawczy, a następnie mogła koordynować całość spraw związanych z opieką nad uchodźcami. Henryk zgodził się. „I tak znalazłem się w Budapeszcie – wspominał – i w dodatku na niezwykle odpowiedzialnym stanowisku, zresztą natychmiast, bo Antall zaraz załatwił moje zwolnienie z obozu i zabrał mnie swym samochodem”.

W Komitecie

Nominacja Sławika na prezesa Komitetu Obywatelskiego do Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami na Węgrzech – bo tak nazwano nową instytucję – wymagała oczywiście akceptacji zarówno strony węgierskiej, jak i polskich

władz na uchodźstwie. Propozycję Antalla poparł jego przełożony, minister spraw wewnętrznych Ferenc Keresztes-Fischer, polityk, któremu Polacy w następnych latach wiele zawdzięczali. Stało się tak, mimo że kandydatura polskiego socjalisty nie wszystkim się spodobała, i to zarówno niektórym arystokratom węgierskim, jak i Polakom związanym z sanacją. Sławik uzyskał jednak akceptację rządu polskiego we Francji. Ministrem opieki społecznej był wówczas jego kolega partyjny z PPS Jan Stańczyk, co z pewnością ułatwiło nominację. W skład Komitetu Obywatelskiego, który realnie rozpoczął działalność w styczniu 1940 r., weszli reprezentanci najważniejszych opozycyjnych partii działających w Polsce w okresie międzywojennym. Do jego podstawowych zadań należało koordynowanie opieki nad przebywającymi na Węgrzech uchodźcami oraz inicjowanie i podtrzymywanie działalności polskich organizacji społecznych, kulturalnych i gospodarczych. Fundusze na te cele pochodziły zarówno od rządu RP, jak i władz węgierskich, które od jesieni 1939 r. – mimo trudnej sytuacji ekonomicznej – wydawały na potrzeby uchodźców ogromne kwoty.

Kierowanie Komitetem Obywatelskim wymagało wielkiej rozwagi i ostrożności. Sławik doskonale zdawał sobie sprawę z presji, jaką na władze węgierskie wywierała III Rzesza. Poselstwo niemieckie w Budapeszcie regularnie protestowało przeciwko przyjaznej opiece w stosunku do uchodźców i życzliwej postawie rządu „niedającej się pogodzić z neutralnością Węgier”. Parasol ochrony nad Polakami, za wiedzą i aprobatą regenta Horthyego oraz premiera Telekiego, sprawowało przede wszystkim ministerstwo spraw wewnętrznych. Antall i Sławik wiele razy głowili się nad tym, aby odpowiadając na zarzuty niemieckie, chronić Polaków, a jednocześnie nie narażać interesów węgierskich. Prezes Komitetu cały czas musiał się liczyć także z silnymi podziałami politycznymi wśród samych uchodźców. Regularnie atakowany był przez zwolenników sanacji, mimo że w swej działalności kierował się – co wiele razy udowodnił – przede wszystkim ogólnonarodowym, a nie partyjnym interesem. Swą filozofię działania przedstawił w jednym z wywiadów na łamach ukazujących się w Budapeszcie uchodźczych *Więści Polskich*: „Wobec Komitetu Obywatelskiego wszyscy uchodźcy czy to wojskowi, czy cywilni są równi – mówić. – Dla nas nie istnieją różnice stanowe czy wyznaniowe, wszyscy uchodźcy mają jednakowe potrzeby. Każdy chciałby być syty, każdy chciałby się przyzwicić urządzić. Nie znam żadnych różnic wyznaniowych ani społecznych. [...] Nie dzielimy też uchodźców na tych «co byli» ani na tych «co będą». To nie nasza rzecz. Dzielimy natomiast uchodźców na dobrych Polaków i na złych Polaków. Dobrym Polakiem jest ten, który w każdej sytuacji godnie się zachowuje, nie przynosząc ujmy dobremu imieniu Polaka, który nie utrudnia innym uchodźcom współzycia, który w sąsiedzie widzi także rodaka i bliźniego, po prostu ten, któ-

ry trzyma się zasady nie czyni drugiemu, co tobie niemiło. O złych Polakach nie warto nawet mówić”.

Zakres działania kierowanej przez Sławika instytucji był duży. Mimo wysiłków i jak najlepszych chęci gospodarzy sytuacja nie była łatwa. Zima 1939/1940 okazała się wyjątkowo długa i ciężka, dlatego też zapewnienie przyzwoitych warunków dla tysięcy uchodźców, wśród których było немало kobiet i dzieci, wymagało sporo zachodów i determinacji. Już od stycznia 1940 r. Komitet zaczął wypłacać cywilom zasiłki, które starczyły na pokrycie najbardziej pilnych wydatków (z odrębnych środków pochodził żołd dla internowanych żołnierzy). Szybko zorganizowano też własną opiekę medyczną – przy Węgierskim Czerwonym Krzyżu powstała Sekcja Lekarzy Polskich. Komitet pomagał Polakom w załatwianiu spraw urzędowych, pośredniczył w poszukiwaniu pracy, interweniował w trudnych sytuacjach, organizował spotkania informacyjne, zajmował się wreszcie pochówkiem zmarłych osób.

Niemal równocześnie z oficjalnymi instytucjami polskiego uchodźstwa zaczęły powstawać na Węgrzech tajne struktury wojskowe i cywilne, które początkowo zajmowały się przede wszystkim przetrzymywaniem żołnierzy do tworzącego się we Francji Wojska Polskiego. W ten sposób do wiosny 1940 r. Węgry opuściło co najmniej kilkadziesiąt, a być może nawet ponad sto tysięcy Polaków. W akcję tę, organizowaną przede wszystkim przez poselstwo RP w Budapeszcie oraz attachat wojskowy, zaangażowali się również członkowie Komitetu Obywatelskiego, w tym i Sławik. Masowe wyjazdy Polaków nie mogły się oczywiście odbywać bez cichego poparcia władz węgierskich. Miał w tym udział i Antall, bowiem wskutek jego zabiegów największe obozy dla internowanych żołnierzy rozlokowane zostały w pobliżu granicy węgiersko-jugosłowiańskiej, skąd już najłatwiej było przedostać się na Zachód. Obok Antalla uchodźcy mieli innego wielkiego sprzymierzeńca – płk. Zoltána Baló, szefa XXI Departamentu Ministerstwa Honwedów (Obrony), które sprawowało nadzór nad Przedstawicielstwem Polskich Żołnierzy Internowanych w Królestwie Węgier.

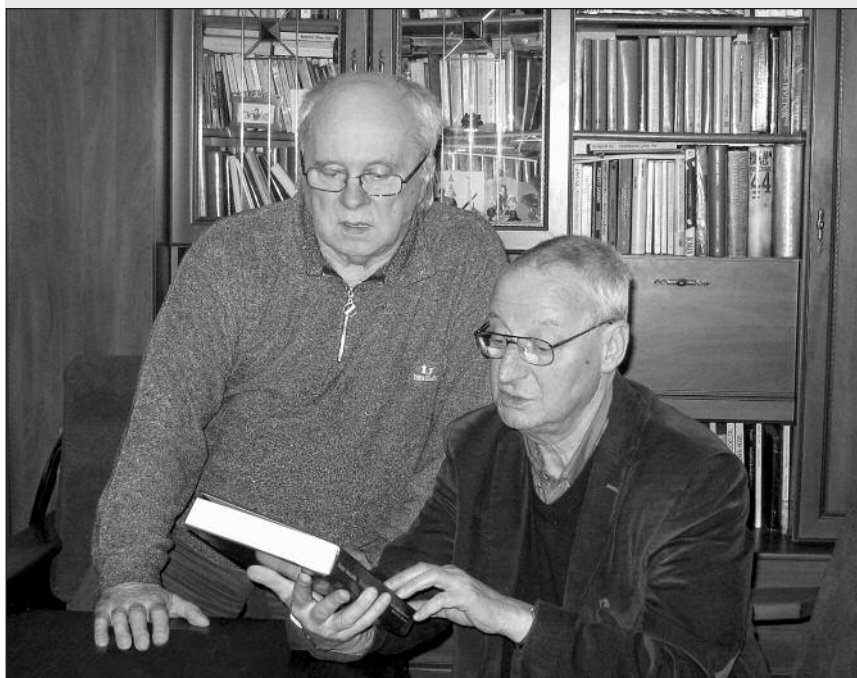
Po klęsce Francji

Zasadniczą zmianę sytuacji wojennej przyniosła klęska Francji w czerwcu 1940 r. Nadzieje na szybki koniec konfliktu prysnęły. Na Węgrzech pozostało wówczas kilkanaście tysięcy Polaków, którym Komitet Obywatelski starał się zapewnić jak najlepsze warunki. Wielkim sukcesem Sławika, Antalla i wielu ich współpracowników było zorganizowanie polskiego szkolnictwa. W latach 1939–1944 na Węgrzech działało kilkadziesiąt, na ogół niewielkich szkół i punktów szkolnych. Szkołą z prawdziwego zdarzenia było natomiast polskie gimnazjum i liceum w Balatonboglár, przez które w latach 1940–1944 przewinęło się oko-

ło ośmiuset uczniów i uczennic (wcześniej, do czerwca 1940 r., szkoła ulokowana była w Balatonzámárdi). Podczas gdy niemal w całej Europie trwały działania wojenne, polska młodzież nad Balatonem mogła się spokojnie uczyć, a nawet zdawać maturę (zdobyło ją tam blisko 150 osób). Dużą wagę Sławik przywiązywał do zorganizowania życia społecznego i kulturalnego uchodźców. Pod auspicjami Komitetu wychodziła prasa, m. in. *Więści Polskie* i *Tygodnik Polski*, polskie książki, w tym podręczniki, słowniki polsko-węgierskie. Komitet zorganizował wiele świetlic, również w małych miejscowościach, które były swoistymi centrami pracy kulturalno-oświatowej. Odbywały się w nich różne spotkania, występy, przedstawienia, wystawy – a więc przedsięwzięcia, które dawały uchodźcom nadzieję i pomagały przetrwać ten niezwykle trudny czas.

Po zamknięciu Poselstwa RP w styczniu 1941 r., rząd węgierski uznał Komitet Obywatelski za oficjalny organ reprezentujący wszystkich Polaków znajdujących się na terenie Królestwa Węgier. Jednocześnie jednak narastała presja niemiecka, aby kierowaną przez Sławika instytucję ograniczyć, a następnie zlikwidować. Po kolejnych sukcesach militarnych III Rzeszy József Antall i inni opiekunowie polskich uchodźców znajdowali się w coraz trudniejszej sytuacji. Proniemiecko nastawione grupy, szczególnie w węgierskich kręgach wojskowych, szukały pretekstu do ataku na polskich przywódców. Okaza nadarzyła się w marcu 1941 r., kiedy to podczas jednej z akcji przetrutowych doszło do poważniejszej wpadki, w efekcie czego Sławik – jako jeden z jej organizatorów – został aresztowany. Dzięki szeroko zakrojonej akcji Antalla i innych węgierskich przyjaciół, prezes Komitetu został internowany, a następnie przeniesiony do obozu w Balatonboglár, skąd już nieoficjalnie mógł nadal kierować Komitetem. Formalnie na stanowisko prezesa Sławik powrócił pod koniec 1942 r., kiedy to nowy rząd węgierski Miklósa Kállaya tajnymi drogami dyplomatycznymi zaczął rozmawiać z aliantami na temat zerwania sojuszu z Niemcami i ewentualnego wycofania się Węgier z wojny. Niebagatelną rolę w pośredniczeniu w tych rozmowach odegrali Polacy.

Sławik stał na czele Komitetu Obywatelskiego aż do marca 1944 r., kiedy to rozpoczęła się hitlerowska okupacja Węgier. „Był wybitną indywidualnością i widząc różne krzyżujące się interesy osobiste i partyjne, raczej kierował komitetem sam” – wspominał jeden z polskich dziennikarzy przebywających wówczas na Węgrzech. Były redaktor *Gazety Robotniczej* dał się poznać jako dobry i odpowiedzialny organizator życia uchodźczego. Dzięki współpracy ze swoim przyjacielem – Józsefem Antallem – zdołał zorganizować sprawny system opieki, dzięki któremu tysiące ludzi w przyzwoitych warunkach mogło przetrwać na Węgrzech wojenną tułaczkę.



Henryk Bzdok (z lewej) – malarz, grafik, zajmujący się projektowaniem graficznym oraz rysunkiem satyrycznym, autor ponad 50 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą, wieloletni prezes Okręgu Katowickiego ZPAP, współpracownik miesięcznika „Śląsk”, mieszka i pracuje w Katowicach i Piotr Szalsza – reżyser, muzyk, scenarzysta, pisarz, tłumacz, redaktor i producent widowisk telewizyjnych, organizator projektów muzycznych, teatralnych i naukowych, od 1983 przebywa na stałe w Wiedniu.

Tu, czyli w domu

– My plastycy, z wami muzykami mieliśmy w czasie studiów dwie płaszczyzny bliskich spotkań – wojsko i basen. My dwaj, dodatkowo – kino.

– A jak mnie ktoś zapyta o Akademię Sztuk Pięknych, to od razu mam asocjacje do nazwisk: Jura, Duda-Grac, Siara, Przybył. Widując ich przez cztery lata, raz w tygodniu, na wojsku. Dziś przyjemnie powiedzieć – z kim wówczas maszerowałem.

– Potem nastąpił ciąg dalszy, w naszym Studenckim Dyskusyjnym Klubie Filmowym „Kino oko”.

– Jak widzę po latach, to było ważne w moim zawodzie reżysera, który przecież nie był wyuczonym. Profesor Bardini mawiał o mnie, że takiego dyktanta nie widział. Mówiąc o dyktantwie miał na myśli rozliczne zajęcia, których się podejmowałem (reżyseria, pisarstwo, muzykologia, tłumaczenia itp.) a z wykształcenia byłem... altowiolistą.

Moimi mentorami byli profesor Aleksander Bardini i Danuta Baduszkowa, choć nie chodziłem do nich na lekcje, bardzo wiele się od nich dowiedziałem. To był duch czasów... także wtedy, kiedy moja Matka, w szó-

stym roku mego życia prowadziła mnie co piątek do Filharmonii Śląskiej. W wieku pięciu lat bywałem w Teatrze Wyspiańskiego, tak często jak moi rówieśnicy w Teatrze Ateneum. W roku 1950 rozpocząłem naukę w Szkole Muzycznej przy ulicy Dąbrówki a potem w Liceum Muzycznym przy ulicy 27. Stycznia. W mojej klasie byli Bernard Kawka – późniejszy twórca zespołu „Novi Singers”, Adam Makowicz – pianista, Janusz Mych (także Novi Singers) Witold Ciechanowicz – kompozytor, jak i słynny saksofonista Zbigniew Bizoń z „Niebiesko- i Czerwono-Czarnych”. Kiedy wracam do Katowic, to jakbym wracał do domu.

– Ja zaś wszystko związane z tobą widzę przez świat filmu, począwszy od „Kina Oko” poprzez twoje filmy, po twą, ogromną dech zapierającą, filmotekę...

– Moje środowisko muzyczne w tym nie uczestniczyło, a tu w naszym DKF byli: Antoni Halor, Henryk Bzdok i paru innych. Mieliliśmy te peregrynacje w kierunku filmu i to było budowanie backgroundu, myśmy to w jakimś sensie studiowali, jeździliśmy na sympozja,

studiowaliśmy literaturę, pisaliśmy do ówczesnej prasy filmowej...

– ... udźwiękowialiśmy filmy nieme.

– Przynosiłem płyty i patefon, które ożywiały filmy, na przykład do slapstyków puszczałem dixieland.

– Po twoim krótkim romansie z muzyką w Krakowie jako altowiolistą, trafiłeś do telewizji w Katowicach, sposobem tak zabawnym, że opisałem go w jednej z moich anegdot.

– ... To było misterium, jakieś przenikanie się spraw z muzyką. Dla muzyki jednakże nie było dużą stratą, że przestałem grać na altówce – muzyka mogła dalej beze mnie funkcjonować, choć dała mi bardzo wiele. Po dwuletniej pracy w Orkiestrze Polskiego Radia i Telewizji w Krakowie, gdzie dyrektorem był Jerzy Gert – bardzo wytrawny muzyk.

Trafiłem do zespołu, w którym codziennie coś nowego nagrywano, poznałem nowy bogaty repertuar i wiem, że bardzo mi to pomogło, no i miało się kontakt z dyrygentami, ale pewnego dnia już nie mogłem być w grupie... to było jak w kompanii wojska a mnie ciągnęło do indywidualnej pracy. Postanowiłem sam egzystować... na trzecim roku studiów już miałem posadę, to było niebywałe, kiedy ktoś pracował. Szansę dali mi Zygmunt Mycielski i Ludwik Erhardt w „Ruchu Muzycznym” także Wilhelm Szewczyk w „Poglądach”, gdzie mogłem pisać artykuły i recenzje.

– Też tam rysowałem, to była przychylna młodym ludziom redakcja z fajnym zespołem.

– Pisałem programy dla WOSPR-u, teksty do koncertów piątkowych. Zająłem się także opracowaniami muzycznymi do sztuk w teatrach śląskich, to był zaszczyt dla takiego szczeniaka jak ja. No, ale dyplom z altówki zrobiłem z opóźnieniem. Jeszcze wiele lat później na emigracji miewałem sny, że nie udało mi się obronić dyplomu, ale tam już nikt nigdy nie pytał o to. Do telewizji katowickiej poszedłem z doświadczeniami teoretycznymi, wyniesionymi z „Kina – Oka” i tego typu wiedzą – to wszystko z dyktantstwa się brało, jak mawiał Bardini o ludziach, którzy tylko coś powąchali i brali się za budowanie. Uczylem się w telewizji od zera, jak taśmę filmową i dźwiękową skleić, jak założyć ją do kamery... Na początku zrobiłem minutowy reportaż, potem pięciominutowy i tak dalej i wciąż jako pracujący student.

– Ja też tam wtedy na początku lat siedemdziesiątych dorabiałem z doskoku w zakresie grafiki ekranowej...

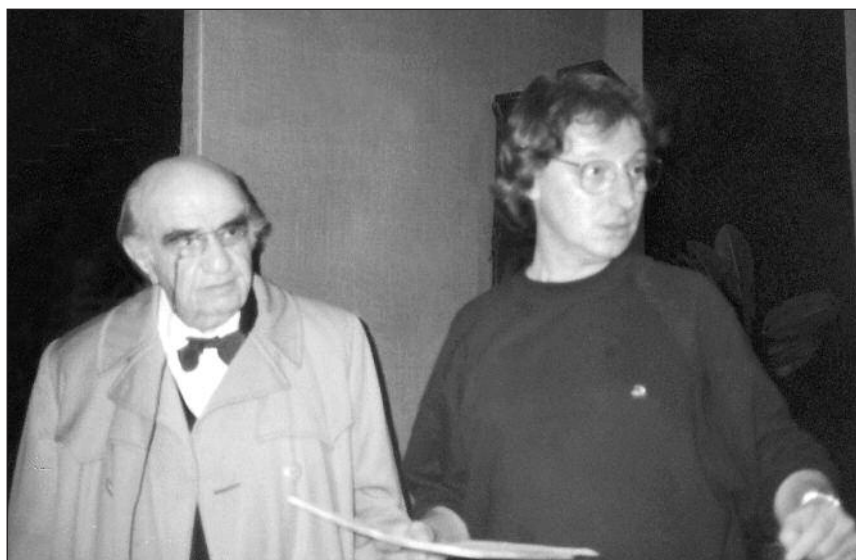
– W telewizji panowało wówczas lobby z poukładanymi klockami, a tu przyszedł taki szczeniak ... więc na odcepne dali mi do roboty programy folk-

lorystyczno-rozrywkowe z cyklu „Bawcie się z nami”. W Warszawie – jak mi potem opowiadano, po obejrzeniu naszych programów, doszli do wniosku, że Katowice zasłużyły sobie na Nagrodę Prezesa. Najwięcej w 1968 roku było moich, bodajże dwanaście, no to dali mi tę nagrodę, ja nawet nie odczuwałem satysfakcji, uważałem, że to było jakieś niesprawiedliwe i że kogoś los pokarał. Dziesięć lat w Telewizji Katowice dało mi bardzo wiele, nauczyło mnie zawodu. Po czterech latach zrobiłem duży film o Pendereckim, a później pierwszy telewizyjny portret Wojciecha Kilara. Film wyświetlono 21 sierpnia 1968 wieczorem, w dniu w którym wojska Paktu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji, poszliśmy do „Marcholta”, to był szok i wypiliśmy więcej niż po jednym.

– **Ja wówczas bawiłem w Bieszczadach, gospodyni u której zamieszkałiśmy była przerażona: Panie, Ruskie teraz są z dwu stron... A ty niedługo potem zniknąłeś z Katowic....**

– Kiedy tu szefem redakcji została bliska krewna towarzysza Gierka, zdecydowano kogo wyrzucić, znalazłem się na liście do wydalenia i nieswiadomie zrobiono mi wielką przysługę. Po jednym telefonie znalazłem się w Telewizji Gdańskiej, która nie robiła programów muzycznych, bo nie mieli gdzie. Ja w pierwszych latach zrobiłem ich pięćdziesiąt: w Teatrze Muzycznym, w Operze Bałtyckiej i we wszystkich możliwych salach Trójmiasta oraz okolic, zaś w czasie każdego Sopotkiego Festiwalu, którego byłem redaktorem TV, robiłem 6 – 10 recitali piosenkarzy przy pomocy zapraszanych z całej Polski gości, wśród których byli katowiczanie: Antoni Halor, Włodzimierz Pawlak, Stanisław Olejniczak. Do programów u Danuty Baduszkowej zapraszałem na kierownictwo muzyczne Witolda Ciechanowicza z Katowic, a występowali – Banasik i Zubek a także inni sąd wykonawcy. Czytając wtedy krytyczne recenzje o poziomie programów rozrywkowych z Katowic i chwälące gdańskie produkcje miałem drobną satysfakcję po tym głupim pożegnaniu. Ktoś w katowickiej prasie napisał nawet – a może by tak Telewizję Katowice przenieść do Gdańska? To, co buduje człowieka, to umiejętność patrzenia dialektycznego na przeszłość bez urazów i dostrzeganie nowego.

Mam jeszcze takie anegdotyczne wspomnienie, jak to w sierpniu TV Gdańsk zrobiłem program na Boże Narodzenie... Do każdego projektu wymyślałem zawsze jakieś *ambiente*, akcja musiała dotyczyć się w plenerze lub w atrakcyjnych wnętrzach więc pomyślałem tak – centrala TVP w Warszawie pod koniec listopada ściągnie nas do siebie, by natychmiast wymyślić program na święta, sylwestra i okres świąteczny...



Piotr Szalsza z prof. Aleksandrem Bardinim podczas realizacji spektaklu „Friedemann Puntigam, czyli sztuka zapomniania” Geralda Szyszkwitza (Teatr TVP, 1992)

– **U nas Trybuna Robotnicza pisała o Bożym Narodzeniu: „Święta Zimowe – jak coraz powszechniej bywają nazywane przez lud: przypadające w grudniu święta”...**

– Zrobiłem zatem taki świąteczny program w sierpniu, z dwudziestoma choinkami w studiu i gwiazdami z różnych krajów, które uczestniczyły w festiwalu w Sopocie. No i późną jesienią Barbara Pietkiewicz zwołała wszystkich redaktorów od spraw muzycznych i rozrywki... *proszę Państwa, idą święta i musimy...* A ja już mam – i dałem jej kasetę, była w szoku. Już w Katowicach to wymyśliłem, kiedy zostałem sekretarzem programowym w dziale Tadeusza Kopla, od którego też wiele się nauczyłem, robiłem wtedy roczny plan i zagospodarowywałem wszystkie studia programami muzycznymi, ludowymi, teatrami a zarazem zbierałem projekty, to były środki produkcji i trzeba je było zagospodarować.

W Gdańsku była następna cezura życiowa typu dialektycznego – po wprowadzeniu stanu wojennego nie podpisałem deklaracji lojalności w TVP. Był rok 1982, wyrzucono mnie z pracy. Zrobił to (*nomen omen*) były katowiczanie – Zbigniew Bożyczko, po długich bezowocnych prośbach bym podpisał... Po latach będąc w Nowym Jorku spotkałem Bożyczkę, który był tam korespondentem Telewizji Polskiej, kiedy mnie zobaczył nie miał pewności jak się zachowam, ale udzielił mi absolucji i zdjąłem z niego kłótnę, zrobił przecież dobrze, bo mogłem wyjechać.

– **Tragikomiczne, kino... „Ludzie i kaprale” film włoski z Toto i Paolo Stoppa...**

– To ci inną historyjkę opowiem. Ten nieszczęsny wielki Karol Szymanowski, który całe życie miał pecha do różnych wydarzeń historycznych już przed pierwszą wojną światową zaczął

się wspaniale rozwijać w Wiedniu, Pradze i Berlinie, kiedy wybuchła wojna, wszystko zniknęło... W Polsce ciągle miał problemy ale się rozwijał, chociaż był częściej wykonywany za granicą niż u nas. Prapremiera światowa jego baletu „Harnasie” odbyła się przecież tamże i jedno z najważniejszych wykonań „Króla Rogera” także. Napisałem książkę „Karol Szymanowski w Pradze”, zrobiłem film pod tym samym tytułem. Potem przyszedł stan wojenny i stulecie jego urodzin, ale nie było atmosfery do świętowania. Scenariusz do wspomnianego filmu o nim zrealizowałem jeszcze przed stanem, potem zostałem zawieszony w prawach i siedziałem w domu, była zima 1981–1982, w maju miały być uroczystości. Świt błady. Pukanie do drzwi. Otwieram. Stoi dwóch umundurowanych i uzbrojonych – *Pan Piotr Szalsza? Pan pójdzie z nami*. Nie byłem aktywnym działaczem, więc nie wiedziałem dlaczego. Zawieźli mnie do telewizji a tam jakiś komisarz mówi do mnie: *my wiemy, że to wyście nakęcili i chcielibyśmy, abyście skończyli ten film*. Codziennie przyjeżdżał po mnie rano gazik i zawoził do montażowni. Na montażu zawsze siedział z nami żołnierz, żeby kontrolować, co my tam montujemy, oby tylko nie jakieś materiały dla „Solidarności”. Żołnierz siedział i jadł bułki z podwójną szynką, choć były kartki. Kiedy zauważył jak mu się przypatrujemy, to i nam zaczął przynosić kanapki. Film został zmontowany i był potem wielokrotnie wyświetlany, a mnie to dało kopa by zmienić klimat. I to się udało...

– **Wiem, ja też wtedy po raz pierwszy otrzymałem zaproszenie na ważną imprezę plastyczną w Niemczech, na III Bergkamener Bilder Basar, też udało mi się po wielu zabiegach pojechać...**

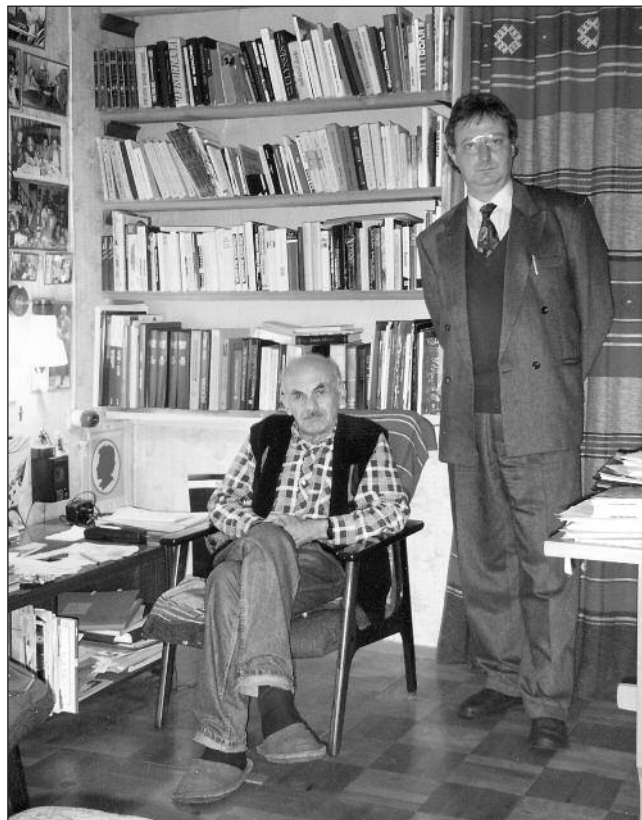
– W roku 1983 zacząłem działalność w Wiedniu – w Telewizji Austriackiej i w operze kameralnej a w 1986 przybyłem do Warszawy jako reżyser austriacki robić film o polskim jazzie. Napisano wtedy o mnie „nasz reżyser z Wiednia...”

– **Znam i mam zarejestrowane z 3SAT koncerty jazzowe z twoim nazwiskiem w „liście płac”... Szkoda, że ich u nas nie pokazano, to byłyby uczty dla jazzfanów.**

– Miałem przyjemność robić koncerty z najwybitniejszymi gwiazdami jazzowymi: Peterson, Hampton, Garbarek, Petrucciani, Gilberto, Zawinul, Gillespie, Makeba, Grapelli, Marsalis, Pass, Modern Jazz Quartet. Do Polski wspólnie z ówczesnym konsulem dr. Emilem Brixem ściągnąłem Joe Zawinula na jazz jamboree. A do Wiednia zapraszałem Polaków, miał tu koncert Makowicz, był Kulpowicz. Były też, nigdy w Polsce nie pokazane, wielkie koncerty „Warszawa pozdrawia Wiedeń”, gdzie Austriakom i Niemcom przedstawiłem wszystkich jazzmanów polskich w dwóch dwugodzinnych koncertach.

– **Pamiętam dokładnie mój pierwszy pobyt w Wiedniu w 1974 roku, pierwszy oddech wolnym światem, a ty?**

– Kiedy przyjechałem do Wiednia, nikt tam na mnie nie czekał, nie było w gazetach: *Herr Szalsza przyjechał...* Byłem zupełnie nieznaną, z dziesięcioma dolarami w kieszeni, ale miałem przygotowane CV po angielsku, które powieliłem w stu egzemplarzach aby wszystkie istotne w Wiedniu instytucje i stowarzyszenia muzyczne i filmowe powiadomić kim jestem. Na to wspólnie wezwania odpowiadały jakieś trzy instytucje – ale ważne. Nie miałem żadnych znajomych w branży a odzew przyszedł z Opery Kameralnej w Wiedniu i z Telewizji ORF, gdzie potem zrobiłem film „Chopin w Wiedniu”. Musiałem tam znaleźć swoje miejsce i zadanie... Z powodów historycznych wydarzeń, a także żelaznej kurtyny bardzo mało wiedzieli o nas i wiedzieć więcej nie chcieli. Byliśmy czymś dalekim kojarzącym się z biedą, czymś okropnym. Przeciętny Polak wiedział więcej o Austrii niż oni o Polsce, rozmawiałem z akademikami, którzy nie mieli pojęcia gdzie leży Kraków, Zakopane czy Gdańsk. Nawiązałem współpracę z Zofią Beklen i jej znanym w Wiedniu stowarzyszeniem



... z Bulatem Okudźawą (1995)

polonijnym „Wiener-Krakauer Kultur-Gesellschaft”. Współpracujemy do dziś. Wynajdywałem fakty i tematy historyczne łączące oba kraje, poprzez nazwiska kompozytorów, pisarzy, ważnych rodów, zapoznając Austriaków z różnymi tematami polskimi i to zafunkcjonowało – w tym roku zostałem udekorowany przez Prezydenta Republiki najwyższym w dziedzinie kultury odznaczeniem austriackim, co jest dla mnie wielką satysfakcją. Łączenie ludzi jest istotne, sprowadziłem do Wiednia zespół „Capella Gedaniensis” i połączyłem go z Chórem Wiedeńskim, nie dość że odbyli wspólne koncerty, to jeszcze zrobiłem inscenizacje, w których przedstawiłem po raz pierwszy w języku polskim i niemieckim poezję oraz muzykę polską okresu renesansu, byli to głównie Rej i Kochanowski, były także wiersze Karola Wojtyły. Widowisko zwało się „Kiedy myślę o ojczyźnie” i zrobione było na zamku Schallaburg w Austrii z okazji wystawy „Sztuka w dobie Jagiellonów”. Potem zrobiłem portrety Lutostawskiego i Pendereckiego dla telewizji zachodnich. Za kamerą stał katowiczaniec Mieczysław Chudzik, z którym, *nota bene*, zrobiłem prawie wszystkie moje najważniejsze filmy.

– **Odkryłeś dla nas Habsburgów polskich z Żywca.**

– Tak, to był film dokumentalny. Wiele jest takich tematów, w których historia Austrii łączy się z historią krajów Europy wschodniej. W TVP był także

wyświetlany mój film z sir Peterem Ustinowem i Filharmonią Petersburską pt: „Johan Strauss w St. Petersburgu”. W 2010 roku w wiedeńskim *Haus der Musik* była moja wielka wystawa „Chopin w Wiedniu”. Ciągle jeszcze nie tracę nadziei, że uda mi się w Austrii wystawić choćby fragmenty „Dziadów” Mickiewicza.

– **Uprawiasz publicystykę, piszesz książki, śpisz w archiwach?**

– Kiedy coś staje się pasją zawsze znajduję na to czas. Oto przykład łączący Katowice z dalszym moim rozwojem. Jako student Akademii Muzycznej zostałem poproszony przez nieodżałowanego szefa biblioteki uczelnianej dr. Karola Musioła o przygotowanie słowa wstępnego do nowelki „Z warsztatu wirtuoza” największego polskiego wirtuoza skrzypiec Bronisława Hubermana. Był rok 1964 i to był mój pierwszy artykuł, który ukazał się w „Ruchu

Muzycznym”. Trzydzieści lat później, już w Austrii, dostałem porządne stypendia i objechałem pół świata dokumentując życie Hubermana i napisałem jego obszerną biografię, którą masz a później powstał jeszcze film o tym człowieku, który też spędził trzydzieści lat w Wiedniu. To było tak odkrywcze dla Austriaków, że bez przerwy jeżdżę z tym filmem. Niedawno był także wyświetlany po raz drugi w polskiej telewizji. Jest coś, co uważam za największe osiągnięcie mego życia – poprawka w biografii Fryderyka Chopina, niby nic wielkiego, ale ważne jak wszystko w jego życiu. Sprawa opisywana dotąd w dziesiątkach wcześniej napisanych biografii. Robiąc badania odkryłem w oparciu o niezbite dowody, że pewien koncert Chopina w Wiedniu, wymieniany we wszystkich biografiiach, nigdy się nie odbył. Opublikowano to w wielu krajach, co stanowi dla mnie dużą satysfakcję, jak i to, że znalazłem w Pradze i w Austrii kilkadziesiąt listów Szymanowskiego a także listów na jego temat, wcześniej nigdzie nie publikowanych.

– **Znalazłeś w swym archiwum pierwszy film Wajdy i udostępniłeś go Filmotece Narodowej, która wcześniej daremnie go poszukiwała. Opisałem to w jednej z mych anegdot. Wróćmy jeszcze do dwóch filmów dokumentalnych, które ogląda się z dużą przyjemnością dzięki ciekawemu pokazaniu dokumentów i dużemu nasyceniu kadrów doskonałą wizją plastyką.**

– Zawsze staram się opierać na dokumentach – pokazać autentyczny materiał archiwalny, ale artystycznie przetworzony i Austriacy to dostrzegają. Kiedy robiłem portret filmowy barda żydowskiego Mordechaja Gebirtiga z Krakowa, Austriacy docenili fakt, że był on obywatelem austriackim (przez 40 lat) i że służył w armii austriackiej. Takie projekty są wspierane także finansowo.

– **Dzwoniłem kiedyś do ciebie do Wiednia, a ty odbierasz telefon w Omsku...**

– Jako silnie związany z instytucjami wiedeńskimi, których rolą jest przedstawianie kultury austriackiej za granicą, nawiązałem kontakt z dyrekcją znanego „5-go Teatru” w Omsku i zaproponowałem im realizację sztuki najwybitniejszego żyjącego dramaturga Petera Turriniego „Alpejskie zorze”. Znalazłem również wtedy zainteresowanie strony austriackiej, w tym wypadku Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które projekt dofinansowało. Podobnie było z filmem, „Johann Strauss w Sankt Petersburgu” który współfinansowała między innymi telewizja austriacka. Tłumaczyłem też szereg sztuk austriackich na język polski, które potem propagowane były w teatrach jak np. musical „Siostry Parry”, wystawiany czterokrotnie w kraju a teraz robię go w Toruniu u Anny Wołek w nowo otwartym Teatrze Muzycznym (premiera 13. czerwca). Kiedy w Krakowie u Jerzego Fedorowicza w Teatrze Ludowym odbyła się światowa prapremiera z Kasią Zielińską i Martą Bizoń, dowiedział się o niej dyrektor Teatru Jidysz z Tel Awiwu, polonus zresztą, Szmuel Acmon. Przyleciał, zobaczył... zaprosił mnie i wystawiłem musical u niego.

– **Co dalej?**

– Aktualnie przygotowuję, razem z Zofią Beklen film o tragicznych losach



... z Witoldem Lutosławskim (1993)

członków organizacji „Stragan” – czyli o Polakach z Zaolzia, członkach siatki szpiegowskiej Armii Krajowej, działających podczas wojny w Wiedniu i znowu Austriacy mocno uczestniczą w finansowaniu projektu.

– **Poza tym...**

– Zawsze marzyłem o realizacji „Opery za trzy grosze” Brechta, który odegrał dużą rolę w moim życiu i chciałbym doprowadzić do wystawienia w Austrii, jak już wspomniałem, w jakiejś formie „Dziadów”... Znów muszę wrócić do prof. Bardiniego, który powiedział: *książka telefoniczna jest z dwóch powodów najważniejsza, jest tam wielu bohaterów a dobrze się czyta... i drugie: żeby to miało znaczenie, trzeba wiedzieć, które numery są ważne*. Trzeba wiedzieć z kim rozmawiać i jak znaleźć entuzjastę dla tematu.

Miałem takiego entuzjastę – Jerzego Koeniga – dyrektora Teatru Telewizji, on mi zawierzył i zrobiłem dwa przedstawienia. Jednym z nich był „Plac Bohaterów” (Heldenplatz) Tomasza Bernharda, to było dla mnie wspaniałe

doznanie, bardzo dobrze odebrane przez widzów i krytyków. Dużym przeżyciem był mój pierwszy po latach artystyczny powrót do Katowic – kiedy to za dyrekcji Bogdana Toszy wystawiłem w Wyspiańskim austriackie arcydzieło romantyzmu „Chłop milionerem” Ferdinanda Raimunda, co przyjemniejsze – w tłumaczeniu mojego syna Marka Szalszy.

– **Wykonałeś kawał soczystego życia, wszechstronnie pracowitego, w trudnych czasach ale i ciekawym towarzystwie.**

– Przyznam, że kiedy oglądam po latach różne swoje produkcje, zastanawiam się czasem jak to się dało wszystko zrobić i kiedy. Poznałem w życiu i w pracy wielu interesujących ludzi: Brandauera, Ustinowa, Theodorakisa, Harasiewiczza, Gerarda, Matuszkę, Niemena, gwiazdy austriackich i światowych scen, w Polsce zaś np. Zapasiewiczza, Jandę, Englerta i wielu innych. W czasie próby „Heldenplatzu” gawędziliśmy sobie z Krystyną Jandą. – *Wiem, że robił pan film „Serce Chopina”, jak to było z Chopinem i kobietami? Odpowiedziałem, że od dawna moim życzeniem jest zrobić coś pod temat „życie erotyczne Chopina”, a Janda na to: Pytam, bo Andrzej Wajda też chciałby zrobić film na ten temat... Przyznałem więc: Niewątpliwie Chopin był bardzo pobudliwy i rozbudzony erotycznie, co podobno jest cechą chorujących na gruźlicę... spoglądając jednak na piękną Krystynę po chwili skonstatowałem: ale skończmy lepiej naszą rozmowę, bo czuję, że się zaraz rozchoruję na tę samą chorobę.*

– **Rozumiem teraz dlaczego swoje urodziny i jubileusze chcesz świętować u nas, powiedziałaś, że do Katowic wracasz jak do domu, bo w domu to najlepiej fajerować.**

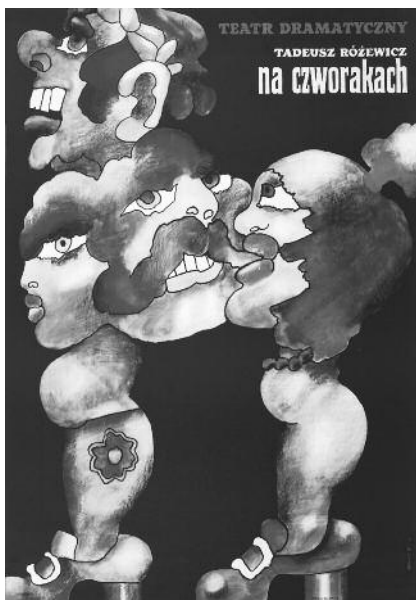


... z Krystyną Jandą i Zbigniewem Zapasiewiczem podczas realizacji „Heldenplatzu” (1997).

z listów
do redakcji

Świerzy – gigant na ulicy (trochę uzupełnień)

Miałem przyjemność znać prof. Waldemara Świerzego, wielokrotnie też o Nim pisałem m.in. w miesięczniku „Śląsk”, dlatego ośmielałem się do artykułu red. Wiesławy Konopelskiej pt. *Świerzy – gigant na ulicy* w „Śląsku” nr 2 (219) luty 2014, wnieść kilka – moim zdaniem – znaczących uzupełnień.



Fot. Zbigniew Sawicz
Waldemar Świerzy

skich gangsterów, bo to Amerykanów interesuje i śmiejesz i dobrze się tam sprzedaje w galeriach”. Jeździł więc z żoną do USA (gdzie do dziś w znanych klubach jazzowych wiszą Jego plakaty z cyklu Wielcy ludzie jazzu z Jimim Hendrikiem, Luiselem Armstrongiem czy Ellą Fitzgerald) dwa, trzy razy w roku malować Ala Capone i jemu podobnych, bo wówczas w Polsce dla takich facetów jak On – jak twierdził – nie było zbyt wiele zajęcia.

Wtedy to właśnie jego uczeń, znany grafik Andrzej Pągowski, zdając sobie sprawę z ogromnego potencjału i talentu jaki się marnuje w osobie Profesora, zdołał Go (nie bez oporu) namówić do namalowania nowego, według dzisiejszego stanu wiedzy historycznej, przygotowanej przez zespół historyków i ekspertów naukowych, kompletnego, liczącego 49 portretów pocztu władców polskich. Trzeciego pocztu, po 22 portretach Marcello Bacciarelli i po 44 wyidealizowanych – pochodzących sprzed 170 lat – rysunków Jana Matejki.

Ale w 2007 roku, po namalowaniu przez Waldemara Świerzego 24 portre-

twórcę plakatów, okładek do książek i do płyt, kalendarzy i znaczków pocztowych, lecz także jako autora portretów kompletnego pocztu władców polskich namalowanych przez tego genialnego artystę i niezwykle urokliwego człowieka. I jeszcze dwa inne uzupełnienia. Otóż Waldemar Świerzy pochodził z bardzo biednej robotniczej rodziny z Dębu. U babci, u której mieszkał z matką i siostrą, królowała nieśmiertelna śląska wzdzionka. Jako 14-latek musiał pójść do pracy, nosząc za majstrem kubel z farbami i drabinę. Szczęśliwie trafił do powstającej w Katowicach szkoły średniej plastycznej i gdy jej część przekształcono w wyższą uczelnię, Waldemara Świerzego liczącego sobie wówczas szesnaście lat, jeszcze bez matury, warunkowo wpisano na listę studentów tej uczelni, którą ukończył w 1952 r. otrzymując pierwszy dyplom w historii katowickiej uczelni. Liczył sobie 21 lat i – jak twierdził – jako szczęściarz, bo urodził się w niedzielę, spotyka na ulicy w Katowicach, swego byłego profesora Józefa Mroszczaka (wówczas dyrektora Wydawnictwa Artystyczno- Graficznego



Trawestując tytuł w/w artykule muszę stwierdzić, że prof. Waldemar Świerzy – jak słusznie twierdzi red. Wiesława Konopelska – gigant naszej grafiki, znalazł się w wolnej Polsce prawie na ulicy, w znaczeniu zaniku zamówień na plakaty. Zresztą nie tylko On, również wielu innych wielkich naszych grafików, zaliczanych wcześniej do grona twórców polskiej szkoły plakatu. Wszystko dlatego, że po 1989 roku wlała się do nas wielką niszczącą falą, zachodnią, głównie amerykańską, pop kultura. W rezultacie umów jakie nieopatrznie podpisali dystrybutorzy filmów i książek, dzieła naszych mistrzów zostały wyparte przez szmirę kupowaną z wytworami wspomnianej pop kultury.

Nie zapomnę swego zdumienia, gdy spytałem prof. Waldemara Świerzego w wywiadzie dla „Śląska” nr 2 (100) luty 2004, co aktualnie porabia i usłyszałem w odpowiedzi: „maluję amerykań-

tów, kiedy wydano nawet kalendarz z 12 portretami władców, o czym pisałem w „Śląsku” nr 2 (160), luty 2009 r., nastąpiła kilkuletnia denerwująca przerwa wynikła z kłopotów ze sponsorami tego wielkiego przedsięwzięcia. Profesor martwił się, że w tej sytuacji może nie zdążyć zakończyć rozpoczętego dzieła. Ostatecznie zdążył, tuż przed swoim odejściem. I to jest moje zasadnicze uzupełnienie do artykułu red. Wiesławy Konopelskiej. Ma bowiem Pani Redaktor z pewnością rację, że Waldemar Świerzy już nic nie namaluje, ale nie wszystko, co namalował i co pozostawił po sobie, jest nam znane. Jak twierdzi Andrzej Pągowski, inicjator powstania nowego pocztu władców polskich, już w październiku br. będziemy świadkami jego prezentacji na Zamku Królewskim w Warszawie. Jest więc szansa, że przyszłe pokolenia Polaków będą kojarzyły Waldemara Świerzego nie tylko jako wspaniałego

w Warszawie), który spytał czy nie przyjechałby popracować w stolicy. Waldemar Świerzy przyznał mu się, że chętnie ale nie ma za co. Profesor przysłał mu więc pieniądze i w ten sposób, przekonany że jedzie do Warszawy popracować kilka dni, ląduje w stolicy... na stałe.

Tu robi światową karierę zdobywając wszystkie bez mała znaczniejsze nagrody i wyróżnienia światowe i krajowe. Ma mnóstwo zamówień i wystaw na całym świecie, tylko nie w rodzinnych Katowicach, gdzie mu wielokrotnie obiecywaną indywidualną wystawę, zorganizowano dopiero na Jego 80. urodziny, które zbiegły się z jubileuszem 10-lecia ASP w Katowicach. Jak się okazuje najtrudniej zarobić na życzliwość swoich ziomków, czego nie tylko on, na Śląsku, doświadczył. Dobrze więc, że po śmierci, przypomina się Jego dzieło.

JAN COFAŁKA
(Warszawa)

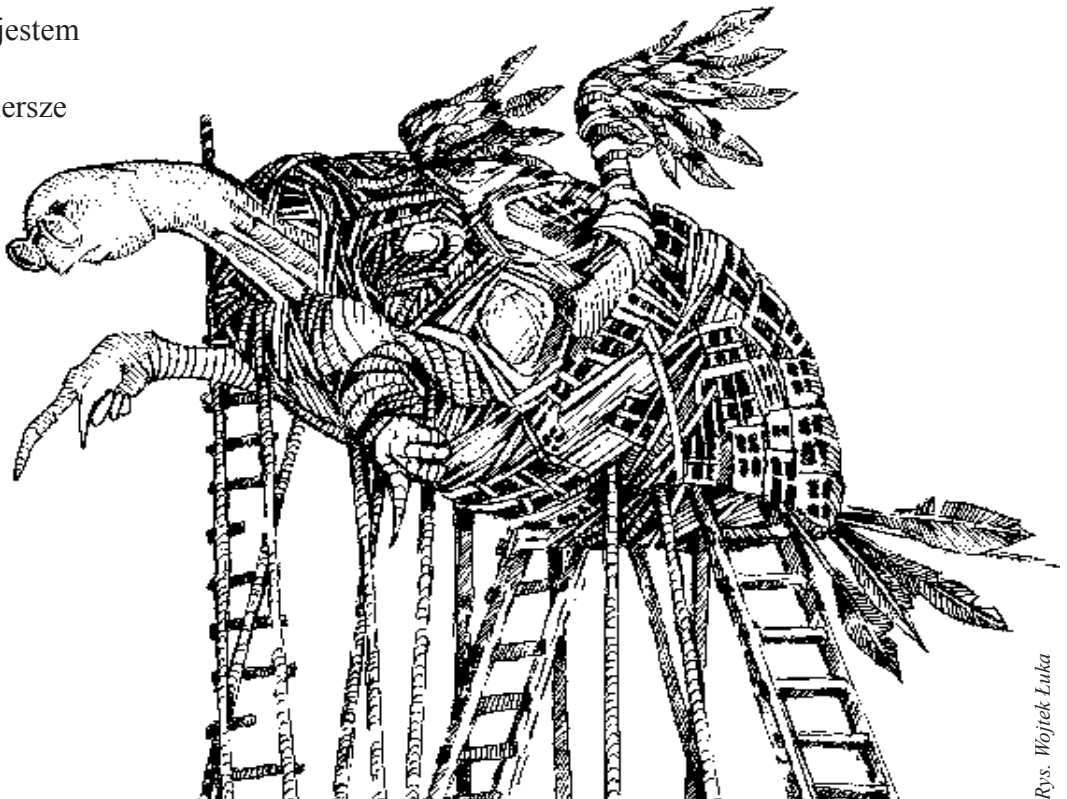
Strusi lombard

Zastawię trzy pióra
za cztery dachówki
z żółwich pancerzy
będę wodoodporny
i skryję łysość
upierzenia
Kto dzisiaj czyta
poezje
chyba tylko
nie pierwsze naiwne
panienki
oraz kandydaci na
poetów
z blokowisk podmiejskich
albo spacerowicze po
parkowej zieleni
która jak paw
napawa się swoją
bezradnością
i wysokimi śniegowcami
w razie deszczu

A Pani chodzi ciągle
obok mnie
ale ja już nie jestem
sobą
teraz piszę wiersze

Czas

Obrazy na ścianach
lampa na suficie
myśli jak karuzela
kręcą się ulotnie
w kątach zabawki
bajki dawnych
myśli
i tylko spłowiące
wspomnienia na
co dzień
a może od jutra
nowe nastąpi
nowe się odnajdzie
słowo dla wiersza
słowo do modlitwy



— **Nie** jestem zbyt religijny, dlatego kręcę filmy o ludziach, którzy próbują uporządkować swoje sprawy z Bogiem, tak jak ja – powtarza Tomasz Bardorsch, pochodzący z Górnego Śląska, reżyser filmów dokumentalnych.

Tomasz Bardorsch urodził się w 1979 r. w Tarnowskich Górach. Jeszcze jako uczeń tarnogórskiego Liceum Ogólnokształcącego im. Stefanii Sempołowskiej nie myślał o karierze filmowca. Dopiero w czasie studiów filozoficznych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie dojrzał do decyzji o wyborze drogi filmowego dokumentalisty.

– Któregoś dnia wybrałem się do kina na film „American Beauty” i wtedy pomyślałem, że mógłbym zostać reżyserem – wspomina Bardorsch.

Studia reżyserskie w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi podjął w 2000 r. Dopisało mu szczęście, bo w trakcie studiów, gdzie nakręcił kilka etiud filmowych, były to m.in.: „Obsada dla Julii”, „Dziś wieczorem”, „Sądź ciebie według siebie”, „Dalej”, został asystentem reżysera telewizyjnego serialu „Fala zbrodni”, co pozwoliło mu w praktyce udoskonalić reżyserskie umiejętności. Współpracę z Maciejem Dejczerem przy realizacji kolejnego serialu „Oficerowie” rozpoczął w 2006 r. już jako absolwent Filmówki. Po roku, z dyplomem w kieszeni i niemalym doświadczeniem, asystował jako drugi reżyser samemu Andrzejowi Wajdzie na planie filmu „Katyń”.

– O tym, że trafiłem do Wajdy zdecydował przypadek. Firma produkująca serial telewizyjny Dejczer realizowała także film o mordzie katyńskim i zaangażowała mnie do pracy – mówi dokumentalista.

Kiedy telewizja Religia. tv rozpoczęła poszukiwania młodych reżyserów do realizacji filmów dokumentalnych, zwróciła się z ofertą do łódzkiej szkoły filmowej, a władze uczelni powiadomiły o propozycji Tomasza Bardorscha, który zgodził się na współpracę z tym kanałem religijnym. Tak zaczęła się jego kariera dokumentalisty, twórcy filmów religijnych. Ale oprócz przypadku i zleceń od producenta ważny także był jego osobisty wybór.

– Zawsze interesowała mnie problematyka wiary, dlatego zacząłem robić filmy o ludziach poszukujących drogi do Boga – dodaje reżyser.



Tomasz Bardorsch, reżyser dokumentalista

Filmowa misja Bardorscha

Z kamerą na misjach

Najbardziej znaczącym w jego twórczości filmowej stał się realizowany od 2007 r. w Religii. tv cykl „Szaleńcy Pana Boga”, na który składają się kręcone przez wielu reżyserów dokumentalne opowieści o polskich misjonarzach pracujących w parafiach na różnych kontynentach kuli ziemskiej. Tomasz Bardorsch w ramach tego cyklu stworzył kilkanaście bardzo dobrych filmów dokumentalnych, które stały się jego znakiem rozpoznawczym.

Bohaterem dokumentu „Ewangelia przez obiektyw” nakręconym w 2008 r. na Madagaskarze jest ksiądz pochodzący z Bytomia. Kapłan wpadł na pomysł, żeby w swojej placówce robić kamerą wideo ewangelizacyjne filmy i wyświetlać je w prowizorycznym kinie oraz sprzedawać Malgaszom. Sprzeciwił się w ten sposób nieprawdziwemu światu pełnemu okrucieństwa i pozbawionemu obecności Opatrzności kreowanemu przez wyświetlane w miejscowych kinach chińskie i indyjskie filmy. Po odpowiednim szkoleniu zrealizował swój zamiar. Utrwalił na ta-

śmie ewangelizacyjne przesłania oraz między innymi lokalne rytuały. Jeden z nich tzw. przewijanie zmarłych zarejestrował obiektywem także Tomasz Bardorsch, jako tło dźwiękowe obierając śpiewy i muzykowanie tubylców. Ten swoisty film dokumentalisty o kinie stworzonym przez amatora filmowca i misjonarza pozbawiony jest ocen profesjonalisty spoglądającego z wyższością na poczynania, jak by nie było, kolegi po fachu.

– Kiedy kręciłem ten film zupełnie nie zwracałem uwagi na umiejętności operatorskie duchownego, ważniejsza była jego misja – zauważa Tomasz Bardorsch.

Pracy w Republice Środkowej Afryki kapucyna Jerzego Steligi poświęcony jest także film pt. „Latarnik”. Tłem dla opowieści misjonarza o jego pracy stał się ciąg obrazów codziennego życia afrykańskiej wioski: nauki murzyńskich dzieci w szkole, modlitw czarnych zakonników, nabożeństw i rozdawania żywności z darów. Monotonny głos duchownego płynący spoza kadru zawiera spory ładunek emocji i refleksji związanych z przebywaniem wśród ludzi o afrykańskiej mentalności, którym obce jest europejskie poczucie czasu czy też pęd do nauki i wiedzy.

Natomiast pełnioną muzyką jest film pt. „Manuskrypt znaleziony w buszu”. Narratorem i bohaterem dokumentu jest Piotr Nawrot. Ten profesor z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego od 1991 r. przebywa na misji w Paragwaju, gdzie trudni się konserwacją i odtwarzaniem manuskryptów z zapisanymi nutami. Od XVI wieku jezuitcy misjonarze upowszechniali w południowoamerykańskich kościołach barokowe utwory sakralne, zapisywane na papierze. Po kasacji zakonu jezuitów manuskrypty dostały się w ręce Indian. Współcześnie Piotrowi Nawrotowi, po przekonaniu indiańskiego kacyka, udało się dotrzeć do rękopisów i odtworzyć melodie po to, żeby nauczyć muzykowania tubylców. W filmie Bardorscha oglądamy nieustające próby i koncerty indiańskich zespołów smyczkowych wykonujących w kościołach i osadach pod kierunkiem polskiego misjonarza barokowe kompozycje sakralne. Z komentarza profesora wyłania się obraz nabożnego szacunku do muzyki, nośnika wiary w Boga i przekonania Indian, że bez manuskryptów zaginęliby w dziejowej otchłani.

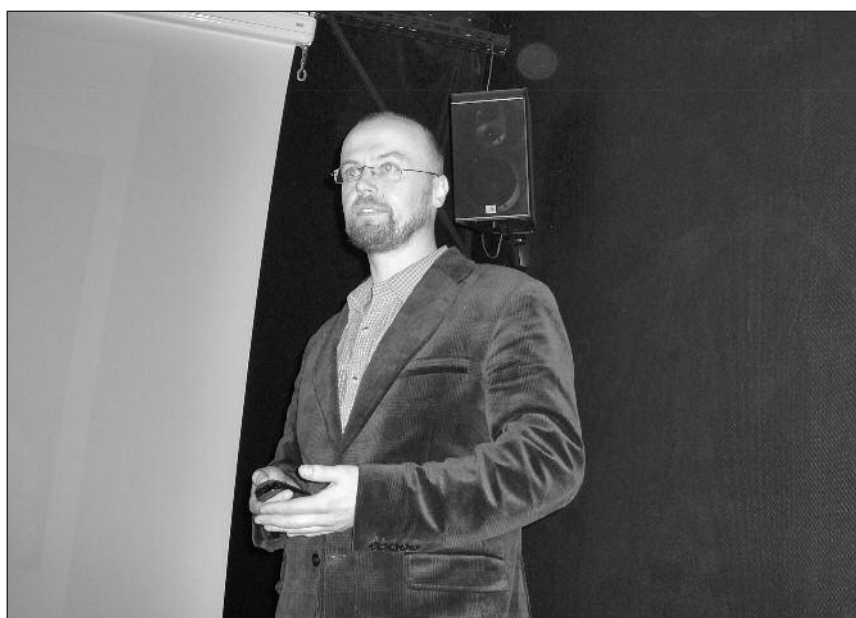
Bardziej drastyczny w treści jest dokumentalny zapis działalności Tomasa Klisowskiego w Limie, zawarty w filmie pt. „Dom wiosennego słońca”. Tytuł jest wiernym tłumaczeniem nazwy schroniska dla dzieci ulicy Ayllu Situwa, założonego i prowadzonego przez Polaka w stolicy Peru. Szereg rozmów z bezdomnymi chłopcami, ofiarami gangsterów oraz brutalnych policjantów, przeplatany scenami demonstracji w obronie godności uliczników oraz pobytu w schronisku spajany jest opowieściami misjonarza o tragicznej sytuacji nieletnich. W gawędzie nie brak refleksji psychologicznych, społecznych i religijnych. Ale ponad wszystkimi kadrami unosi się – towarzyszący wypowiedziom dzieci ulicy – duch wyjścia z bezdomności i odegrania pożytecznej roli w społeczeństwie. Dodatkowego smaku pracy Klisowskiego dodaje fakt, że nie jest duchownym lecz wolontariuszem.

– To, co widzieliśmy na filmie jest umocnieniem misjonarstwa świeckiego, pojawiła się bowiem opcja, aby promować tego typu misjonarstwo. Na misje wyjeżdżają nawet małżeństwa – komentuje religioznawca Mateusz Dąsal film Bardorscha. Reżyser – zdaniem religioznawcy – ukazuje misjonarstwo w sposób prawdziwy, choć nie brak w cyklu „Szaleńcy Pana Boga” upiększeń.

Przekuwanie duszy

Film „Ty! On? Ja?” zrealizowany w 2011 r. na Syberii wprawdzie nie należy do cyklu misjonarskiego, ale ma wiele z nim wspólnego. Reżyser ukazuje beznamiętnym okiem kamery pracę polskiego księdza tworzącego parafię katolicką w Nowosybirsku i nauczającego Rosjan religii, a właściwie nawracającego ateistów, których dusze przekuto w wyznawców komunizmu. Po upadku Związku Radzieckiego poszukują oni drogi do Boga. Na tle postsowieckiej społeczności ukazuje historię nawrócenia Leny. Młoda dziewczyna była telewizyjną prezenterką i modelką. Pod wpływem nauk polskiego misjonarza porzuciła zawodowy blichtr i wstąpiła do polskiego zakonu. Przed kamerą Lena opowiada niby o swoich zwyczajnych losach, ale mają one sporo wspólnego z dziejami biblijnych postaci. O jej przemianie mówią także misjonarz i jej ojciec. Zwłaszcza beznamiętnie snuta na tle syberyjskich krajobrazów, w trakcie codziennych czynności, opowieść taty Leny wywiera niezatarte wrażenie i nie pozostawia obojętnym wobec tego, co dzieje się na ekranie. Towarzyszy tym obrazom śpiew akompaniującego sobie na gitarze jednego z nawróconych podopiecznych misjonarza.

– Rosjanie śmiali się, gdy opowiadałem im, że wykorzystałem to śpiewanie



Mateusz Dąsal, religioznawca

w ścieżce dźwiękowej, bo doskonale oddaje rosyjską duszę. Ale ja tak uważam – komentuje reżyser.

Nieco odbiegający od nurtu misjonarskiego był film z 2010 r. pt. „Czwarte piętro”. To historia opowiedziana przez Norberta Piotrowskiego, mającego za sobą doświadczenia z alkoholem i narkotykami oraz pobyt w więzieniu. Niesforny młodzieniec po próbie samobójstwa został inwalidą przykutym do wózka. Po przewyciężeniu depresji odzyskał wiarę w Boga. Usamodzielił się, rozpoczął pływackie treningi. W 2004 r. pielgrzymował na Jasną Górę. Dwa lata później z asystentem ze Stowarzyszenia „Otwarte Drzwi” dotarł do Rzymu na grób Jana Pawła II. Na ekranie nie oglądamy jednak jego pielgrzymiego trudu, ale nie mniej znoyny codzienny rytuał schodzenia ze schodów, podczas którego słyhać tylko zgrzyt kół inwalidzkiego wózka i szuranie bezwładnych nóg. Kamera towarzyszy jego wycieczce w ośrodku dla niepełnosprawnych Apteka Sztuki, na pływalni, na ulicy.

Problematyce niepełnosprawnych poświęcony jest także film pt. „Osada” z 2010 r. Reżyser ukazuje ludzi sprawnych inaczej żyjących wspólnie ze zdrowymi w Osadzie Burego Misia. Rytm ich życia wyznaczany jest przez naturę. Hodowla zwierząt: krów, koni, świń pozwala im uwierzyć w siebie i pogodzić się ze światem oraz Bogiem. Kontakt z psem czy końmi przyczynia się do odzyskiwania przez nich poczucia godności ludzkiej. A przykład Adama, który zaprzestał ucieczek z ośrodka po zrozumieniu, że jest kochany przez innych ludzi, to wspinały dowód na to, iż bliźni mogą pomóc czynić dobro. Zaś uczestniczenie Burych Misiów w religijnych rytuałach, przystępowanie do komunii świętej dowodzi istnienia boskiego miłosierdzia.

Gadzinówka odkrywa prawdę

Najnowszy dokument Bardorscha z 2013 r. pt. „Śmierć ich połączyła – kapelani katyńscy” nie powstałby zapewne, gdyby nie przygoda reżyserska na planie fabularnego filmu Wajdy „Katyń”. Dzięki powrotowi ze świata fikcji do faktów historycznych, oglądanych z perspektywy rodzinnej, powstał obraz o docieraniu do prawdy. Narratorka filmu Barbara Tarkowska pod wpływem snu, w którym usłyszała od swojego nieżyjącego krewnego znamienne słowa: „Kop głębiej!”, rozpoczyna poznawanie losów stryja, kapelana wojskowego Jana Leona Ziółkowskiego. W ciągu 30 lat odnajduje dokumenty, wysłuchuje opowieści, dzięki którym poznaje koleje życia stryja, który wyświęcony na księdza został wojskowym kapelanem i zginął w Katyniu. Jak na ironię o odnalezieniu jego ciała pierwsza poinformowała w 1943 r. krakowska gadzinówka. Reżyser nie tylko pozwala wysłuchać opowieści bohaterki, ale dopuszcza do głosu także historyków, duchownych i wojskowych naświetlających tło epoki. Obiektywem kamery ukazuje stare dokumenty, zdjęcia, gazety, listy, przedmioty pozostałe po zamordowanych oficerach zgromadzone w muzeum katyńskim oraz współczesne krajobrazy miejsca kaźni zarośniętego dorodnymi brzożami. Najistotniejsze pozostaje przesłanie stryja przekazane Barbarze Tarkowskiej we śnie, zacytowane całością historii.

Kilkadziesiąt filmów dokumentalnych zrealizowanych przez Tomasza Bardorscha świadczy o dużym potencjale twórczym tkwiącym w młodym reżyserze. Chociaż z reprezentatywnymi dokonaniemi dokumentalisty jak na razie mogli się jedynie zapoznać miłośnicy kina w jego rodzinnym mieście, gdzie w lutym 2014 roku w Tarnogórskim Centrum Kultury odbyły się „Dni z kinem Tomasza Bardorscha”.

Antoni Cygan. Malarstwo 1989–2014 – to tytuł prezentacji 25-letniego dorobku popularnego i lubianego artysty, którą można było zobaczyć w zabrzańskej Gallerii Cafè Silesia przy ulicy 3 Maja. Tłum na wernisażu (trudno było się precyzyjnie między przybyłymi gośćmi) był zaskoczeniem nawet dla organizatorów. Nieprzypadkowo wystawę dzieł profesora Antoniego Cygana, rektora Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, otwarto 7 marca. Jego dzieła – oczywiście te o treści religijnej są niczym wielkopostne rekolekcje. Prowokują do zadumy nad życiem, zmuszają do zatrzymania się w biegu, opowiadają o człowieczeństwie – o upadku i wywyższeniu, pozwalają zapomnieć o skrzępczej rzeczywistości. Są lekkiem dla całego zła... Lekiem dla duszy.

Jest jeszcze jeden powód do tego, aby jubileuszowa ekspozycja dzieł profesora prezentowana była w Zabrze, tutaj bowiem urodził się Antoni Cygan w roku 1964. Jak sam mówi: *Zawsze coś malowałem, rysowałem. Do dziś jestem nałogowym rysownikiem i rysuję na wszystkich możliwych spotkaniach. Mój los tak się poukladał, że miałem to szczęście, że pasuję towarzysząca mi od dziecka z czasem przekształcała się w mój zawód.* Studiował na Zamiejskim Wydziale Grafiki w Katowicach krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki. W roku 1988 obronił dyplom w Pracowni Projektowania Graficznego prof. Tomasza Jury oraz w Pracowni Malarstwa prof. Andrzeja S. Kowalskiego. Od 1992 r. pracuje w macierzystej uczelni, początkowo jako asystent w Pracowni Rysunku i Malarstwa I roku, a następnie jako prowadzący Pracownię Rysunku I roku oraz Pracownię Rysunku dla studentów lat II–V. Od powstania Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach (1 września 2001 r.) prowadzi do 2008 roku pracownię Malarstwa Ściennego i Monumentalnego w Katedrze Malarstwa, Rysunku i Rzeźby. W roku 2003 uzyskał stopień doktora habilitowanego. W 2005 r. został zatrudniony na stanowisku profesora nadzwyczajnego. Od 2008 roku prowadzi Pracownię Rysunku dla studentów lat II–V. W 2012 r. został wybrany rektorem katowickiej ASP. W 2013 r. otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Jest autorem kilkunastu wystaw indywidualnych, m.in. w Katowicach, Gliwicach, Lionie, Helsinkach, Londynie, Opawie. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych, zarówno w kraju jak i zagranicą. Uczestniczył w Międzynarodowych Targach Sztuki – Art London i Art Glasgow. Jest autorem kilku cykli Drogi Krzyżowej, m.in. do słynnej Bazyliki NMP w Licheniu. Zajmuje się także projektowaniem wnętrz kościołów (m.in. zrealizował kompleksowy projekt wnętrza – ołtarze, malarstwo w kościele pw. św. Pawła Apostoła w Zabrze, ozdobił kościół pw. św. Urbana w Paniówkach i ka-

W Gallerii Muzeum Miejskiego Cafè Silesia w Zabrze



Jubileuszową ekspozycję otwiera „Ostatnia Wieczerza”.

Lek dla duszy

plicę Domu Księża Emerytów w Katowicach). Zrozumiała jest zatem obecność na wernisażu jubileuszowej prezentacji abp. Wiktora Skworca.

27 marca w Gallerii Cafè Silesia można było po raz kolejny spotkać się i porozmawiać z Profesorem przy okazji promocji pięknie wydanej przez katowicką ASP albumu „Antoni Cygan – Malarstwo 1989–2014” będącego wspaniałą pamiątką z jubileuszowego spotkania z niezwykłym artystą zakotwiczonym w najlepszej tradycji malarstwa sakralnego, który z dorobku wielkich poprzedników czerpie pełnymi garściami, ale zawsze pozostaje sobą. Nikogo i niczego nie naśladuje – tak w formie jak i w treści. Daje tym samym odbiorcy ogromną przyjemność dyskusowania. Pyta: jak myślisz, mam rację czy jej nie mam? Należy do wielkich adoratorów tej solidnej malarskiej roboty, chociaż lubię też postmodernistyczną zgrywę... Tu jednak muszę przywołać słowa prof. Kazimierza Cieślaka z przedmowy do albumu: *Student Antoni Cygan – mimo że nie narzucał się studenckiej społeczności w jakiś spektakularny sposób był ulubieńcem Profesora (prof. Andrzeja S. Kowalskiego), który cenil jego solidność, ciągle rozwijane kompetencje warsztatowe i już wtedy artykułowane rozumienie MISJI MALARZA – jakże odmiennie od panującej w latach 80. ub. wieku atmosfery postmodernistycznej zgrywy... I jeszcze profesor Cieślak: Od początku malowanie obrazów było dla niego RODZAJEM MODLITWY. Czasami wiązało się to z łamaniem kanonów, ocierało o herzeje.*

Jubileuszową ekspozycję otwiera pokazanych rozmiarów „Ostatnia Wieczerza”. Znacze? Znamy! No to posłuchajcie. Ileż napięcia, miłości, ale i lęku w twarzach apostołów. Jutro Jezus umrze... W doktrynie Kościoła katolickiego jest to moment ustanowienia przez Syna Bożego sa-

kramentów Eucharystii (Wieczerzy Pańskiej) oraz kapłaństwa. Jest jednak coś co odwraca naszą uwagę od dziejącego się na płótnie wydarzenia. To obrus, płócienny... ale jak namalowany, Boże drogi! Historię, którą opowiada trzeba już sobie samemu odczytać. Najlepsze wzorce malarstwa realistycznego wysiadają! Cierpiące twarze na „Zdjęciu z Krzyża” zmuszają wręcz do modlitwy. Pełen nieopisanego cierpienia „Upadek Chrystusa” i kontrastujące z tą tragedią Jego spokojne oblicze. Taca ze srebrnikami – pogarda i obojętność. „Salome” i zakrwawiony worek – seks i wyuzdanie... Podwójny portret upadłej dziewczyny to już dłuższa historia – chęć łatwego zysku, obojętność, upadek i cierpienie. „Chrystus w Emaus” i znowu tyle treści, niepewności, czy wręcz niewiary. No i „Pieta” – bolesna aż do bólu. Jest i portret współczesnej kobiety w teatralnej otoczce oraz portret mężczyzny przy winie, myślę, że to artysta, ale nie wiem kto... Profesor Cygan to nie jest – a w tym miejscu pasowałby jak ułaj autportret. Są pejzaże, rysunki... Wielka szkoda, że obrazy nie są podpisane. Nie rozumiem dlaczego... Nie każdy widz potafi rozwiązywać biblijne zagadki... Dość utyskiwać. Myślę, że wrażliwy odbiorca znajdzie tu wiele dobra, które pomoże łatwiej znieść całe zło codzienności.

Jadwiga Pawlas-Kos z Muzeum Miejskiego w Zabrze mówi o profesorze Cyganie: *„Dla wyartykułowania własnej wizji świata sięga do tematyki biblijnej, znajdując w Biblii niewyczerpane źródło inspiracji... To wszak skarbiec archetypicznych pojęć charakterów, losów, postaci, zjawisk. Podejmuje własną interpretację odwiecznych kanonów ikonograficznych Starego i Nowego Testamentu, zwłaszcza wątków pasyjnych”.*

W wywiadzie dla Głosu Zabrze Antoni Cygan powiedział: *Obrazów nie maluje się z natchnienia, jakby się wydawało przeciętnemu widzowi. To trudna, mozolna, systematyczna praca, godziny spędzone w pracowni. Wykształcenie plastyczne może natomiast dać dobrą pracę i możliwość spełnienia swych pasji, np. malarskich. Dzisiaj nie ma już typowych „malarzy”, bo artysta plastyk nawet po kierunku malarstwa potrafi obracać się w wielu różnych dziedzinach sztuki. I taka nasza rola, by np. w młodych uczniach zabrzańskej szkoły plastycznej rozwijać i pielęgnować pasje, ale też uczyć pracy, wytrwałości i artystycznej wszechstronności, bez której we współczesnym świecie można zginąć.*

Podczas wernisażu prof. Antoni Cygan otrzymał brązowy medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Honorowy patronat nad wystawą objął prezydent Zabrze Małgorzata Mańka-Szulik i prezydent Katowic Piotr Uszok.

WITOLD KOCIŃSKI

Fot. Dorota Kuder



Upadek

Fot. Dorota Kuder



Żona Uriasza

Fot. Dorota Kuder



Przy studni



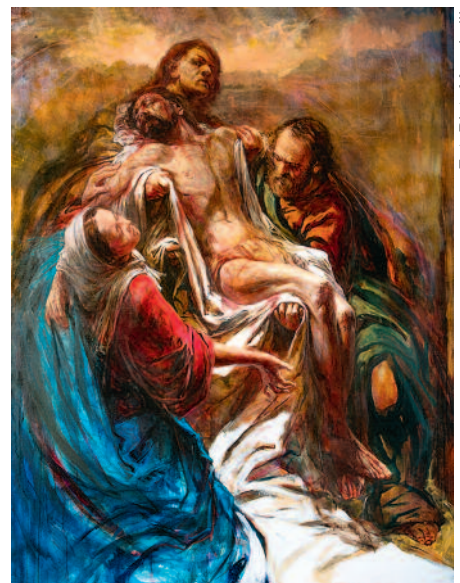
Judasza

Fot. Dorota Kuder

Antoni Cygan

Malarstwo

1989–2014



Zdjęcie z krzyża

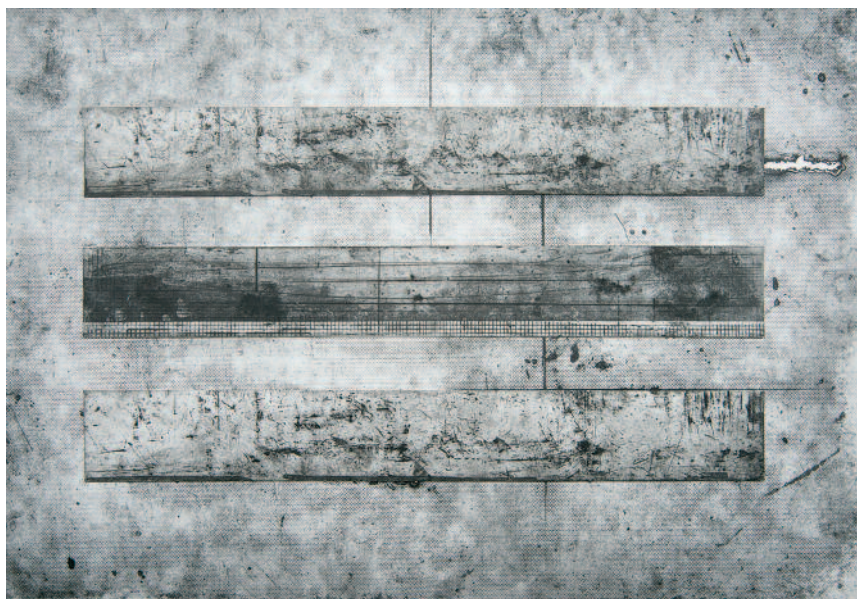
Fot. Piotr Muschalik



Michał Klasik, OTWARTE ZAMKNIĘTE, obiekt, deska, 42x23cm, 2014



Michalina Wawrzyczek-Klasik, ZAPIS, cykl 14 płócien o wym. 200x80 cm każde, akryl olej, 2014



Artur Masternak, defragmentacja 4, włóknodruk, 100x70cm, 2014

BEZPOŚREDNIO

MICHALINA WAWRZYZEK-KLASYK

ARTUR MASTERNAK

MICHAŁ KLASYK

Galeria Szyb Wilson i Galeria ZPAP
w Katowicach



Michał Klasik, OTWARTE ZAMKNIĘTE, obiekt, drewno, grafit, tkanina, 2014

Zdjęcia autorów wystawy

Reprezentujący młodą generację artystów Michalina Wawrzyczek-Klasik, Artur Masternak i Michał Klasik wspólnie przygotowali wystawę, którą zatytułowali „Bezpośrednio”. Znaczną część prac pokazali w przestronnym, przemyślnym wnętrzu Galerii Szyb Wilson, kilka dni później drugą część wystawy otworzyli w kameralnej galerii ZPAP. I tu i tam „Bezpośrednio” miało znaczyć to samo – indywidualny, intymny kontakt z dziełem, z własnymi przemyśleniami i spostrzeżeniami.

Jako motto ekspozycji artystom posłużyły słowa Susan Sontag, która powiedziała, że „Nasze zadanie wcale nie polega na tym, by odnaleźć w dziele sztuki jak najwięcej treści, ani na tym, by wyciągnąć z niego więcej treści, niż ono w sobie ma. Musimy odsunąć treść na bok, aby w ogóle być w stanie zobaczyć dzieło. [...] Nie potrzebujemy hermeneutyki, ale erotyki sztuki”. Jak zatem trójka artystów, którzy nieprzypadkowo zestawili swoje dzieła obok siebie, zrealizowała w swoich pracach plastycznych słowa Sontag?

Słusznie zauważa Michalina Wawrzyczek-Klasik, że przyzwyczailiśmy się do nadmiaru obrazu. Wokoło słyszy się przecież, że żyjemy w czasach nie słowa, ale obrazu, który wypełnia naszą przestrzeń szczelnie obrazami, których często wcale nie chcemy, nie potrzebujemy, przy pomocy których włączają się w każdego z nas obrazy często prostackie, nie wywołujące emocji, albo powodujące ich przesyt i ucieczkę od nich. Myślenie, a z pewnością słowo usuwa się na plan dalszy. W epoce przeróżnych sposobów komunikacji, zwłaszcza internetowej i telefonii komórkowej, w tej drugiej także słowo zeszło na plan dalszy. Telefon nie służy w zasadzie do rozmowy, ale głównie do pisania – czyli rozpoznawalnymi przez ludzię oko skrótowcami lub do wyszukiwania w sieci kolejnych obrazów.

Jak się to wszystko ma do wystawy? Wchodząc do obszernej, gigantycznej sali galerii Szyb Wilson zauważamy prace, ale nie wiemy co przedstawiają. W zasadzie monochromatyczne – szarość grafik w różnych odcieniach, i kilkanaście kontrastujących z nią brunatnych płaszczyn instalacji umieszczonych w zwartej grupie, zajmującej centrum pierwszej sali. W znacznej odległości ściany zajmują znajome grafiki z cyklu „Pomiędzy” – a więc, to prace Michaliny Wawrzyczek-Klasik. Tym razem owo „Pomiędzy” wprowadza krążącego między pracami widza w inny świat. Jedną pracę od drugiej oddziela spora odległość, którą trzeba pokonać by dowiedzieć, co przedstawia kolejna. Instalację trzeba obejrzeć, zbliżyć się, oddalić, przystanąć – trochę jak w dawnym fotoplastykonie – tylko że to nie obrazy przesuwają się przed naszymi oczyma, ale my sami,



Artur Masternak, defragmentacja 2 wkłęsłodruk, 100x70cm, 2014

Forma i nic więcej?

w dowolny sposób wybieramy kolejność oglądanych obrazów. Instalacja jak i pozostałe prace Michaliny Wawrzyczek-Klasik są znacznie większe od oglądających. Mimo rozmiarów, prace nie osaczają, nie przekrzykują się – panuje między nimi harmonia i spokój. Charakterystyczna dla artystki stonowana gama kolorystyczna grafik nie odwołuje się do czegoś co znamy, co już widzieliśmy, nie budzi skojarzeń, nie odwołuje się, nie komentuje. Po prostu JEST. Jest pomiędzy, jest z nami w bliskim kontakcie. Może nam się podobać, albo nie – ale nie w podobaniu rzecz. Sztuka, jaką uprawia Michalina Wawrzyczek – Klasik jest odarta z nadmiaru barw i nadmiaru treści, którą często poznajemy dopiero poprzez odautorskie komentarze. Oglądamy intymny świat autorki, pełen sugestii i subtelności. Czy czujemy się dobrze w tej uspokojonej przestrzeni? Czy pozorna pustka jaka nas otacza, jakby tylko sugerująca istnienie sztuki jest naszą przestrzenią? Może nie od razu, nie od pierwszej chwili, ale za moment, kiedy oko oswoi się z brakiem nachalnych kolorów. To odważający wystawę stanowią element ruchu i koloru, który przemieszcza się pomiędzy tymi pracami. Spokój – tego z pewnością na co dzień nam wszystkim brakuje.

Z tym co zaproponowała Michalina Wawrzyczek-Klasik znakomicie współgrają prace graficzne Artura Masternaka i rzeźbiarskie Michała Klasika. Żeby zobaczyć grafiki Masternaka trzeba pokonać schody prowadzące na galerię – z dołu po prostu nie wiadomo co przedstawiają. Jego „defragmentacje” imponują surowością i konsekwencją. Sam autor mówi, że w grafice interesuje go zasada powtórzenia, które dotyczy myśli, śladu, znaku i kompozycji. I wszystko to można w tych pracach odnaleźć. Bezpośrednio przyklejone do ścian, bez szyby, potęgują surowość która je charakteryzuje. Przetwarzanie, powroty, wydobywanie nowych elementów, podkreślanie ich jedności w sposób uporządkowany są wpisane w prace Artura Masternaka. W jednostajności, którą

ciężar – ledwo widocznym jakby odrealniony.

Wszechobecne kapliczki – a raczej sugestie kapliczek nazwane „Otwarte zamknięte” – co w ich wnętrzu – cokolwiek, ledwo zasugerowane przybytki sacrum – przywodzą na myśl przydrożne kapliczki znane z przestrzeni pozamiejskich i wiejskich, wpisanych w polski krajobraz. Te jakby nie miały wnętrza, pozostają otwarte na naszą myśl. Surowe drewno, niekoniecznie starannie przytoczone otwarte lub na wpół zamknięte drzwiczki owych kapliczek są naszymi wyobrażeniami, naszymi przestrzeniami. Nie odgadujemy zamysłu autora tych obiektów. Jest też fragment nieba skrytego między deskami, jakby odbitego w studni. To też nasza przestrzeń, która istnieje ponad nami, a tu jakby upominała się o miejsce dla siebie. Zwyczajne przestrzenie, prostota, surowość drewna – przedmioty wywodzące się prosto z natury – zapomniane przez nas?

I mała przestrzeń galerii ZPAP. Prace zgoła odmienne, ale nie do końca – już rozpoznajemy ich autorów, ale jakby bardziej przyjazne. Precyzyjne grafiki Masternaka, obrazy – obiekty – z pustymi przestrzeniami Michała Klasika i mikro-obiekty – „Artefakty” Michaliny Wawrzyczek-Klasik. Wszystkie zmuszają do zatrzymania się – pozabawione przestrzeni, nie tracą oddechu, pozostają w bardziej intymnych relacjach pomiędzy sobą i z odbiorcą. „Puste” obrazy nie są tylko ramami, to swego rodzaju... pojemniki na treść zależną od naszych potrzeb, są swego rodzaju uniwersalnymi obrazami, lecz nie prostymi ramami czekającymi na zamalowany blejtram. Są obrazami naszej wyobraźni.

Prace tej trójki młodych artystów emanują prostotą, ale niczego nie manifestują, nie zaprzeczają innym światom sztuki. Po prostu są – jeśli zechcemy zadać sobie trud przebywania wśród nich, z pewnością poznamy ich kojący wpływ na nas samych, ale nie pozabawiony intelektualnej refleksji.

WIESŁAWA KONOPELSKA



Władysław Podkowiński, „W ogrodzie”

KOLEKCJA
MALARSTWA
POLSKIEGO



Władysław Podkowiński

Powtykaliśmy w ziemię wiatraczki i teraz kręcą się, szumią. Są z błyszczącej folii i cały ogród w nich wiruje. Jak się podejdziesz bliżej, to nagle cała rzeczywistość rozplywa się w drżące krople i smugi. Nie ma drzew, płotu, pól, tylko radość, migotliwość. I jest tak jakby się zrozumiało jakąś głęboką prawdę o wszechświecie – nic nie jest stałe, wszystko w ruchu, nie ma materii, teoria strun wprawionych w drganie. Ten stan jest wszechogarniający, nagle euforia, wszystko jest miłe i przyjazne, jak dobrze tu na wsi i kiedy będzie obiad pod ogrodowym parasolem.

Tak musiał czuć się Podkowiński malując obraz „W ogrodzie”. Ścieżka, wielkie drzewo, postać z parasolką. Gdy przemierza się galerię malarstwa polskiego w Muzeum Śląskim, jest on najjaśniejszą, najbardziej świetlistą przestrzenią i ma się takie uczucie jakby tam było oświetlone słońcem okno.

Światło szczy się przez liście, to drzewo maluje, drzewo jest malarzem – mówił by może Podkowiński, gdy dzieci zbierały się wokół sztalugi. Skomplikowana siatka z gałęzi i liści, wielki kolorowy, ruchomy kalejdoskop, a może slajd nałożony na słońce – lampę, ja wiem, że zbyt daleko idę w tych skojarzeniach, ale muszę – to, co się dzieje na tym obrazie to jak „Kineformy” Pawłowskiego, gdzie zwykle pudło z kolorowymi szybkami obracane korwą, dawało na ścianie galerii zaskakujące migotliwe obrazy, za każdym razem inne.

Na ścieżce i pniu wibrują fiolety, zieleń, szafiry, turkusy, brązy, róże itd.

W muzeum jest jeszcze „Pejzaż” – pastel, a także znany autoportret artysty w czapeczce i jedna martwa natura. Ale nie będę się rozpisywał o tych pracach, bo muszę o czymś innym. O przeciwieństwach. Bo ten sam malarz, autor euforycznych, świetlistych pejzaży, w tym samym czasie malował ponure ciemne nokturny, cmentarze, krzyże i tańce szkieletów jak z taniego horroru.

Pytanie: czy Podkowiński nie mógł po-prześcić na świetlistości. Czy nie mógł być pierwszym polskim impresjonistą – po prostu – jak Monet malować nenufary – plamy światła w ogrodzie. Odpowiedź: nie. Bo był nieuleczalnie chory, nieszczęśliwie zakochany, wiedział, że będzie żył krótko. Słowem – artysta naznaczony. Ale gdyby malował samą świetlistość – umarłby może szczęśliwszy? Przypomina mi się „Brzezi-na” Iwaszkiewicza. Jest tam dwóch braci – Bolesław, zmęczony bezsenssem życia i Stanisław – gruzlik, krótkodystansowiec, który przyjeżdża do leśniczówki Bolesława umrzeć i wnosi do tego domostwa intensywność życia i szaloną grę na fortepianie. Tak – ta jego szybka gra, te wzburzone tanga są jak plamy światła na pejzażach Podkowińskiego, podobnie wibruje melodia. Te dwie postawy – rezygnacji i afirmacji – współistniały równocześnie w Podkowińskim.

Czy można odczuwać pełnię życia tuż przed śmiercią, właśnie dlatego, że jest tuż przed? Czytając „Brzezinę” wydaje się, że tak. „Harmonia świata, która mu się odkryła tego wieczora – przyprowadziła go o uczucie niezwyklej pełni (...). Wszystko było piękne i jak gdyby skomponowane w obraz czy w utwór muzyczny. Lipa, opierająca się mokrymi liśćmi o dach i prawie o okno jego pokoju, miała kształt doskonale zrobionej powieści, dzielącej się przemyślnie na konary i uwieńczonej zielenią.” Ale wraz z zagłębieniem się w to opowiadanie wszystko staje się bardziej skomplikowane. Stanisław przeżywa setki odczuć w jednej chwili – radość i paniczny strach, niezaspokojenie i spełnienie. I tak też musiał czuć Podkowiński. I tak trzeba spojrzeć na jego obrazy – te słoneczne i te czarne – jak na życie w całości.

Wertuję starą książkę o Podkowińskim. Przelatujące strony śmigają jak wiatraczki ogrodowe. Przelatują latarnicy, cyklisi, wioślarze, damulki z wizyty, lyżwiarze, chmurne i pogodne dni, spieniony łeb konia z „Szału uniesień”, plamy światła na pniach i podrygują szkielety w tańcu, tu jest zupełnie jak w animowanych puszczańskich szybko karteczkach, bo szkieletów narysowanych w różnych układach było wiele. Z tego wertowania tworzy się film o życiu i sztuce Podkowińskiego.

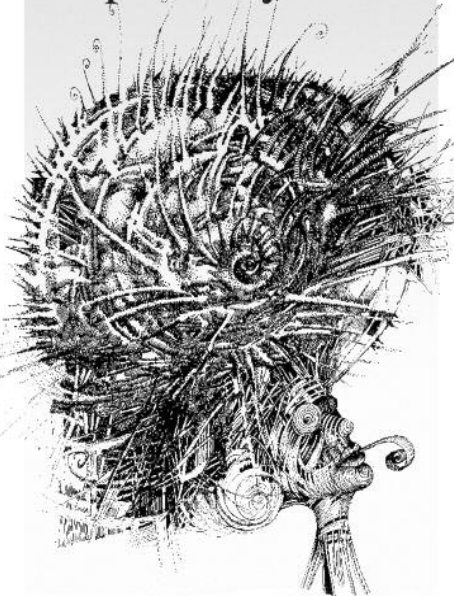
WOJCIECH GRABOWSKI

Do okolic miejscowości i rzeki wymienionych w tytule dzisiejszego odcinka mam przeogromny sentyment. Do licznej rodziny w Kędzierzynie jeździłem z Matką i Ojcem od lat najmłodszej dzieciństwa, a Kłodnica była pierwszą wodą w moim życiu. Dramatyczna wiadomość o pożarze lasu w Sławięcicach, która latem roku 1949 dotarła do Kędzierzyna, gdzie akurat spędzałem wakacyjne dni, jest ciągle żywa w mej pamięci.

Ze szczerą dlatego radością powitałem przed paroma tygodniami w murach swego instytutu przy placu Nankiera we Wrocławiu przedstawicieli Towarzystwa Przyjaciół Sławięcic z Gerardem Kurzajem na czele, którzy obdarowali mnie wydanymi w roku 2007 „Dziejami Sławięcic do roku 1945” Karola Jony (1930-2008), swojego wielkiego krajana, jednego z najwybitniejszych profesorów Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, długoletniego redaktora naczelnego „Studiów Śląskich”, członka PAU, autora rozlicznych prac poświęconych historii politycznej Niemiec, historii gospodarczej Polski i dziejów nowożytnych Śląska (córka Profesora Magdalena – pochwałę się: moja dawna studentka – to już także profesorka, tyle że na polonistyce, jesteśmy więc teraz instytutowymi kolegami).

Zaczyna swą książkę prof. Jonca słowami: „Sławięcice należą do najstarszych miejscowości na Śląsku, powstałych jeszcze przed trzynastowieczną kolonizacją na tzw. prawie niemieckim. Nazwa miejscowości wskazuje na słowiański charakter osady i jej dawnych mieszkańców. Nawet niemieccy historycy nie mieli co do tego wątpliwości. Długoletni sławięcicki nauczyciel Bruno Rademacher pisał w 1925 r.: *Nazwę Sławięcic wyprowadza się od sławy (sława – die Ehre), oznacza więc miejscowość godną sławy*. Nie wiemy, jakim okolicznościom zawdzięczała swą nazwę wczesnohistoryczna osada. Być może, wiąże się ona z imieniem dzielnego wojownika lub książęcego drużynika, a może z jakimś pamiętnym wydarzeniem. Od czasów piastowskich aż po dobę współczesną przez kilkadziesiąt lat przetrwała nazwa Sławięcice, chociaż licznym przemianom ulegała jej pisownia. W przeróżny sposób odnotowywali nazwę Sławięcice pisarze kancelarii książęcej, biskupiej, parafialnej, szkolnej i licznych urzędów piastowskich, czeskich, pruskich i niemieckich. W 1260 r. w łacińskim dokumencie pisano *Slavecici*, ale też *Slaveciz*, w 1308 r. *Slawetiz*, a w XIV wieku również *Zlavecize*, w 1604 r. *Slawienicz*, w sprawozdaniach z wizytacji kościelnych z lat 1679 i 1687 spotykamy pisownię *Slawienice* i *Slawienicz*. Pisarz królewsko-pruskiego Wyższego Sądu Krajowego wystawił w Raciborzu w dniu 3 kwietnia 1834 r. dokument, w którym zamieścił nazwę wsi raz jako *Slawentzitz*, raz jako *Schlawentzitz*. W drugiej połowie XIX wieku pisano też *Slawentzuetz*, jednak proboszcz sławięcicki Amand Dronia używał w 1881 r. pisowni *Slawentzitz*. W takiej wersji spotykamy nazwę miejscowości w korespondencji szkolnej i parafialnej z początków XX stulecia. Widzimy więc, że mimo różnych drobnych zmian w pisowni Sławięcic również niemieccy pisarze zachowywali słowiański rdzeń słowa. Kiedy w latach 30. XX wieku zdecydowa-

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Sławięcice, Ujazd, Kędzierzyn, Koźle, Kłodnica

no się na usunięcie wielowiekowej nazwy słowiańskiej, ograniczono się w zasadzie tylko do nieco sztucznego jej przetłumaczenia na język niemiecki, przy czym rdzeń *sława* przetrwał w niemieckim brzmieniu *Ehrenforst* z okresu Trzeciej Rzeszy. W 1945 r. przywrócono miejscowości jej nazwę z czasów piastowskich”.

Przytoczyłem w całości ten długi fragment, bo skupia się w nim jak w soczewce historia śląskiego nazewnictwa miejscowego: oto takie czy inne słowiańskie nazwy miejscowe zachowują przez wieki swój

pierwotny charakter, przyjmując tylko substytucyjne brzmienia niemieckie, i dopiero w czasach hitlerowskich wiele z nich zostaje zamienionych na postacie czysto niemieckie (choć często – jak w wypadku *Sławięcic* – z dosłownie przetłumaczonym rdzeniem).

Przecież *Zabrze* – wcześniej *Zadbrze*, czyli „osada za dbrzą – za wąwozem, za parowem z zaroślami” – dopiero w lutym roku 1915 stało się *Hindenburgiem* na cześć feldmarszałka Paula von Hindenburga, dowódcy zwycięskiej bitwy pod Tannenbergiem.

Nazwa *Kędzierzyn* z kolei, utworzona przyrostkiem *-in* od nazwy osobowej *Kędzierza* (znanej już w r. 1136), pochodzącej od wyrazu *kędzior* i będącej przezwiskiem człowieka z kręconymi włosami, przez wieki zachowała swój prymarny kształt, co potwierdzają zapisy: *Cancossino* 1147, *Kanze-sino* 1256, *Kandersino* 1283, *Kanderzin* 1598, *Kendzierzin* 1687/88, *Kędzierzyn* 1845 (cyt. za „Słownikiem etymologicznym nazw geograficznych Polski” Marii Małec z r. 2003). Substytutem niemieckim była postać *Kandrzin* i dopiero forma *Heydebreck* – upamiętniająca od roku 1934 Petera von Heydebrecka, dowódcę oddziału Freikorpsu, walczącego przeciw powstańcom śląskim pod Górą Świętej Anny, zdobywcę Kędzierzyna, zatarła całkowicie śląski-polski rodowód nazwy.

Połączone z Kędzierzynom od roku 1975 *Koźle*, niem. *Kosel*, cały czas swój rodowód nazewniczy – od wyrazu *koziol* lub od nazwy osobowej *Kozioł* – utrzymało: *Cosle* 1104, *Kozli* 1105, *Cozli* 1222, *Cosle* 1245, *Kozle* 1334, *Kosle* 1783, *Koźle* 1845.

Wracając zaś do *Sławięcic*, należy powiedzieć, że – oczywiście – morfologicznie ze *sławą* są związane, ale ich podstawą słowotwórczą jest imię osobowe *Sławięta* albo *Sławięta*, wymienione już w XII wieku. *Sławięcice* – pierw. *Sławięcicy* – to typowa nazwa patronimiczna, odojowska, oznaczająca „potomków Sławięty//Sławięty”.

Najbliższy sąsiad Sławięcic – *Ujazd* – jest natomiast nazwą kulturową. Oznaczał on pierwotnie większy obszar ziemi, któremu określono granice przez *ujazd*//*objazd*, w chwili kiedy ktoś obejmował darowiznę. Jak policzyłem w swej pracy magisterskiej napisanej w r. 1968 pod kierunkiem prof. Stanisława Rosponda, *Ujazdów*, *Ujazdów*, *Ujazdów*, *Ujazdów* i *Ujdzów* jest w Polsce 38; w Małopolsce 132, na Śląsku 11, w Wielkopolsce 9, na Mazowszu 4, na innych terenach 2.

Warto wiedzieć, że mniejszy obszar ziemi, któremu określono granice przez obejście w chwili obejmowania darowizny, zwał się *ochodzą*. Do niej nawiązuje *Ochodza* – nazwa kilkunastu miejscowości.

Kłoda oznaczała „pień drzewa bez gałęzi, kłoc”. Stanowiła źródłosłów nazw miejscowych położonych nad rzeką, które oznaczały „miejsca obrabiania i wiązania drzewa budulcowego, przeznaczonego do spławu” albo „miejsca składania zboża na spław lub przeznaczonego na daninę” (*Kłoda*, *Kłodawa*, *Kłodna*, *Kłodnia*, *Kłodnica*, *Kłodowa*, *Kłodzice*, *Kłodzkie*, *Kłodzianki*, *Kłodzianko*, *Kłodzin*, *Kłodzisko*, *Kłodzko*). Podstawa słowotwórcza rzeki *Kłodnicy* jest, oczywiście, taka sama – *kłoda*.



Czas na Ziemi mocno przyspiesza. Zegar zniszczeń, jakich jej dostarczamy w każdej kolejnej minucie, odmierza go jakby inaczej. W rytm pogarszającej się kondycji przyrody, która znalazła się na równi pochyłej.

Nie wszyscy patrzymy na ten proces obojętnie. Świętowanie Dnia Ziemi jest tego najlepszym potwierdzeniem. W Polsce, umownie 22 kwietnia – obchodziliśmy ten dzień po raz dwudziesty piąty. Jego obchody zbiegają się w tym roku z ćwierćwieczem demokratycznej Polski. To dobry czas na wspólny, ekologiczny rachunek sumienia.

W pierwszym Dniu Ziemi w 1970 roku uczestniczyło ponad 20 milionów Amerykanów. To spontaniczne zainteresowanie ludzi ochroną środowiska pozwoliło z czasem wpisać ją w systemy polityczne i edukacyjne wielu krajów świata. Dokładnie 20 lat później do tego globalnego ruchu dołączyła Polska.

Świętowanie Dnia Ziemi w naszym kraju zainaugurował 22 kwietnia 1990 r. przemysłowy Śląsk w nietypowy sposób. W najbardziej zdegradowanym regionie Europy, członkowie Polskiego Klubu Ekologicznego – Okręgu Górnośląskiego zaproponowali mieszkańcom, by w tym dniu utworzyli z podanych sobie rąk, ale i proekologicznych wydarzeń, symboliczne łańcuchy życia.

Zryw obywatelski

Te spektakularne gesty mieszkańców Górnośląskiego były nie tylko wołaniem o zmianę polityki ekologicznej państwa. Były też obywatelską deklaracją włączenia się w proces ratowania środowiska naturalnego w skali lokalnej i globalnej. Odnotowaliśmy wówczas ich sporo. Symboliczne łańcuchy życia spletało na katowickim Rynku i wokół zakładów przemysłowych – największych trucicieli środowiska, m.in. pod hutą „Łaziska”. Także w wielu szkołach, instytucjach czy podczas odprawianych ekologicznych mszy polowych.

Szczególnym akcentem inauguracji Dnia Ziemi było „zielone ślubowanie”. Złożyli je w samo południe 20 kwietnia 1990 roku uczniowie Bytomia, zgromadzeni w miejskim parku. Przybyli tu na wiec solidarności bytomskiej Ligi Ochrony Przyrody z mieszkańcami tego mocno zdegradowanego miasta. Z transparentami, na których umieścili następujące hasło: „To nieprawda, że nie można uratować zniszczonego przemysłem Śląska”.

Od tego czasu, kwietniowe Dni Ziemi obchodzi niemal cała Polska w różnorodny sposób. Na festynach, piknikach i koncertach; konferencjach naukowych, poświęconych ochronie środowiska i festiwalach filmów ekologicznych; podczas happeningów ulicznych i akcjach sa-

Czas dla Ziemi



Laureaci nagrody „Zielone czeki” 2014”

dzenia drzew oraz uroczystych spotkaniach z tej okazji.

Większość uroczystości odbywa się ze wsparciem Lasów Państwowych, pozarządowych organizacji ekologicznych, Narodowego i Wojewódzkich Funduszy Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej i wielu innych instytucji.

Uczestniczą w nim samorządy, wyższe uczelnie, szkoły, rządowe instytucje, zajmujące się ochroną środowiska, całe rodziny i tysiące ludzi.

Światowy Dzień Ziemi 2014 w Polsce skojarzono tym razem z ogólnopolską kampanią edukacyjną pod hasłem „Zmieniaj nawyki – nie klimat”.

Zielone czeki i listy

Województwie śląskim najbardziej popularnymi w regionie wydarzeniami związanymi z tym świętem była jubileuszowa uroczystość wręczenia „Zielonych czeków” oraz pisanie przez dzieci „Listów do Ziemi”.

„Zielone czeki” to nagrody finansowe, przyznawane od 1994 roku przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach osobom, wyróżniającym się w działalności proekologicznej.

W Dniu Ziemi – 22 kwietnia br. na uroczystości w katowickim kinoteatrze „Rialto” otrzymali je:



Opolskie dzieci piszą listy do... Ziemi

Adrian Pason z Energetyki Solarnej ENSOL Sp. z o.o., w kategorii „Innowacje i technologie” – za stworzenie słonecznego kolektora hybrydowego, zamieniającego energię słoneczną w ciepłą i elektryczną; w kategorii „Programy i akcje ekologiczne dotyczące ochrony przyrody” – Jacek Wąsiński, leśnik – za założenie i prowadzenie ośrodka rehabilitacji dzikich zwierząt przy Nadleśnictwie Katowice oraz zaangażowanie w ochronę przyrody i edukację oraz Róża Maria Cwiąg z Katowic – za pokonywanie barier biurokratycznych, które umożliwią podjęcie rekultywacji i zagospodarowania terenów zdegradowanych wokół torów kolejowych w dzielnicy Brynów.

Dr Jacek Betleja z Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu został nagrodzony w kategorii „Prac naukowo-badawczych” za długoletnią pracę na rzecz ochrony przyrody oraz dorobek naukowy, związany z ochroną ornitofauny w Polsce; z kolei Jacek Bożek, twórca Klubu Gaja, w kategorii „Edukacja dzieci i młodzieży” za budowanie ekopokolenia XXI wieku, realizację długofalowych programów, jak m.in. „Zaadoptuj rzekę” i „Święto drzewa” oraz konkretne działania ekologiczne realizowane we współpracy z samorządami na terenie całego kraju.

Zielonymi czekami w kategorii „Publicystyki ekologicznej” wyróżniono Zofię Skrok i Marcina Jałowego, autorów telewizyjnego programu „Eko-agent”. Od ponad roku promują oni ekologię, interweniują publicystycznie w przypadkach zagrożenia środowiska i zdrowia ludzi.

Nagrodą specjalną uhonorowano prof. zw. dr. hab. Pawła Migułę z Uniwersytetu Śląskiego, współtwórcę i koordynatora projektu badawczego pn. „Zintegrowany system wspomagający zarządzaniem i ochroną zbiornika zaporowego – ZiZO-Zap” w latach 2010-2014. To unikatowy w skali kraju program badawczo-rozwojowy, którego celem jest stworzenie optymalnego systemu zarządzania zbiornikami zaporowymi, w oparciu o kompleksowy monitoring ich stanu oraz modelowanie i prognozowanie zmian w nich zachodzących.

Przyznano również dyplom uznania. Otrzymał go za działania na rzecz ochrony przyrody – Eugeniusz Włochowicz.

Ogromne emocje towarzyszyły dzieciom, piszącym przez dwa tygodnie kwietnia listy do... Ziemi. Oczywiście na papierze z makulatury. Po napisaniu prześlą je rodzicom i dziadkom, by wspólnie z nimi realizować zadeklarowane w nich działania. To świetny pomysł edukacyjny, zainicjowany w ub. roku przez Fundację Ekologiczna Arka. Podczas obchodów święta Ziemi sprawdzał się znakomicie... I będzie miał swój ciąg dalszy....

JOLANTA MATIAKOWSKA

Małeje powierzchnia lodowców na najzimniejszej Antarktydzie. Swój lód traci Arktyka. To najbardziej wrażliwe miejsca na Ziemi na zmiany klimatyczne i te zachodzące w jej środowisku naturalnym. Już je widzimy. Doświadczamy. Budzą grozę. Mimo to, świat nie zmienia swego kursu, skierowanego na... zderzenie.

Skalę tego zagrożenia przybliżył kolejny Festiwal Kultury Ekologicznej „Zielono mi”. Wpisany przez miasto Katowice do kalendarza stałych imprez publicznych, gościł w Kinoteatrze Rialto od 9-13 kwietnia br. I po raz kolejny stał się jedyną w swoim rodzaju propozycją festiwalową, spod znaku szeroko rozumianej ekologii i kultury. Dostarczył i tym razem odzyskowej dawki wiedzy, mocno oddziałującej na widzów i słuchaczy.

Ten wyjątkowy festiwal, organizowany po raz siódmy przez katowicki Kinoteatr Rialto i Uniwersytet Śląski pod patronatem JM Rektora tej uczelni, rozwija się wspaniale, szczególnie dzięki prof. Piotrowi Skubale z wydziału biologii i ochrony środowiska oraz dr. Ryszardowi Kulikowi z wydziału psychologii. Tym animatorem festiwalu i zarazem założycielem Klubu Myśli Ekologicznej udało się stworzyć w stolicy Śląska inspirowane epicentrum uniwersalnej ekologii na najwyższym poziomie. Takie, które nie tylko wymusza refleksję nad największymi zagrożeniami, ich diagnozą, ale i mobilizuje do wspólnego poszukiwania wyjścia z sytuacji... bez wyjścia.

Pokazał to wyjątkowo ciekawy dla wszystkich uczestników, (niezależnie od ich wieku i stopnia znajomości problemu) – 7. Festiwal Kultury Ekologicznej. Zainaugurował go wykład Marcina Popkiewicza. To nie tylko fizyk, naukowiec i pisarz. To także autor setek artykułów na temat zmian klimatu, zasobów naturalnych i energii. M. Popkiewicz stworzył portal Ziemia Na Rozdrożu i bezustannie monitoruje megatrendy czyli kierunki rozwoju świata, których nie dostrzegamy wokół siebie. Dlaczego? Bo ilość informacji, jakimi jesteśmy bombardowani w każdej minucie jest tak wielka, że przestajemy rozumieć – co się do nas mówi?

Na rozdrożu

Marcin Popkiewicz pisze o tym w swojej hitowej książce „Świat na rozdrożu”, (powinna być obowiązkowym podręcznikiem dla niedouczonej polityków!). I mówił także podczas spotkania otwierającego katowicki festiwal. Ku zaskoczeniu słuchaczy przyznał, że nie jest ekologiem, choć żyje ekologicznie dla dobra swoich dzieci i następnych pokoleń. Ekologia nie jest też dla niego punktem wyjścia do rozważań o zapaści naszego

świata, spowodowanej rozwojem niezrównoważonym. Zaczyna od gospodarki. Pyta i tłumaczy czy i dlatego nieskończony wzrost gospodarczy nie jest możliwy? Dlaczego trzeba szukać nowej wizji rozwoju świata w powiązaniach pomiędzy gospodarką, środowiskiem naturalnym i społeczeństwem. Otwiera ludziom oczy na te powiązania. Na bariery, na które trafiamy, robiąc wszystko, by bezustannie rosła krzywa wzrostu czyli PKB. Żyjemy w świecie wirtualnego pieniądza. Na kredyt. Systemy finansowe wydłużają progi zadłużenia państw i ich obywateli, by wymuszać wzrost gospodarczy. Do czego to prowadzi?

„Zielono mi” i... czarno

Nie ma rozwoju bez energii. Jej naturalne, nieodnawialne zasoby kończą się zaskakująco szybko. Po ropę już sięgamy w miejscach do niedawna niedostępnych. Już nie w Teksasie, lecz w Arktyce. Szczelinujemy skały dla pozyskania gazu łupkowego. Niszczymy tajgę kanadyjską, by odzyskać z jej piachów ropooszczędne zasobów.

Dokąd to prowadzi? Za baryłkę ropy płaciliśmy do niedawna 20 dolarów, teraz ponad 100! Za kilka lat ceny ropy się podwoją, bo skrobiemy przysłowiowe dno beczki! Co będzie dalej? Na zmianę kursu rozwojowego nie mamy już dość czasu. Zderzamy się ze ścianą takiej polityki i niewydolności środowiska do życia dla miliardów ludzi. Wnioski są nie tylko gospodarcze. W równym stopniu ekologiczne, polityczne i obywatelskie!

Lód i miód

Wszystkie można było odnaleźć w propozycjach filmowych, dyskusyjnych i muzycznych festiwalu.

Taką m.in. było spotkanie z Tomaszem Dziemiańczukiem, menedżerem kultury z Akademickiego Centrum Kultury Uniwersytetu Gdańskiego, aresztowanym przez Rosjan na statku Greenpeace



ace – Arctic Sunrise wraz z grupą 26 członków tej organizacji. Protestowali oni na Morzu Peczorskim przeciw wydobyciu ropy naftowej w Arktyce, co grozi niewyobrażalną katastrofą w przypadku nawet najmniejszej awarii. Również emocjonalne były spotkania naukowców: dr. R. Kulika i prof. P. Skubały z uczniami po emisjach filmów ekologicznych o cierpieniu zwierząt i szczęśliwych ludziach. Żyją tacy, wolni z pokolenia na pokolenie, w rosyjskiej tajdze, nad rzeką Jenisej. Można to było zobaczyć w filmie Dmitrija Wasiukowa i Wenera Herzoga „Szczęśliwi ludzie – rok w tajdze”.

Za wyjątkowe na ostatnim festiwalu, ze względu na ilustrację globalnych zagrożeń życia na Ziemi, należy uznać szczególnie dwa filmy.

Pierwszy obraz to „Thin Ice”, w reżyserii przez Davida Singtona i naukowca-geologa Simona Lamba. To intrygująca podróż nauki do pięknego i tajemniczego świata lodu i poszukiwaniu w nim DNA atmosfery ziemskiej, zamkniętego w zalodzonych pęcherzykach powietrza. To także niepodważalny dokument o zmianach klimatu, jego zamrożonej w rdzeniach lodowych Antarktydy i Arktyki, historii sprzed milionów lat i tej współczesnej. Także o roli w tych zmianach dwutlenku węgla i wroście tego gazu w atmosferze, wymuszonym gigantycznym uprzemysłowieniem. Dwutlenku węgla jest w nadmiarze nie tylko w powietrzu. Kilkadziesiąt razy więcej zalega go w głębiach, pochłaniających go oceanów... Z wszelkimi tego konsekwencjami życia na planecie – Ziemia.

Równie frapujący był film pt. „Więcej niż miód”, Markusa Imhofa szwajcarskiego reżysera, który spróbował rozwiązać problem masowego wymierania całych populacji pszczoł. To kolejny dowód na głupotę człowieka, niszczącego środowisko naturalne (życie), w imię zysku i iluzorycznego dobrobytu.

Jeśli wyginą pszczoły, ludziom pozostań cztery lata życia, twierdził sam Einstein. W Europie ponad 75 proc. roślin uprawnych plonuje dzięki ich zapylaniu przez te owady. A one giną masowo. Zabijają je nie tylko szkodniki. Także groźne dla całej przyrody środki ochrony roślin, ubożenie bioróżnorodności, zmiany klimatyczne i uprawy GMO. Tymczasem arealy takich upraw rosną na coraz większych przestrzeniach. To dlatego w Stanach Zjednoczonych, gdzie zaczynają one dominować, pszczelarze amatorzy podróżują po kraju z milionami pszczoł, by zapylały rośliny. W Chinach z kolei, coraz więcej rolników, wobec ich braku, zatrudnia ludzi, którzy zastępują pszczoły!

Ten film dokumentalny jest opowieścią nie tylko o pszczołach...

JOLANTA KARMAŃSKA



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

To częste pytanie zadawane przez widzów Teatru Śląskiego – Jak wyglądałby teatr bez niej? – a ja dodam jeszcze – jak wyglądałyby Katowice bez jej zaangażowania i skuteczności w działaniu.

Była – jak sama mówi – skromnym nauczycielem historii, gdy zaproponowano jej pracę w teatrze na stanowisku zastępcy dyrektora. Wyzwanie było ogromne, ale Krystyna Szaraniec to specjalistka od wielkich projektów i pokonywania rzeczy niemożliwych. Wówczas, w roku 1979 Polska trwała jeszcze w tym hipnotycznym śnie realnego socjalizmu, w którym niczego praktycznie już nie było – nawet idea zaczęła gubić się w błyskawicznym tempie. Jak w tej niemocy socjalnej i finansowej poprowadzić tak wielką i ważną instytucję jak Teatr Śląski?

Krystyna Szaraniec nie wątpiła, że uda się wszystko zrealizować co zamierzać będzie z ówczesnym dyrektorem Jerzym Zegalskim. I tak zaczęła tworzyć historię sceny śląskiej z dyrektorami, którzy przychodzili i odchodzili. A ona trwała. Jak opoka, jak galion przedstawiający syrenę wyrzeźbioną na dziobie statku. Poprzez rafy i mielizny prowadziła ten zespół, aby po 35. latach powiedzieć – „Może coś mi się udało zrobić?”

W Teatrze Śląskim na swoim jubileuszu 35-lecia pracy na ten największej śląskiej scenie mówiła, że ten dzisiejszy, niewątpliwie sukces Teatru Śląskiego ma wielu ojców. Ale wszyscy zgromadzeni na urodzinowej uroczystości wiedzieli, iż ojców było wielu, ale matka – tylko jedna. I właśnie jej za te wieloletnią pracę składali podziękowania i widzowie, i artyści zaprzyjaźnieni z Nią od lat.

„Autograf” to nowy cykl prezentujący dokonania twórcze aktorów związanych z Teatrem Śląskim. I właśnie w tym cyklu 6 kwietnia za Dużej Scenie, na królewskim tronie (bardzo się wzbraniała, ale jednak) zasiadła Krystyna Szaraniec. Zazwyczaj takie okolicznościowe jubileusze nie grzeszą zwartością i ciągną się w nieskończoność, a na scenie co chwilę pojawiają się nowe postaci, aby powiedzieć ładne, okrągłe zdanie wychwalające jubilatę. W czasie tego spotkania, mimo że artystów przewinęło się sporo, mimo że piosenek i rozmów było też dużo, czas mijał błyskawicznie. To chyba ze względu na różnorodność form scenicznych, które przygotował prowadzący spotkanie dyrektor teatru Robert Talarczyk. Było bowiem i spotkanie z poezją, tak bliską Krystynie Szaraniec, pisaną przez męża Lecha Szarańca, był występ Krystyn, dla których to jubilatka ma ogromne serce i zawsze niesie pomoc w zorganizowaniu dla nich wyjazdu, bądź spotkania, jako gorący, włoski kochanek zaprezentował się rewelacyjnie Mirosław Neinert, który niejedną znakomitą imprezę z Krystyną Szaraniec przygotował dla teatromanów, zaśpiewały jej przyjaciółki Krystyna Prońko i Krystyna Giżowska porывая widzów swoimi przebojami sprzed lat.



Na królewskim tronie Krystyna Szaraniec w towarzystwie Krystyny Prońko i Roberta Talarczyka

Może coś mi się udało zrobić?

Krystyna Szaraniec od 35 lat nieprzerwanie pracuje w Teatrze Śląskim

Piosenek i występów było znacznie więcej, bo i aktorzy Teatru Śląskiego chcieli „swojej” Krystynie zadedykować i wiersze, i piosenki. Bernard Krawczyk, Wiesław Ślawik i Artur Świąś śpiewając „Baby, ach te baby” wymownie patrzyli na swoją dyrektorkę, wiedząc doskonale, „czymże bez niej byłby świat?”

No i były fantastycznie dowcipne kolęza, a to obrazów wielkich mistrzów Renesansu, na których Krystyna jak królowa zastanawiała się – zatrudnić czy zwalniać, a to wypowiedzi głów rządzących z wielu państw, którzy składali jej najlepsze życzenia (prezydent Sta-



Nie mogło zabraknąć jubileuszowego tortu, Jubilatka z ogromną powagą dokonała jego „otwarcia”

nów Zjednoczonych, królowa Elżbieta i wielu innych), a to wypowiedzi mieszkańców Katowic, co sądzą o tej, która od lat wrosła w pejzaż tego miasta. No i tutaj niestety, trzeba przyznać to z żalem, nie popisał się jeden z uczestników wystawy psów rasowych, który miał pretensje do Krystyny Szaraniec, że woli koty od psów. Ten jeden, jedyny „zgrzyt” w czasie jubileuszowej uroczystości ani na chwilę, nie zepsuł tego podniosłego, a jednocześnie żartobliwie poprowadzonego wieczoru.

W laudacjach i wypowiedziach przypominano jej zasługi nie tylko dla teatru ale i dla kultury polskiej – jest wszak autorką kilku książek. Ale to co najważniejsze w jej życiu zawsze działo się w budynku teatru.

To przecież ona przed 20 laty stworzyła Radę Mecenatów, bez której znacznie trudniej byłoby teatr wyremontować i wystawić niektóre sztuki. To z jej inicjatywy powstał cykl spotkań „Jubileuszowe powroty”, prezentujący wybitne osobowości związane z teatrem na przestrzeni jego historii. Mogliśmy na scenie zobaczyć Gustawa Holoubka i Ignacego Gogolewskiego – byłych dyrektorów tej sceny, którzy znakomicie zapisałi się w pamięci katowiczank tak swoimi rządami jak i kreacjami aktorskimi.

To wreszcie ona – Krystyna Szaraniec – jest laureatką wielu nagród i wyróżnień, m. in. nagrody Prezydenta Miasta Katowice (2005), Złotego Lauru Umiejętności i Kompetencji (1999), Platynowego Lauru „Pro Publico Bono” (2008), Nagrody Narcyza (2006), Czarnego Diamentu (2007), Arts & Business Award za Mistrzowskie Zarządzanie Kulturą (2007), Statuetki Specjalnej tak zwanego Cezara Śląskiego Biznesu (2007), czy Złotego Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2007). Nagrody, wyróżnienia, listy gratulacyjne są ważne, ale jak podkreśliła na zakończenie tych niezwykłych uroczystości dla niej zawsze najważniejsze – oprócz rodziny – byli: aktorzy i wszyscy ludzie teatru tutaj pracujący począwszy od elektryka, a na przyszłowiowej sprzątacze kończąc i widzowie, którzy coraz tłumnie odwiedzają teatr, pokazując jak bardzo zależy im na tym, aby powstawały tutaj ważne i wartościowe przedstawienia.

A potem był bankiet i niekończące się życzenia od notabli, widzów, artystów i przyjaciół. I ja tam byłem, winka się napiłem, życzenia złożyłem a co widziałem w tym tekście oddałem.

Krystyno – 100 lat w zdrowiu i takiej wspaniałej kondycji ku chwale Teatru Śląskiego!

MAREK MIERZWIAK

Do gratulacji dołącza także zespół redakcyjny miesięcznika „Śląsk”, życzymy Pani Dyrektor moc energii, siły pozwalającej pokonać wszelkie przeciwności (oby ich było jak najmniej), wytrwałości i nieodłącznego uśmiechu a także kolejnych, równie wspaniałych, jubileuszy.

Jak wyglądałaby dziś Aniela Dulaska, dlaczego Felicjan milczy, a przede wszystkim, jak rodzinka poradziłaby sobie z prawami rynku i spektaklu, obejmującymi współcześnie niemal wszystkie sfery naszego świata, a przede wszystkim z podstawową zasadą celebrytów, że istnieje się tylko wtedy, gdy inni o nas mówią? I wreszcie, jak moralność Dulskiej sprawdziłaby się w świecie, który ze skandalu uczynił jedną z głównych form ekspresji?

Takie i tym podobne pytania towarzyszą widzom kolejnych inscenizacji *Moralności pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej. Odpowiedzi prowadziły do rozmaitych metamorfóz utworu. Główna bohaterka była już „kalibanem w spódnicy” (według określenia Tadeusza Boya-Żeleńskiego), udręczoną przez system kobietą, która działa wyłącznie dla dobra dzieci – oszczędza i zabiega, by jak najwięcej wydrzeć wrogiemu światu, ale

również współczesną bizneswomen, zadbaną i zorientowaną w tym, co można, co wypada i co należy. A widzowie śmiali się z Zapolską lub współczuli jej postaciom, byle tylko zmieścić się w rytmie niezwykle sprawnie napisanych scen. Według autorki, tytułowa postać przypominała trochę oksymoron, skonstruowana ze sprzecznych czynników (była to przecież imienniczka anielskich postaci, od których rodo się w ówczesnej literaturze), ale budząca jawdowity śmiech sprzeciwu swoim istnieniem.

Na deski częstochowskiego teatru sztuka Zapolskiej powróciła po 16 latach, tym razem w opracowaniu Eweliny Pietrowiak, by zachwycić nieklamany urokami klasyki. Okazało się bowiem, że utwór napisany w 1906 roku wciąż opowiada o ważnych sprawach, choć w tym czasie wielokrotnie zmieniał się ustrój polityczny, mody kulturalne, a przede wszystkim pozycja kobiety w społeczeństwie. Reżyserka nagradzana za przedstawienia w różnych nurtach nie zaatakowała Zapolską współczesnych koftów ani nie uczyniła z przerabianej spódnicy Dulskiej sztandaru jakiejś opcji politycznej (choć w dzisiejszym teatrze i to pewnie byłoby możliwe), ale postanowiła zadumać się nad bohaterką, którą jak nikt inny wyjaśniła ludziom, po co mają dom. Ołów Eweliny Pietrowiak spowolnił farsowe tempo; dzięki temu karykatura matki Polki początku XX wieku stała się bardziej nostalgiczna i zaczęła budzić współczucie. Ostateczna obsada aktorska doskonale wywiązała się z powierzonych zadań, od debiutującej Eweliny Rucińskiej (*Hanka*; gościnnie), aż do *Tadachowej*, granej przez Czesławę Monczkę.

Poważne potraktowanie Dulskiej pozwoliło odnaleźć w tekście wiele miejsc nadal aktualnych. Tragifarsa Zapolskiej przestała być mechanizmem do budzenia śmiechu, mimo że występują tu miejsca naprawdę zabawne, a stała się zwierciadłem współczesności wraz z dominującymi w niej coraz wyraźniej wartościami mieszczańskimi. Taki cel przyświecał wolontariuszom, którzy już od wejścia do teatru usiłowali złapać wzrok widzów wzymane lustreczka, by uzmysłowić, że także lustro sceny będzie odbijało ich współczesność, w której warstwa średnia zdobyła pozycję dominującą i to ona wyznacza zasady postępowania.

Aniela Dulaska Agaty Ochoty-Hutyry wpisana się w tradycję rehabilitowania tej postaci,



Fot. Piotr Dłubak

Zmiany w świecie Dulskich

TEATR

obecnej w polskim teatrze chyba od czasów inscenizacji Stanisława Perzanowskiej ze Stefanem Jaraczem w Teatrze Aktora, przeciwko której protestował przywoływany już Boy-Żeleński. Ale jednocześnie aktorce udało się nieco ten wizerunek skomplikować. Dulaska kocha syna miłośnika ślepa i bezwarunkową, uzała się, że nie może on zrobić kariery w biurze prawniczym (co uruchamia trwającą od jakiegoś czasu dyskusję na temat dobrej i złej miłości rodzicielskiej), a przy tym za wszelką cenę usiłuje ochronić rodzinę przed złą sławą i jakimkolwiek skandalem. Według niej, nazwisko jest bowiem głównym majątkiem rodziny, dlatego Zbyszko zaczyna pełnić rolę swego rodzaju inwestycji. Bez większych oporów wierzymy deklaracjom głównej bohaterki, że bez niej rodzina przestałaby istnieć, choć niekoniecznie z powodów finansowych. Ojciec wyznacza bowiem margines tego świata i jest w domu niemal zupełnie nieobecny.

Główna bohaterka to piękna i zadbaną 40-latką, której mąż nie rozumie i prawdopodobnie już z nią nie sypia. Niewygodny w czasach Zapolskiej temat inscenizacja niedwuznacznie eksponuje za sprawą sypialni Dulskiej, umieszczonej w lewym kącie tuż przy widowni. Obserwując bohaterkę na scenie, można nabyć przekonania, że przeżywa ona chwilowy kryzys; staje się coraz cichsza, refleksyjna, a momentami jakby nieobecna. Spodziewamy się nawet jakiejś wewnętrznej metamorfozy i rozumiemy to, ponieważ życie jest bardziej skomplikowane niż wypowiediane przez Dulską porady na każdą okazję.

Na scenie Pietrowiak pokazała dość zamożny i nowoczesny salon utrzymany w kolorze srebrzystoszarym, urządzony stylowo i ze smakiem, który odmienia się za sprawą gry światłem, np. w czasie tańca *Hesi ze Zbyszkiem* przypomina dyskotekę albo ówczesne tingle-tangle. W takiej przestrzeni niedziałający piec kaflowy staje się elementem marginalnym i trochę niewiarygodnym. Spuścizną po genologicznej niejednorodności (Zapolska nazwała swój utwór tragifarsą) było subtelne zaznaczenie pięciorga drzwi: wejściowe, od kuchni i do trzech sypialni, z czego dwie widoczne na scenie. Dzięki temu wzmożony ruch w finale aktu II nadal spełniał farsowe funkcje.

Podobnie jak przestrzeń rozwijano zagadnienie kostiumów (Katarzyna Nesteruk). Były one delikatnie uwspółcześnione: dobrze

skrojony garnitur *Zbyszka* (Daniel Misiewicz, gościnnie) z lekko świecącego materiału, trzyzęściowy garnitur *Felicjana* (Antoni Rot) i jego laska, którą ojciec wybija rytm, siedząc na krześle w salonie i w ogóle nie podejmując spaceru, stylizowane i niezwykle gustowne stroje *Anieli*, dość odważny strój *Juliasiewiczowej* (obowiązkowe spodnie), a także piżama z olbrzymim kapturem dla *Meli*, co podkreślało jej introwertyczne usposobienie.

Tragedią tego świata jest brak alternatywy, co więcej, wydaje się, że *Aniela* jest czymś najlepszym, co mogło przydarzyć się tej rodzinie, nawet jej skąpstwo i chciwość okazują się skrajnym przejawem zapobiegliwości. W salonie, najbardziej publicznym miejscu rodzinnego domu, *Dulaska* stara się być stanowcza, a nawet brutalna, ale sypialnie pokazują, że ani ona, ani *Zbyszko* nie do końca akceptują przydzielone im role. To ich przystań, gdzie można zapalić, zapomnieć

o obowiązkach, a nawet ukryć się przed napierającym światem, który za sprawą przechodzących wdarł się już do salonu. Alternatywną dla takiej Dulskiej na pewno nie są jej córki. Te przerażają. Naiwności i głupoty *Meli* nie rozładowały nawet doskonała gra Oriany Soiki (gościnnie), która pozabawiła bohaterkę tak chętnie przypisywanej jej ślamazarności, co zazwyczaj wzmacniało kontrast dziewczyny. Dzięki temu postać stała się nieco bardziej prawdziwopodobna, ale wciąż drażniąca mimo, a może właśnie z powodu, wyjątkowej prostoduszności i poczciwości. Zresztą chyba od początku *Mela* miała być satyrą na obecność sfer staubizowanych w rodzinach mieszczańskich, niemal doskonałym produktem niemówienia o wielu sprawach przy dzieciach. Natomiast *Hesia* (Sylwia Karczmarczyk) zapowiada tradycyjną Dulską. To ona wrzeszczy na *Hankę* bez powodu i wydaje jej absurdalne polecenia tylko po to, by móc rozkoszować się przewagą pozycji społecznej.

Oczywiście, jest jeszcze *Juliasiewiczowa* (Agata Pruchniewska), wprawdzie z Dulskich, ale jakże odmienna. Bardziej cyniczna i wypolerowana. Ona nie tyle schodzi światu z oczu, by jak ciotka szukać schronienia w sypialni-samotni, ale próbuje czerpać z życia pełnymi garściami. Aniela Dulaska prawdopodobnie nie potrafiłaby zdradzić męża, choć z jego strony pewnie byłaby gotowa ścierpieć niejedno. *Juliasiewiczowa* działa inaczej. Jest konsekwentna, brutalna, ociera się o wulgarność i dlatego to właśnie ona ostatecznie przejmuje dowodzenie wobec bezradności domowników. Bez skrupułów dąży do minimalizacji strat.

Ostatecznie inscenizacja Pietrowiak zbliża się ku tragedii, chce zdiagnozować współczesność i chyba nie wierzy w możliwość jej naprawy. Wszak dziś moralność Dulskiej już nikogo nie szokuje.

JOANNA WARONSKA

Gabriela Zapolska – *Moralność pani Dulskiej*, reżyseria i scenografia: Ewelina Pietrowiak, kostiumy: Katarzyna Nesteruk, muzyka: Łukasz Borowiecki, współpraca choreograficzna: Artur Żymelka. Premiera w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie 29 marca 2014.

Dźwięki muzyki to jeden z najsłynniejszych musicali rodzinnych w historii gatunku, spopularyzowany dzięki nagrodzonej pięcioma Oscarami ekranizacji z 1965 roku. Opartą na faktach niezwykłą historię śpiewającej rodziny von Trappów przypomniał swą najnowszą premierą Gliwicki Teatr Muzyczny.

Choć *Dźwięki muzyki* należą do broadwayowskiego kanonu na polską prapremierę musical czekać musiał bardzo długo – dopiero w ubiegłym roku licencję na wystawienie dzieła uzyskał Nowy Teatr im. Witkacego w Słupsku. W tym roku musicalowy majstersztyk autorstwa Richarda Rodgersa (muzyka) i Oscara Hammersteina II (teksty piosenek) zagościł na scenie Gliwickiego Teatru Muzycznego – w polskim, bardzo lirycznym przekładzie Andrzeja Ozgi.

Libretto musicalu, którego światowa premiera odbyła się na Broadwayu w 1959 roku, oparte zostało na wspomnieniach Austriaczki Marii Augusty von Trapp – niedosłej siostry zakonnej, guwernantki w domu kapitana marynarki wojennej Georga von Trappa, a następnie jego żony i przybranej matki jego siedmiorga dzieci. Prawdziwe losy rodziny zostały oczywiście trochę zmienione i udratyzowane na potrzeby sztuki, jednakże optymistyczny duch tej historii oraz mająca szczególne znaczenie muzykalność von Trappów zostały zachowane i posłużyły jako fundament dla stworzenia niesmiertelnych przebojów, takich jak *Edelweiss*, *My favourite things*, *Climb Ev'ry Mountain*, *Do-re-mi*, czy wreszcie *The Sound of Music*.

Zapowiedziana w Gliwickim Teatrze Muzycznym premiera *Dźwięków muzyki* stała się wydarzeniem na długo przed wystawieniem musicalu, a to za sprawą otwartego castingu, podczas którego wybrani zostali odtwórcy głównych ról. Poza gronem profesjonalnych aktorów-śpiewaków w obsadzie znaleźli się również debiutanci, w tym również ci najmłodszego pokolenia. W rolę *Marii* w gliwickim spektaklu wcieliła się aż trzy aktorki (Sylwia Bocian/Ewa Łobaczewska/Agnieszka Przekupień), podobnie rzecz ma się z postacią *kapitana Georga von Trappa* (Artur Świś/İreneusz Miczka/Michał Musioł). Zwiolokrotniona obsadę zastosowano też w przypadku ról dziecięcych i kilku ról drugoplanowych. Musical wyreżyserowała Maria Sartova, która w Gliwickim Teatrze Muzycznym zrealizowała wcześniej takie spektakle, jak *Hello Dolly*, *42 Ulica*, czy *Ragtime*.

Jej inscenizacja, zgodnie z warunkami licencji, pozostaje wierna oryginałowi w zakresie treści, liczby postaci, songów i ich charakteru. Nowe tropy narzuca natomiast w kwestii pewnych rozwiązań scenicznych, szczególnie zaś tych, dotyczących organizacji przestrzeni i ruchu. Kluczem do sukcesu spektaklu okazał się sceniczny minimalizm – rezygna-



Rodzina von Trapp w komplecie – Maria (Ewa Łobaczewska), Georg (Artur Świś) i dzieci

Ocalająca moc śpiewu

TEATR

cja z ilustracyjnej scenografii i ograniczenie środków wyrazu. Zabieg ten z jednej strony pozwolił uwypuklić to, co najważniejsze, a zatem muzykę i opowiedzianą za jej pomocą historię, z drugiej zaś rozwijającą się według musicalowych standardów melodramatyczną fabułę uczynił mniej „cukierkową” i zdecydowanie bliższą współczesności.

Niezwykle istotną rolę w *Dźwiękach muzyki* odgrywa czas i miejsce akcji – historia dzieje się w Austrii u progu II wojny światowej. Do willi kapitana von Trappa, położonej na obrzeżach Salzburga, tuż u podnóża Alp, trafia niesforna nowicjuszka zakonu benedyktynek, *Maria*. Dziewczyna ma pełnić rolę guwernantki i zaopiekować się siedmiorgiem osieroconych przez matkę dzieci kapitana. Między *Marią* a dziećmi szybko rodzi się silna więź, którą umacnia wspólne muzykowanie. *Georg von Trapp* początkowo niechętnie spogląda na wychowawcze metody *Marii*, z czasem jednak sam przekonuje się o kojącej sile dźwięków i śpiewu, a następnie zakochuje się w uroczym guwernancie. Muzyczne przygody rodziny von Trappów rozgrywają się w malowniczej scenerii alpejskich szczytów. Ten idylliczny krajobraz i beztróską atmosferę stopniowo zakłóca jednak widmo wojny i przymusowy Anschluss Austrii.



Maria (Ewa Łobaczewska) i dzieci

W spektaklu Sartovej zarówno pierwsze, jak i drugie tło zdarzeń kreślone jest za pomocą symboli, nie zaś wiernie odzwierciedlającej poszczególne pejzaże scenografii. Klimat alpejskiej sielanki wyrażają pojedyncze obrazy, dźwięki i odpowiednia gra światła. Za pomocą tych samych technik multimedialnych podkreślona zostaje też drastyczna zmiana nastroju, związana z przejściem władzy przez nazistów. Autorem minimalistycznej i funkcjonalnej oprawy scenicznej jest francuski scenograf i reżyser światła Yves Collet.

Z projektem scenografii doskonale współgra opracowana przez Jacka Badurka choreografia spektaklu. To właśnie ruch i taniec są elementami dynamizującymi statyczną przestrzeń i poszczególnie jej składniki – czerwoną sofę, olbrzymie okno z widokiem na Alpy, czy też ogrodową ławkę. Wzorowo pod tym względem zaaranżowana została scena wspólnego śpiewu w sypialni *Marii* podczas nocnej burzy – żywiołowa pio-

senka i taniec z poduszkami ukazały nie tylko ogromny talent wybranych w castingu młodych aktorów, ale też ogromną dyscyplinę muzyczną, której czasem trudno wymagać od dzieci.

Ten muzyczny perfekcjonizm objawił się zresztą w wykonaniu całego zespołu – zarówno solistów, jak również orkiestry i baletu gliwickiego teatru, pod muzycznym kierownictwem Wojciecha Rodka. Nad wokalnymi przygotowaniem artystów czuwała zaś Krystyna Krzyżanowska-Łoboda oraz Wiesław Gawalek.

Prócz siódemki dzieci, które z miejsca zyskały sobie sympatię widzów, niekwestionowaną gwiazdą premierowego wykonania musicalu okazała się Ewa Łobaczewska – odtwórczyni roli *Marii*. Swoje partie wykonała ciepłym, jasnym głosem, wykorzystując przy tym dużą muzyczną wrażliwością i wyczuwaniem sceny. Wraz z partnerującym jej Arturem Świśem w roli kapitana von Trappa stworzyła bardzo udane i wiarygodne kreacje aktorskie. Nie bez przyczyny *Dźwięki muzyki* określa się musicalem rodzinnym – wielowokłowa fabuła, różnicowani pokoleniowo bohaterowie oraz wpadające w ucho songi sprawiają, że zarówno starsi, jak i młodszy mogą poczuć się właściwymi odbiorcami tej sztuki.

MAGDALENA FIGZAŁ

Dźwięki muzyki na podstawie książki *The Story of the Trapp Family Singers* Marii Augusty Trapp. Muzyka: Richard Rodgers. Teksty piosenek: Oscar Hammerstein II. Libretto: Howard Lindsay i Russel Crouse. Tłumaczenie: Andrzej Ozga. Reżyseria: Maria Sartova. Kierownictwo muzyczne: Wojciech Rodek. Przygotowanie wokalne: Krystyna Krzyżanowska-Łoboda. Scenografia i światła: Yves Collet. Projekcje: Dawid Kozłowski. Kostiumy: Tatiana Kwiatkowska. Choreografia: Jacek Badurek.

Premiera: Gliwicki Teatr Muzyczny, 27 marca 2014 roku.

Ponowne otwarcie Filharmonii Śląskiej

Najważniejszym kulturalnym wydarzeniem marca było bez wątpienia ponowne otwarcie Filharmonii Śląskiej w odremontowanym i rozbudowanym gmachu przy ulicy Sokolskiej. Uroczystość rozplanowano na kilka dni, były koncerty z programem polskim i śląskim, przemówienia i spotkania, wreszcie – dni otwarte dla publiczności. Samo słowo „ponowne otwarcie” nakierowuje myśl na kilka dawniejszych uroczystości tego samego rodzaju: rok 1883 – ponowne otwarcie Narodniho Divalda w Pradze jako instytucji miejskiej, w budynku odbudowanym po pożarze; rok 1901 – otwarcie prywatnej filharmonii w Warszawie; rok 1955 – inauguracja działalności Państwowej Filharmonii Warszawskiej w jej pierwotnej siedzibie przy ulicy Jasnzej, zniszczonej podczas działań wojennych. Praga i Warszawa różnymi drogami dochodziły do posiadania swoich narodowych instytucji kulturalnych: w grodzie nad Wełtawą narodowy teatr wybudowano ze składek społecznych; działał niezwykle prężnie do końca starych czasów, przeżywając monarchię habsburską i dwie Czechosłowacje, i oczywiście działa nadal. Otwarta w 1901 roku Filharmonia Warszawska była przedsiębiorstwem kapitalistycznym obliczonym na zysk. Spółkę akcyjną działającą pod jej szyldem założyli arystokraci i bankierzy; pech chciał, że przyszła wojna-rosyjsko-japońska i filharmonia zbankrutowała. Otwarcie Narodniho Divadla było podniosłą patriotyczną uroczystością, do której dołączyły się bratnie słowiańskie narody. Przyjechała nawet delegacja z Warszawy, na której czele stał redaktor miejscowej gazety muzycznej Jan Kleczyński. Filharmonię Warszawską otwierali w 1901 roku pospół Polacy i Rosjanie (toast inauguracyjny wygłosił przewodniczący rządowej Rady Nadzorczej konserwatorium), z zewnątrz nikogo nie zaproszono; odbył się nawet mały skandal, gdy okazało się, że Ignacy Jan Paderewski w drodze na inaugurację, którą miał uświetnić koncertem, zagrał w Katowicach, w niemieckiej sali (tej samej, która dziś służy Śląskiemu Filharmonikom).

Najweselszym z przypomnianych świąt było bodajże otwarcie Filharmonii Warszawskiej w roku 1955. Odbyło się w czasie trwania drugiego powojennego Konkursu Chopinowskiego, i – jak zapewniał minister Sokorski w inauguracyjnym przemówieniu – przypieczętowały go ogromny sukces socjalizmu, kwitnącego w państwie gwarantującym ludziom szczęście i pokój: „W dziesiątą rocznicę wyzwolenia Warszawy, wołają Partii i rządu, wysiłkiem polskiego inżyniera i polskiego robotnika została zakończona odbudowa ukochanej przez mieszkańców stolicy sali koncertowej Filharmonii Warszawskiej – mówił So-

MIĘDZY NUTAMI



korski, co skrupulatnie zanotowano w „Życiu Warszawy”. – Kochamy nasze miasto, powstające z gruzów, miasto nowe, jeszcze piękniejsze niż było, miasto marzeń, walki, pracy i socjalistycznego jutra. Kochamy jego ulice, domy – to wszystko, co prowadzi nas w przyszłość, co stało się symbolem naszej walki o pokój i szczęście człowieka. Jednocześnie kochamy to wszystko, co w tym mieście było jego pięknem, jego tradycją, jego dumą narodową. Co było postępem i wysiłkiem człowieka pracy”.

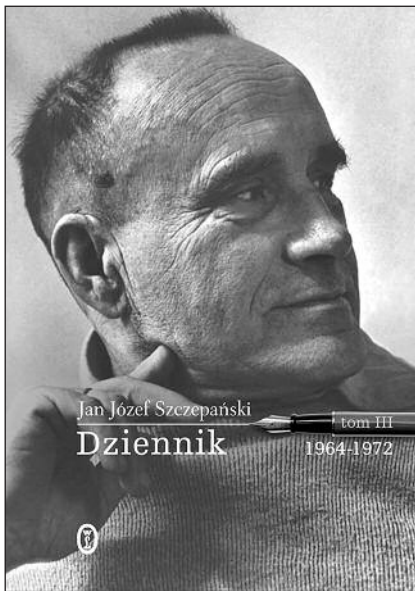
Czesi nie martwili się nigdy o publiczność dla swego Divadla; twórcy przedwojennej Filharmonii Warszawskiej martwili się ciągle, ale bezskutecznie: publiczność zawiodła na całej linii. Minister Sokorski martwić się nie musiał, jako że „kochamy nasze miasto, jego ulice i domy”, itd. W tej pompacyjnej deklaracji nie było przecież wiele przesady – wiadomo: słynny powojenny entuzjazm... Dziś o publiczność martwić się muszą wszystkie polskie sale koncertowe. Kraków oblepiono właśnie plakatami zachęcającymi do kupna biletów po obniżonej cenie. Jeszcze się tam jednak trzymają, o czym świadczy poziom repertuaru, który nie zszedł „pod strzechy”. Czy Filharmonia Śląska odzyska swoją wierną publiczność, rozproszoną po remontowej przerwie? Czy przebudowany, lśniący nowością gmach przy ulicy Sokolskiej będzie wystarczającym wabikiem dla słuchaczy? Czy przyjdą?

Brahms i Szostakowicz w NOSPR

Katowice są w tym szczęśliwym położeniu, że oprócz miejskiej filharmonii mają jeszcze orkiestrę radiową. Dostarcza ona muzycznej strawy bardzo wyrafinowanej, stale włączając do programów koncertów abonamentowych muzykę XX wieku. Ten, który odbył się 14 marca, miał program typowy, jeśli chodzi o osobę dyrygenta – Michała Klauzy, o którym już od dawna wiemy, że jest fanem i wielkim znawcą mu-

zyki rosyjskiej. Jako wprowadzenie dano ośmiominutowy *Rytuał* Alfreda Sznitkego – utwór, który powstał w Moskwie w 1985 roku na zamówienie Ambasady Jugosławii i miał uczcić 40. rocznicę wyzwolenia Belgradu przez wojska radzieckie. Tło powstania *Rytuału* sprawia, że jest on od lat ulubionym żerem zachodnich publicystów i muzykologów, rozpracowujących wątek politycznych treści ukrytych w muzyce, nieraz do przesady (zdarzało się nam już czytać interpretacje wręcz absurdalne, imputujące obecność wątku narodowo-wyzwoleńczego w utworach tak odległych od polityki, jak opera *Pan Wojewoda* Rimskiego-Korsakowa, czy poemat *Pieśń o sokole* Fitelberga). Można oczywiście czytać *Rytuał* jako „tekst” o walce Wschodu i Zachodu – zachęcają do tego zastosowane przez kompozytora efekty polistylistyczne; z drugiej strony sam tytuł prowokuje do tego, żeby spróbować zbliżyć się do problematyki utworu jako swoistej odpowiedzi na „rytualność” muzyki Strawińskiego, tej z okresu rosyjskiego. Utwór Sznitkego mógłby być w tym ujęciu odczytany jako antypolityczna demonstracja, ucieczka do źródeł muzyki, jej magii. W wykonaniu NOSPR-u pod batutą Michała Klauzy ów sakralny wymiar muzyki został znakomicie uwydatniony; muzyka, rosnąca w wielkim crescendo od ciszy do orgiastycznego finału doprawdy urzekała. Potem było bardziej prozaicznie, chociaż też ciekawie. Jako solistka w *I Koncercie fortepianowym d-moll* Johannes Brahmsa wystąpiła laureatka pierwszej nagrody w ostatnim Konkursie Chopinowskim Julianna Awdiejewa. Zaproszona zaskakująco „kobieca”, delikatnie-liryczna interpretacja tego „mięsistego”, intensywnie przebiegającego utworu. Wolne tempa i specyficzny dystans pianistki do szczerzej muzyki młodego Brahmsa wydały mi się odrobinę upozowane. Niemniej było w grze Awdiejewej wiele momentów pięknych. Nad wyraz trafiony okazał się też bis w postaci chopinowskiego mazurka (op. 7 nr 4). W finale koncertu zabrzmiała *XV Symfonia* Dymitra Szostakowicza, ostatnia w dorobku genialnego rosyjskiego kompozytora, prawykonana w 1971 roku i stanowiąca rzeczywiste podsumowanie cech szostakowiczowskiego symfoniczmu. Występuje w niej charakterystyczne pomieszenie elementów uczonych i naiwnych, poważnych i groteskowych, oryginalnych i zapożyczonych. Kłania się wielka europejska tradycja, a jednocześnie skomplikowana, tragiczna „dusza rosyjska”. Rozumie ją doskonale i współczuje z nią Michał Klauza, a jego empatia sprawia, że grając Szostakowicza katowicka orkiestra czuje się wybitnie w swoim żywiole.

MAGDALENA DZIADEK



Jan Józef Szczepański
Dziennik tom III
1964-1972

Jan Józef Szczepański: *Dziennik 1964-1972*, tom III, Kraków 2013, ss. 819.

Pasja poznania

Po śmierci Jana Józefa Szczepańskiego w lutym 2003 roku pośród prasowych nekrologów mogliśmy przeczytać następujące słowa Zdzisława Najdera: „Jan Józef Szczepański był znakomitym pisarzem. Ale własne pisarstwo nie było dla niego nigdy osią życia. Był mówiąc najprościej przede wszystkim człowiekiem – a obok tego pisał. – i jakby niekoniernie – pisarzem. Był studentem orientalistyki, podchorążym i młodym oficerem artylerii, członkiem konspiracji, partyzantem, taternikiem, korektorem, czytelnikiem, doradcą początkujących literatów, redaktorem w wydawnictwie muzycznym, badaczem Arktyki, podróżnikiem, tłumaczem (światnym!), ojcem i dziadkiem – a obok tego pisał. W nowelach i powieściach przekazywał barwy, kształty, wonie dźwięki – i sens swoich przeżyć. Bycie człowiekiem było dla niego ważniejsze od bycia literatem.” (Z. Najder, „Pisarz niezastąpiony”, „Rzeczpospolita” 22.02.2003.) I choć wówczas, tuż po śmierci pisarza jego bogata i różnorodna twórczość nie była całością kompletną, bowiem dopiero od 2009 roku Wydawnictwo Literackie prezentuje kolejne tomy *Dziennika*, w jego kontekście słowa Najdera nie tracą nic ze swej aktualności, co więcej „bycie człowiekiem” określa przede wszystkim kształt jego diarystyki. *Dziennik* potwierdza tylko, że znakomita większość pisarstwa Szczepańskiego oparta jest o własne doświadczenia, że tematem literackim staje się to, co osobiście przeżyte, motywem pisarskim to, co własnymi oczyma zobaczone.

Tom III – najnowszy – obejmujący lata 1964-1972 kontynuuje zamierzenie wyraźnie wyłożone w pierwszych słowach *Dziennika*, z czerwca 1945 roku: „Ten pamiętnik ma

cel odpowiedzialny i trudny. Ma mnie wyleczyć i wychować. Nie będzie dla mnie rozrywką ani przyjemnością. Będzie obowiązkiem.” (J. J. Szczepański, *Dziennik*, tom I, Kraków 2009, s. 6.) Próżno zatem w nim szukać autokreacyjnych tendencji, wyzwiał rzucających czytelnikowi. To klasyczny – niespotykany już dzisiaj – dziennik intymny; zapis przeznaczony dla samego autora: fakty z życia osobistego, przyjaźnie, znajomości, wydarzenia kulturalne, wątpliwości i niepewności stale doskonalące się pisarza. Niezwykłe świadectwa prób literackich, wrażenia z lektur, opisy przeżyć wewnętrznych porażają autentyzmem i szczerością. Nie sposób oderwać *Dziennika* od literackich kreacji, co więcej przedstawione w nich wydarzenia, wyrażone myśli i refleksje znajdują potwierdzenie w dziennikowym zapisie. To pisarstwo spójne i całościowe, w którym odnaleźć można najbliższy związek pisarza z jego słowem. Z poczucia odpowiedzialności wyrasta pisarstwo Szczepańskiego. Tak diarystyka, reportaż, opowiadanie, a później esej naznaczone zostają indywidualną refleksją poszukującą sensu własnych artystycznych działań. *Dziennik* konsekwentnie potwierdza, że pisarstwo Szczepańskiego wyrasta z potrzeby zrozumienia siebie, a poprzez siebie świata, wyrasta z dążenia, by: „Zrobić ze swego jednorazowego życia coś możliwie najintensywniejszego. Wykorzystać w nim najpełniej możliwości odczuwania i rozumienia. Móc kiedyś podsumować je nie jako kolekcję, ale jako bilans wysiłku w kierunku rozszerzenia zasięgu własnego człowieczeństwa.” (*Zatoka Białych Niedźwiedzi*, Kraków 1960, s. 7.)

Czasowe ramy III tomu *Dziennika* okazują się być okresem szczególnie bogatym w doświadczenia kształtujące pisarstwo Szczepańskiego. W latach 1967 – 1969 artysta odbył dwie podróże amerykańskie. Wiosną 1967 roku odbył rejs do Ameryki Południowej. Na pokładzie „Legnicy” powstała *Wyspa* – druga część dyalogii historycznej, kontynuacja *Ikara*. Historyczne losy Antoniego Berezowskiego ujęte jednak zostają w perspektywie niezwykle kameralnej, dzieje się tak za sprawą ułożenia wewnętrznego życia głównego bohatera w elementy doświadczeń własnych pisarza. Znowu osobisty, czasem bardzo intymny ton kształtuje literacką realizację, także marynistyczne opisy, obrazy wysp bliskie są podróżniczym – diarystycznym i reporterskim – zapisom Szczepańskiego. Znamienna jest również postawa wobec opisywanej rzeczywistości; wielokrotnie wyrażana w dzienniku, reportażu czy we wspomnianej powieści. Wnikliwa obserwacja świata staje się źródłem wiedzy o rzeczywistości, widzenie poprzedza świadomość. Literackim świadectwem tej podróży stanie się zbiór reportaży *Świat wielu czasów*.

Pod koniec 1968 roku pisarz wyrusza w jeszcze jedną podróż amerykańską – na dziewięciomiesięczne stypendium twórcze w Iowa City. Owocem tej wyprawy staje się *Koniec westernu* i zamieszczone w tomie *Rafa* eseizowane opowiadanie *Lopata archeologa*. Pobyt Szczepańskiego w USA jest zgoła odmienny od podróży wcześniejszych. Rezygnując z zakwaterowania we wspólnym pensjonacie, Szczepański samotnie osiedla się w niedrogiu dzielnicy. Prowadzi życie mniej dynamiczne, bardziej wyciszone, spokojne, zaś dziennikowe zapisy nasycą krytyczną często refleksją. „Dzień zupełnie samotny. Pełne świeżości i łagodnego *Indian Summer*. Trochę łąziłem po mieście (...). Jest podobnie jak bywa na statku, kiedy nie ma nic do roboty. Ale mój spokój, towarzyszący mi od pierwszych chwil pobytu, trwa nadal – z małym tylko odcieniem smutku i gdzieś łagodnie po-

brzmiewającym echem pytania «po co?»” (J. J. Szczepański, *Dziennik*, tom 3, s. 381.) Ogląda zatem Amerykę codzienną, często ubogą, targaną konfliktami, jakże mocno odbiegającą od mitu dostatniej i szczęśliwej krainy. Przygląda się ludziom i miejscom, nie szuka jednak wspólnoty, pozostaje osobny. Notatki spisane w *Dzienniku* ujawniają krytyczny stosunek do kulturowych i cywilizacyjnych przemian, które w owym czasie ogarnęły Amerykę. „Olbrzymi, supernowoczesny gmach bogatego towarzystwa ubezpieczeń pośrodku prowincjonalnego miasta. Mózg elektronowy, różne urządzenia jakby wymyślone przez Lema, na ścianach obrazy (pop-art) reprezentujące najwyższy standard snobistycznej giełdy. Lunch w papierowych torbach (...) Engle [fundator stypendium] wykrzykiwał, że gdyby Kafka pracował tutaj, napisałby optymistyczną powieść zamiast *Procesu*. Kiedy wyraziłem wątpliwości, popatrzył na mnie podejrzliwie, jakbym wypowiadając jakąś antyamerykańską insynuację.” (*Dziennik*, s. 414.) Zapisane na stronach *Dziennika* spostrzeżenia niejednokrotnie staną się przedmiotem późniejszej eseistycznej refleksji. W *Końcu westernu* odkryjemy bowiem krytyczną i niezależną osobowość opowiadającego: „Paul [Engle] dogonił mnie, złapał za łokieć. (...) – Wiesz, co sobie myślę – rzekł tonem, który świadczył, że zostałem wybrany do uczestnictwa w doniosłym odkryciu. Myślę, że gdyby Kafka pracował tutaj, a nie w jakiejś obskurnej fabryce w Pradze, nigdy nie napisałby *Procesu*. Zamiast tego napisałby jakąś optymistyczną powieść. Może raczej nie napisałby nic – odparłem.” (*Koniec westernu*, Warszawa 1971, s. 37-38). Stosunek pisarza do losowanych pod koniec lat 60. nowinek artystycznych ujawniony zostaje również w doskonałym, eseizowanym opowiadaniu *Lopata archeologa*, które za punkt wyjścia prowadzonej refleksji czyni, również odnotowane w *Dzienniku*, spostrzeżenie: „Wieczorem odczyt dyrektora tutejszej szkoły Sztuk Pięknych, starego snoba, zachylającego się pop-artem i op-artem. (...) W czasie dyskusji pewien Belg, uczący tutaj rzeźby, powiedział kilka bardzo trafnych rzeczy na temat niebezpieczeństwa, jakie stanowią współczesne muzea sztuki nowoczesnej, kanonizujące w pośpiechu każdą sensacyjkę, w strachu, że zostaną posądzone o paseizm.” (*Dziennik*, s. 400)

Podobnych analogii jest wiele, pisarz nieustannie korzysta z biograficznych doświadczeń. W połowie lat 70. pisarz dokonuje zmiany techniki opowiadania – porzucone zostaje medium narracyjne, a począwszy od *Rafy* pojawia się ujęcie pierwszoosobowe. „Ja” obecne jest w tekście w dwóch perspektywach – pamiętnikarskiej i autotematycznej, obie obecne wcześniej w pisanim konsekwentnie od 1945 roku *Dzienniku*, traktowanym odpowiedzialnie, jako obowiązek pisarski. Dlatego to doświadczenie diarystycznego wyznania w połowie lat 70. minionego wieku zdaje się zostać przeniesione na literackie kreacje Jana Józefa Szczepańskiego. Ale ten *Dziennik* nie jest tylko komentarzem do twórczości prozaika, nie jest też lekturą obowiązkową jedynie dla znawców i badaczy pisarstwa Szczepańskiego. Jest przede wszystkim świadectwem niezwyklej pasji poznawania świata; w równym stopniu bliskiego i odległego, domowego, oswojonego i obcego, często egzotycznego. Pragnieniu poznania towarzyszy zawsze nadzieja, by zrozumieć rzeczywistość w wielu jej odcieniach.

ALEKSANDRA
DĘBSKA-KOSSAKOWSKA

Wierność jednemu tematowi jest już raczej niemożliwa. Redaktorzy tomu poświęconego twórczości Jana Darowskiego twierdzą jednak inaczej. Uważają, że „trzeba się trzymać pięknych przyzwyczajęń” i konsekwentnie, od lat prowadzą – jak pisze Jan Wolski – „badania biografii i dokonania twórców”, skupionych wokół „Kontynentów”, miesięcznika londyńskiej emigracji, wydawanego w latach 50. i 60. XX wieku. Opublikowali studia o Bolesławie Taborskim, Florianie Śmieci, Januszu A. Ihnatowiczu, Bogdanie Czaykowskim, Andrzej Buszy. Kolejną, dopełniającą serię pozycją jest zbiór *Trzeba się trzymać pięknych przyzwyczajęń. Twórczość Jana Darowskiego. Studia i szkice*.

Jan Darowski nie pozostawił po sobie bogatego dorobku literackiego: dwa tomiki wierszy, tom prozy, trochę publicystyki. Nieobszerny materiał stał się podstawą wielostronicowych studiów nad człowiekiem. Wszystkie teksty analityczne łączy biografia pisarza. Autorzy nie ograniczają się do jednej metodologii. W zbiorze znajdziemy zatem m. in. teksty odwołujące się do analizy immanentnej (Magdaleny Boczkowskiej, Magdaleny Rabizo-Birek, Ewy Wielgosz, Bożeny Szalasty-Rogowskiej), biografistyki (Jana Wolskiego, Moniki Kołodziej), a także komentarze o charakterze edytorskim i interpretacyjnym (Justyny Budzik, Marii Krauz, Niny Cieslik).

Zenon Ożóg i Jan Wolski, przygotowując tom, nadali mu układ kłamrowy. Książkę otwiera szkic Jana Wolskiego. Dotykając „okrucich biograficznych”, badacz w zwięzłej formie przedstawia czytelnikom najważniejsze momenty z życia pisarza. Mocno wybrzmiewa teza o statusie ekonomicznym, który zmuszał poetę do częstej zmiany pracy, oraz o historii, mającej wpływ na jego twórczość. Monika Kołodziej poszukuje w biografii rzeczywistej autorskiego „ja”. To dopełnienie perspektywy sprawia, że teksty Wolskiego i Kołodziej stają się dialogiczne. Dla badaczki tożsamość uwyraźnia się w języku. Co pozwala zakorzenić się Darowskiemu w świecie londyńskiej emigracji? Domem staje się tworzenie, przenoszące pisarza do języka kraju lat dziecinnych. Jak Wolski od realnego przechodzi do wyobrazeniowego, tak Kołodziej w wyobrazeniowym szuka realnego.

Powiedziane zostało, że książka jest „kontynuacją badań” wcześniejszych. Tom jest wielką dyskusją, jaka toczy się pomiędzy badaczami literatury emigracyjnej. Dialog ten jest bardzo zajmujący. Lektura studium Janusza Pasterskiego, który swoją refleksję nad motywami antycznymi w twórczości pisarza rozpocznie od ukazania biblioteki twórcy, aby następnie zagłębić się poezji, czytelnikowi przypomni szkic Jana Wolskiego. Niezwykle in-

teresujący szkic Jolanty Pasterskiej, w którym badaczka pyta o przyczyny domniemanego kryzysu polskiej prozy, zauważanego przez Darowskiego, Gombrowicza i Miłosza, staje się koniecznym *pendant* do innych prac krytycznych. Warto tu wspomnieć np. eseje Agnieszki Nęckiej, Rafała Moczkołana, skupiających się na Darowskim toczącym spory o literaturę, czy Justyny Chłap-Nowakowskiej i Romana Magrysia, dotyczących społeczno-politycznej strony jego twórczości.

Fascynująca w tomie jest także wędrowka tematu o braku możliwości wyrażenia siebie za pośrednictwem języka. Od refleksji nad tekstem wychodzą Urszula Izyczka, Justyna Chłap-Nowakowska, Alina Cybulska i Ewa Wielgosz. To język jest tutaj bohaterem stwarzającym człowieka: Izyczka bada „poetykę rzeczywistości”, z której zbudowany jest świat autora *Unserre*, Nowakowska skupia się na odbijającym się w języku światopoglądzie politycznym pisarza, Wielgosz natomiast interesuje stosunek podmiotu do rzeczywistości, przejawiający się w tropach poetyki negatywnej. „Napięcie między głosem i językiem” w tomie *Drzewo sprzeczeki* śledzi Alina Cybulska-Wal, której interpretacja błędnie tłumaczy, zaobserwowane także przez Izyczką, Chłap-Nowakowską i Wielgosz, cechy języka Darowskiego. Specyficzny charakter tego języka wynika ze stosunku do rzeczywistości; badaczka napisała: „Jeśli człowiek skazany jest na nieidealny język, zaburzona będzie także jego komunikacja ze światem”. Obserwując „zaburzenia” komunikacji (milczenie, polimorfizm), Alina Cybulska-Wal uzmysławia czytelnikom jak trudne dla pisarza było wyrażanie siebie poprzez słowo. Analizę tę potwierdza Barbara Trygar, której interpretacja *Niespodziewanych żywotów* także umieszcza twórczość poety w kategoriach niewyraźności, wynikającej z braku możliwości zrozumienia zarówno siebie, jak i świata.

Takie ciągi powiązań w książce, w której wypowiada się dwudziestu ośmiu krytyków, można by tworzyć w nieskończoność. Odkrywanie i łączenie tropów interpretacyjnych, przenikanie się perspektyw dobrze oddaje obraz skomplikowanej osobowości Jana Darowskiego. Niebywale ciekawe są także dokładne analizy zgromadzonych w archiwum Uniwersytetu Rzeszowskiego listów i materiałów poety. Małutki okrucich ludzkiej egzystencji jakim jest dedykacja czy aforyzm, jak pokazują Jan Wolski i Maria Krauz, może równie dużo powiedzieć o człowieku, co jego literacki pamiętnik, o którym świetny szkic napisała Alicja Jakubowska-Ożóg. W tomie znalazło się nadto miejsce na wypowiedzi wspomnieniowe Małgorzaty Rother-Burek i Andrzeja Lama.

Trzeba się trzymać pięknych przyzwyczajęń

Twórczość
Jana Darowskiego

studia i szkice

Trzeba się trzymać pięknych przyzwyczajęń. Twórczość Jana Darowskiego. Red. Zenon Ożóg i Jan Wolski. Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2012, s. 412 (Biblioteka „Frazy”).

Darowski redivivus

Emocjonalna opowieść czytelnika i rzeczowa, lecz ciepła wypowiedź twórcy antologii *Opisanie z pamięci* znakomicie komponują się w tomie i dopełniają jego obraz ogólny.

Książka prowokuje nie tylko do odkrywania i śledzenia „rozmów” jakie prowadzą ze sobą zgromadzone w niej teksty. Budowę kłamrową dopełnia po raz pierwszy wydrukowana rozmowa z pisarzem. *Północ i południe. Rajmund Kalicki słucha w Londynie Jana Darowskiego* to ponadczterdziestostronicowy wywiad-rzeka z pisarzem. Zakończenie nim tomu sprawia, że kłamra się zamyka. Autorzy wychodzą od tekstowego ciała i dochodzą do słowa żywego, pisemnego śladu głosu autora. Pozostawienie wywiadu bez komentarza także jest dobrym pomysłem. Czytelnik ma ochotę przyłączyć się do prowadzonego przez badacza dialogu, kończy książkę z niedosytem, prowokującym do stworzenia własnego obrazu poety, ma ochotę „trzymać się pięknych przyzwyczajęń”.

EWA BARTOS



Spóźniona kochanka

Jane Juska *Spóźniona kochanka* Czarna Owca 2013.

Świat już nas nie potrzebuje

Kiedy William Wharton wydał swoich *Spóźnionych kochanków*, wywołał tym skandal. Czytelnicy oburzali się, że ośmielił się pisać o potrzebach seksualnych ludzi po siedemdziesiątce. Społeczeństwo zakłada, że na emeryturze człowiek jest już tylko dziadkiem, myśli o swoich dolegliwościach, chodzi na spacer, a przede wszystkim odwiedza przychodnię.

Spóźniona kochanka Jane Juski jest kolejnym potwierdzeniem wyjątku. W wieku mocno dojrzałym nadal można pragnąć drugiego człowieka w sposób fizyczny, a pociąg nie umiera w określonym wieku, bo tak chce otoczenie.

Spóźniona kochanka opowiada historię samotnej, bo przed wielu laty rozwiedzionej, emerytowanej nauczycielki, która daje w prasie ogłoszenie, obwieszczające światu o tym, że szuka mężczyzny, z którym chciałaby przeżyć chwile uniesienia, zanim skończy 67 lat.

Kolejne randki, na które umawia się kobieta stają się przyczynkiem do swego rachun-

ku sumienia i analizy całościowej swojego życia. Bohaterka stara się znaleźć przyczynę swojej sytuacji. Dlaczego na koniec życia została sama. Oczywiście ma rodzinę, przyjaciół, dorosłego już syna. Ale gdzieś w trakcie życia zatraciła samą siebie, żyła dla innych, a dla siebie nie znajdowała już czasu.

Kolejni mężczyźni, z którymi się spotyka, odkrywają w niej pokłady energii seksualnej, której się po sobie nie spodziewała. A jednak... są za starzy, by budować z nią trwalszy związek. I najczęściej kończy się na kilku upojonych dniach w pokojach hotelowych, kilku stosunkach, spacerach, rozmowach. Spóźnieni kochankowie rozstają się z niesmakiem. Ich ciała odmawiają posłuszeństwa. Zresztą w tak zwanej drugiej połowie życia, ta pierwsza część ciąży już tak bardzo licznymi zobowiązaniami, że nie sposób jej oddzielić, by zacząć wszystko od nowa. Kolejne próby sięgnięcia po spełnienie kończą się porażką i coraz głębszymi ranami w sercu bohaterki. Na szczęście ta nie traci poczucia humoru i umie podejść do wszystkiego z dystansem. Tak tłumaczy swoje nie do końca udane próby zbliżenia z drugim człowiekiem: „Gotowa byłam założyć się o wszystko, że Jonah chciał sprawdzić, czy jeszcze może. Poza tym, tak jak ja, nie miał co zrobić ze swoją namiętnością. Świat już nas nie potrzebuje. Jesteśmy starzy. Namiętność w naszym wieku?”

Spóźniona kochanka z pozoru wydawać się może emerytalną odpowiedzią na popularne ostatnio powieści erotyczne dla gospodyń domowych. Ale zawiedzie się ten, kto będzie szukał w niej pikantnych scen erotycznych. Owszem, są, ale napisane ze smakiem. Jane Juska poszła nieco dalej i napisała mądrą powieść o życiu, o tym, co w nim ważne, o czym wszyscy doskonale wiemy, że to miłość, ale na co dzień o to nie dbamy. Przebudzenie i odkrycie na nowo tej starej prawdy przychodzi czasem za późno. Dlatego kochanka jest spóźniona. Gdyby szanowała miłość i swoje pragnienia jeszcze w młodości, jej życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

Jest to także powieść o samotności w świecie, w którym mamy wszystko na wyciągnięcie ręki, jesteśmy dobrze odżywieni, a podstawowe potrzeby są spełniane niejako taśmowo. Ale czy to wystarcza? Okazuje się, że najważniejsze w życiu to mieć się do kogo przytulić nad ranem...

KATARZYNA KRZAN

Krystian Hadasz



Uroczysta zmiana zdania

Krystian Hadasz: *Uroczysta zmiana zdania*, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2014.

Próba obywatelstwa

W zasłużonym dla promowania poezji współczesnej krakowskim Wydawnictwie Miniatura ukazał się piąty tom wierszy Krystiana Hadasza, poety, muzykologa, dyrektora Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich.

Ta książka wydaje się być twórczym rozwinięciem zarówno tematyki, jak i preferowanych form poprzednich publikacji literackich autora *Światowego dnia bez Polski*. To liryka postulatyczna, zaczepna, nieufna, miejscami pryncypialna, niekiedy pięknie ironiczna, bezlitośnie piętnująca dzisiejszy stan ducha naszych obywateli, decydentów, graczy na politycznej scenie. Bo głównie chodzi w niej o Polskę, własne miejsce na ziemi, wyraziste wartości, szacunek dla określonych norm etycznych.

Płynnej, doraźnej „polityczności” Hadasz przeciwstawia moralną wrzliwość, której walorem jest namysł i medytacja, wartości moralne, wzorce osobowe do naśladowania, istotne rozważania na temat dobra i zła. Nawiązuje tym samym do dykcji starszych braci w Poezji – przedstawicieli Nowej Fali, czepnie wzory z ich nieufności wobec języka, ale i dyskutuje z rówieśnikiem, Marcinem Świetlickim.

Tytułowy wiersz mówi o dzisiejszych, nieklopotliwych dla sumienia, „higienicznych” diametralnych nagłych zmianach poglądów, „technicznych” przemianach zapatrywań, pre-

zentowania całkiem nowego światowocucia dla doraźnych celów:

./../

*zamyka się dziennik sam
lepiej późno niż później
gorzej wcale niż wcale*

*jutro trzeba będzie wszystko zmienić
partię koalicję
wyjść pójść
na wódkę z opozycją
i obiecać coś w zamian za*

modlitwa o dobre sondáže
zaczyna się podczas mycia zębów
i głosowaniu plukaniem gardłem

(*Uroczysta zmiana zdania*)

Bohaterami pozytywnymi tego zbioru trzydziestu wierszy są m.in. św. Piotr, Szymon Mag, św. Augustyn, Chopin, Pat Metheny, Miron Białoszewski, Jan Paweł II, bo dla Hadasza wzory i przesłania płyną z różnych kierunków i czasów – od studiowania świętych i Ojców Kościoła, przez lektury, głównie poetów współczesnych, których uwaga skierowana była/jest na funkcję i zadania języka liryki, po recepcję i analizę ważnych dla naszego poety dzieł muzycznych.

Niejaką przy okazji prób ubrania w słowa aktualiów „płynnej” rzeczywistości, naoczności, która pozytykuje się negatywnymi wzorcami i wartościami, Hadasz i tu pokazuje wycinek autobiografii, swój rodowód – pozytywnymi wspomnieniami są odwołania do krakowskiej studenckiej młodości, ale przecież i miejsca życia i pracy przyszłego papieża Polaka:

Na zielonej ścianie obok zegara
kilka Jego zdjęć –

Przedem wszystkim to z Wadowic
znad białego mikrofonu
z tamtym uśmiechem ponad

dźwiękowym
– za chwilę padną słowa, że

Tutaj wszystko się zaczęło
Nawet pierwsza minuta meczu

O którego wynik do dzisiaj
spierają się historycy

A potem w indeksie oceny
celujące z prawa

pozarzyskiego
Niesztucznego oddychania mózgu

–mózg

I radosnej lekkości bytu poza
protokołem

(*Niebo nad Krakowem*)

Hadasz – jak w tomach poprzednich – nie potrafi oprzeć się zjadliwej niekiedy pasji obserwatora polemisty. Może najlepszym, niejako wzorcowym przykładem, takiej strategii jest „lustrzany” tekst na temat „projektu budżetu na lata 2014-2020”.

Dwa wiersze, przypominające komentarze dwóch mediów, stojących po dwóch stronach ideologicznej, politycznej barykady. *Nieudany szczyt* i *Udany szczyt*. Poeta zaś pyta nie wprost, gdzie jest prawda? Jakiej zaprawy ducha, sumienia, intelektu potrzeba, aby nie ulec propagandowym podszepotom tej czy innej strony. Widzieć sprawy jasno, uczciwie, wieloaspektowo, niekoniecznie w wersji białoczarnej/czarno-białej...

Wydaje się, że centralnym tematem tej obywatelskiej liryki (któże jest teraz taką pisze?) jest obawa o tożsamość człowieka współczesnego, włóczęgo między media, krzykliwe hasła, ryzykowne poglądy, głupotę bezkrytycznej, często krzywdzącej i agresywnej oceny. Znaczące jest przywołanie z cytatu z Jana Pawła II postaci Leszka Kołakowskiego – pytającego zawsze o jasność i samodzielne myślenie, odwagę w formułowaniu własnego sądu, bez względu na konsekwencje, mody, pokusy podobania się.

KRZYSZTOF LISOWSKI

Wśród wielu interesujących zjawisk współczesnej polskiej literatury można zaobserwować nowy typ opowieści biograficznej, która zachowując rygorzy prozy naukowej, snuje narrację zróżnicowaną, barwną, dynamiczną, psychologicznie pogłębioną, często obfitującą w zaskakujące zwroty akcji. Autorzy nie tyle ubarwiają biografie bohatera niesprawdzonymi anegdotami i fantastycznymi przypuszczeniami, co wydobywają dramatyzm istniejący w każdym ludzkim życiu, a im osobowość wybitniejsza zwykle tym silniejsze jest owo dramatyczne napięcie. Często też docierają do źródeł wcześniej nieznanych nauce, wydobywają nowe szczegóły, z dociekliwością niemal detektywistyczną, nie po to by szukać sensacji, lecz by na przykład przywrócić postać pamięci zbiorowej lub zweryfikować sądy krzywdzące, niesprawiedliwe, pokazując twórcę w nowym oświetleniu. Z takich biografii często wychyla się żywy człowiek, ze swoimi pasjami, namiętnościami, z tym, co w nim wielkie i z tym, co ułomne. Jest to swoista gra z czytelnikiem, który posiada już pewną wiedzę o protagonistę, a jednocześnie daje się uwieść narracji autorskiej.

W ten nurt wpisuje się najnowsza książka Joanny Jurgala-Jureczki *Zofia Kossak. Opowieść biograficzna*, badaczki blisko z autorką *Pożogi* związanej. Joanna Jurgala-Jureczka przez kilka lat była kustoszem w Muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich i już wcześniej zajmowała się pisarstwem Kossak-Szatkowskiej, długo dorastając do tej najważniejszej książki – rzetelnej opowieści biograficznej, bogatej w szczegóły, znakomicie udokumentowanej materiałowo i barwnej, dynamicznej, o fascynującej fabule.

Książka jest pełna ciepła, ale nie ma w niej czułości, nie jest pisana „na kolanach” choć autorka nie kryje swej sympatii dla Zofii Kossak. Często broni pisarki, przytacza wiele argumentów tłumaczących jej punkt widzenia, znakomicie ukazuje rozterki duchowe autorki *Nieznane kraje*, ale zawsze pisze bardzo uczciwie, nie omijając tych momentów i sytuacji, które wcześniej wywoływały kontrowersje (antysemityzm, współpraca z PAX-em), pokazuje je w różnorodnym oświetleniu, zderza odmienne sądy, ale sama umiejętnie wycisza głos ostateczną ocenę zostawiając jednak czytelnikowi. Wyraźnie pisze, że nie da się przedstawić pełnej prawdy o człowieku, że i ten portret musi zostać niedokończony i taka pokora jest miarą dojrzałości pisarskiej Joanny Jurgala-Jureczki.

Autorka prowadzi czytelnika przez różne czasy i przestrzenie, bo zaczyna się wszystko w Kośminie na Lubelszczyźnie w sierpniu 1889, kiedy narodziła się pisarka, ale Joanna Jurgala-Jureczka cofa się w czasie i pokazuje genealogię twórczyni, jej przodków, z których odziedziczyła tak wiele, bo tak Kossakowie, jak i Gałczyńscy byli ludźmi mocnymi i utalentowanymi. Owo wyposażenie w mocny charakter, fantazję i talenty różnorodnie owocowało w kolejnych pokoleniach,

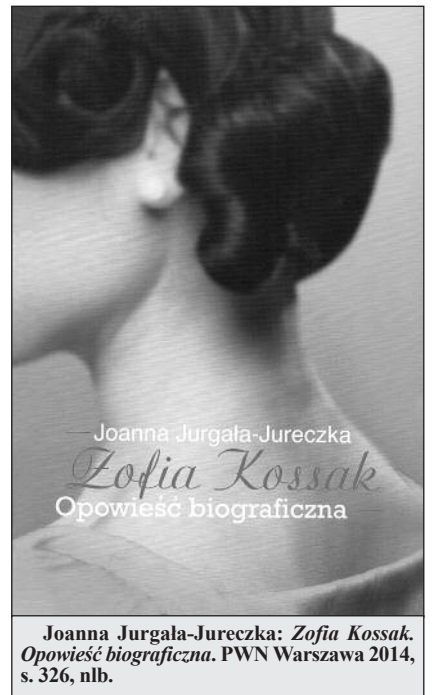
a sama Zofia Kossak była w młodości rozdarta pomiędzy malarstwo i literaturę.

Całe życie pisarki zostało wpisane w rytm historii, która zawsze determinowała ludzkie losy, ale Kossaków doświadczała ze szczególnym okrucieństwem, bo każdy zwrot dziejowy powodował utratę domu, stanowiącego swoiste sacrum, najważniejsze miejsce na ziemi. Utrata i budowanie układają się w książce w specjalny rytm. I tak dom na Wołyniu zniszczył rewolucja sowiecka okrutnie przebiegająca na Kresach II Rzeczypospolitej, a odzyskanie ojczyzny będzie jednocześnie utratą ojcowizny. II wojna światowa przyniesie zniszczenie dworu w Górkach Wielkich, a wybranie konspiracji będzie się równało bezdomności. Nastanie Polski Ludowej to wygnanie na emigrację i konieczność budowania życia od nowa w Tressel, w Komwalii, gdzie para już niemłodych inteligentów stała się farmerami-pionierami, karmiąc świnie, pojąc cielęta, dojąc krowy i wyrzucając nawóz. Powrót do Polski w 1957 roku oznaczał kolejną zmianę: adaptację domku ogrodnika w Górkach Wielkich na dom mieszkalny, bo dwór już się do zamieszkania nie nadawał. Każdy z tych etapów życia znaczone był dodatkowo bolesnymi doświadczeniami: utratą najdroższych osób, męża, dzieci, rodziców, a jednak choć obolała, wychodziła z nich silniejsza. Głębokie zanurzenie w pejzażu, rozkochanie w polskiej ziemi często bywa pokazywane jako źródło siły. Ten portret psychologiczny również dlatego jest tak przekonujący, że został rozpisany na głosy osób, które Zofię Kossak znały osobiście i zawsze są to świadkowie niebagatelni: Maria Dąbrowska, Władysław Bartoszewski, Jan Karski, Aleksander Kamiński. Bartoszewski wspomina Zofię Kossak niemal w każdej swej wypowiedzi, a Jan Karski wyznał nawet, że bardzo kocha Zofię Kossak, choć nigdy nie był w niej zakochany. Są też opinie dwóch wielkich kuzynek pisarki, Marii Jasnorskiej-Pawlikowskiej i Magdaleny Samozwaniec nie mogących pojąć „tej Zosi”, jakże różnej od ich wyobrażeń o kobiecości. Zderzenia odmiennych wyobrażeń znakomicie dynamizują narrację, czynią ją żywą i atrakcyjną.

Jurgala-Jureczka pokazuje więc kobietę o złożonej psychice, z jednej strony odważną, bezkompromisową, zahartowaną przez cierpienie, z drugiej naiwną jak dziecko, zapominającą na Pawiaku okupacyjnego pseudonimu, czy wierzącą w uczciwość komunistów! W kłopotach *Kacperka góreckiego skrzata* jest taka sentencja, która mogłaby stanowić motto recenzowanej książki, że siła dobra jest jednak większa niż siła zła. To przekonanie pisarki, płynące z jej religijnego światopoglądu, autorka pięknie i dyskretnie wkomponowuje w swoją książkę. Po powrocie z emigracji w 1957 roku Kossak powiedziała:

„Nie zamierzam stanąć w żadnym określonym obozie. Ale w jednej fali ludzi wierzących, że nienawiść można zwyciężyć, kierując się miłością.” (s. 239).

Joanna Jurgala-Jureczka włożyła w swą opowieść ogrom pracy. W archiwum Zo-



Joanna Jurgala-Jureczka: *Zofia Kossak. Opowieść biograficzna*. PWN Warszawa 2014, s. 326, nlb.

Przywracanie Zofii Kossak

fii Kossak w Górkach Wielkich znajduje się około 5 tysięcy listów, napisanych bardzo nieczytelnie, pismem „węzłkowym”, jak to ktoś określił i już sama lektura tej korespondencji stanowi trud benedyktyński. Podobnie jak przedarcie się przez rękopisy dzieł. Do tego dodać należy pisma z instytucji, dokumenty z IPN oraz rozmowy z ludźmi, szukanie relacji prasowych, najmniejszych drobiazgów. Tak powstała książka bardzo wszechstronna, złożona ze spraw wielkich i drobnych, jak informacja, że w domu Zofii i Zygmunta zawsze były jamniki, wesołe, dynamiczne, uczuciowe, inteligentne i one współtworzyły nastroje góreckiego domu. Jednocześnie uświadamiająca badaczom i czytelnikom, jak mało wiemy o wielkim zjawisku literackim, którym była Zofia Kossak, jak wiele pozostało do zrobienia, przeanalizowania, napisania.

KRYSTYNA
HESKA-KWAŚNIEWICZ

Wywózka. Deportacja mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Sowieckim w 1945 roku. Faktografia – konteksty – pamięć. [Red. Sebastian Rosenbaum, Dariusz Węgrzyn]. Wyd. IPN Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Katowicach, Katowice 2014, s. 456.

Redaktorzy publikacji stwierdzają we wstępie, że jej „forma może się wydać nieco specyficzna”. I tak jest w istocie, bo trzon książki stanowią teksty, których podstawą były referaty przedstawione na międzynarodowej konferencji naukowej *Internowania – deportacje – produktywizacja. Mieszkańcy Górnego Śląska w systemie obozowym GUPWI NKWD 1945-1956*, ale doszły do nich jeszcze inne materiały, m.in. wstrząsające relacje wywiezionych, opisy projektu studentów Instytutu Historii Uniwersytetu ze Studenckiego Koła Naukowego US i omówienia wydawnictw związanych z tematem. Ta obszerna publikacja jest dobrym punktem wyjścia do skoordynowanych badań polsko-niemieckich, a w perspektywie – także rosyjskich i ukraińskich. Polecam wszystkim zainteresowanym trudną i szerzej mało znaną historię Śląska.

Waldemar Odorowski: Architektura Katowic w latach międzywojennych 1922-1939. [Wyd. drugie zmienione]. Wyd. Muzeum Śląskie w Katowicach, Katowice 2013, s. 360.

Jako katowicki patriota z radością witam rosnące zainteresowanie architekturą mojego miasta. Świadczy o tym coraz liczniejsze nowe publikacje poświęcone tutejszym domom i budowlom, ale także fakt, że poświęcone tej tematyce albumowe wydawnictwo Waldemara Odorowskiego doczekało się drugiej edycji. Historycy sztuki doceniali wprawdzie funkcjonalistyczne, czy jak kto woli – modernistyczne gmachy i kamienice z okresu międzywojennego i często opisywali „najmłodsza starówkę w Polsce”, większość mieszkańców nie dostrzegała wartości estetycznych tych obiektów. Dziś to się zmienia, może też dlatego, że po latach zaniedbania coraz więcej owej substancji się przywraca dawnej świetności. Świetne zdjęcia i reprodukcje planów oraz tekst, który opowiada o jakże ważnej części historii miasta. Kiedy studiuję się tę pracę, nie da się powstrzymać od podziwu dla rozmachu i tempa, w jakim rozwijały się Katowice w latach międzywojennych.

Jadwiga Lipońska-Sajdak (tekst), Ewa Rosiek-Buszko (ilustracje): Przechadzki historyczne po Katowicach. [Wyd. trzecie, uzupełnione i poprawione]. Wyd. Muzeum Historii Katowic, Katowice 2013, s. 100.

Potwierdzeniem sformułowanej przeze mnie tezy o rosnącym zainteresowaniu architekturą Katowic może być także fakt, że *Przechadzki...* doczekały się już trzeciej edycji. Wydana przez Muzeum Historii Katowic publikacja w przeciwieństwie do pracy Waldemara Odorkowskiego nie skupia się na kwestiach czysto architektonicznych. Jadwiga Lipońska-Sajdak w sposób syntetyczny przedstawia historię poszczególnych obiektów niemal do dnia dzisiejszego. Tekstowi nie towarzyszą zdjęcia, ale akwarele Ewy Rosiak-Buszko, co sprawia, że poszczególne ilustracje kojarzą się trochę z dawnymi malowanymi pocztówkami. Jeszcze jedna różnica – autorki *Przechadzek...* nie chcą się zamykać w jednorodnym stylistycznie fragmencie zabudowy miasta. Stąd budynki modernistyczne sąsiadują z obiektami zaliczanymi do „katowickiej secesji” albo historyzmu. Myślę, że warto wybrać się z tą książeczką na spacer po Katowicach.

Sztuka i przemysł. Paradigmat innowacji – dziedzictwo kulturowe na obszarach przemysłowych Niemiec i Polski. Kunst und industrie. Das Paradigma der Innovationen – das Kulturerbe in den Industriegebieten Deutschlands und Polens. [Red. Irma Kozina]. Wyd. Muzeum Śląskie w Katowicach, Katowice 2013, s. 336.

Ta monumentalna i bogato ilustrowana publikacja jest pokłosiem zorganizowanej w 2011 roku w Katowicach konferencji grupy roboczej polskich i niemieckich historyków sztuki i konserwatorów. Tytuł może onieśmielać, mogą jednak uspokoić potencjalnych czytelników: nie trzeba zrobić doktoratu z historii sztuki, żeby sięgnąć po tę księgę i znaleźć w niej rzeczy interesujące dla siebie. Choćby tekst o nowym Muzeum Śląskim, wybudowanym na terenie dawnej kopalni „Katowice” w otoczeniu autentycznych budynków „z epoki industrialnej” przypominających o historii tego miejsca. Nieprzypadkowo w grupie roboczej spotykają się historycy sztuki z Polski i Niemiec, ponieważ nasze kraje łączy podobne dziedzictwo na terenach przemysłowych, co pozwala na twórczy dialog i wymianę doświadczeń.

Justyna Jarosz: Kobieta odświętna, czyli Ślązaczka w stroju ludowym. Wyd. Muzeum Historii Katowic, Katowice 2014, s. 68.

Z przyjemnością odnotowuję w swojej rubryce publikacje muzealne towarzyszące czasowym ekspozycjom. Po pierwsze dlatego, że w odróżnieniu od dawnych katalogów z siermiężnych czasów realnego socjalizmu nie ograniczają się wyłącznie do listy pokazanych eksponatów oraz jakiegoś czarnobiałego zdjęcia marnej jakości, ale zawierają kompetentne, czasem dość obszerne teksty związane z tematyką wystawy. Po drugie – dzięki przemyślanemu kształtowi graficznemu same w sobie stanowią przedmiot estetyczny. Taka właśnie jest *Kobieta odświętna*, prezentująca występujące (więcej – do dziś żyte) na Śląsku stroje ludowe. W tym albumowym wydawnictwie możemy zobaczyć strój bytomsko-rozbarski, cieszyński i góralski śląskich oraz poszczególne detale tych ubiorów i archiwalne zdjęcia osób w nie ubranych. Ilustracjom towarzyszą opisy. Dlaczego brak „mężczyzny odświętnego”? Po prostu chłopcy dość szybko zaczęły nosić się „po miejsku”. Teraz niech załują.

Edmund Borzemski: Człowiek za burtą. Wyd. Konfraterni Poetów, Kraków 2014, s. 72.

To już kolejna książka poetycka autora urodzonego w Opolu, absolwenta tamtejszej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, zamieszkałego w Korfantowie, historyka, krytyka, animatora kultury propagującego poezję wśród młodzieży, członka m. in. Związku Literatów Polskich – Oddziału w Opolu oraz Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Borzemski w swoich utworach nawiązuje do historii, wiary, przyrody, przede wszystkim jednak pisze wiersze liryczne z akcentami autobiograficznymi. Jak każdy poeta nie pomija dwóch wielkich tematów każdej twórczości artystycznej – miłości i śmierci. Cytuję wiersz „Tak trudno”: *Tak trudno / odwrócić głowę / i spojrzeć na to, / co się zostawiło. // Tak trudno spojrzeć / na zielen, / którą roztańczył / wiatr. // Tak trudno / przypomnieć sobie / tamto słowo, / które Ciebie / tak mocno zdziwiło. // Dziś idziemy razem, / choć nie trzymamy się / za ręce. // Pewnie to i dobrze, / bo ja być może / już jutro / będę musiał skrócić / w tamtą drogę, / którą ty także / podążyysz, / choć nie ze mną / i jeszcze nie dziś.*

Anekdoty

HENRYK BZDOK

Piotr Szalsza – reżyser, scenarzysta, muzyk, pisarz i publicysta kontakty z Wielkim Wschodnim Sąsiadem miał zawsze dobre, to też nie bardzo byłem zaskoczony kiedy dzwoniąc do niego odezwał mi się:

– Jestem w Omsku, reżyseruję tutaj sztukę Turriniego w The Fifth Theatre....

Piotr bywał w Rosji już niejednokrotnie pracując z Sir Peterem Ustinovem przy realizacji widowisk w Piotrogrodzie a i w Moskwie.

Pomińmy szczegóły, bo nie o tym chciałem, ale o początku tychże kontaktów, o których tak pisał w 2008 roku „Dziennik” w wywiadzie z Ałłą Pugaczową pt.: „Mówią o mnie caryca”. „Z czym się pani kojarzy Polska?”

– Z życzliwymi ludźmi, którzy wierzyli we mnie i lubili mnie.

Po raz pierwszy byłem u was na początku lat 70. i to był w ogóle jeden z moich pierwszych wyjazdów za granicę...

Pamiętam, że nie miałam wtedy grosza przy duszy, a w domu oczywiście wszyscy czekali na suweniry.

O nie! – powiedziałam sobie. Będę głodować, ale coś z Polski przywiozę.

Kiedy zaczęły się zdjęcia w Katowicach – kręcili jakiś materiał o orkiestrze, z którą przyjechałam, i przy okazji też o mnie – nie czułam się najlepiej.



Był tam pewien chłopak, Piotr, który w lot wszystko zrozumiał. Podszedł do mnie i mówi:

„Ty jesteś gwiazdą. Jest milion gwiazd, ale ty jesteś jedna”.

Ja aż się zachwiałam z wrażenia i głodu jednocześnie.

„I jeszcze na dodatek głodną gwiazdą!” – dodał.

Zabrał mnie do telewizyjnego bufetu i do restauracji, nakarmił, napoił, ale przede wszystkim wbił mi do głowy, że będę gwiazdą. Nigdy tego nie zapomnę.

Do dziś go pamiętam.

Tyle cytat, a Piotr dodał: – wszystko się zgadza – było uroczo.

Mogę tylko dopełnić, że kilkakrotnie spotykaliśmy się potem w Moskwie (same dobre wspomnienia), a po kilku latach – kiedy Ałła odwiedziła Gdańsk, gdzie kierowałem redakcją muzyczną, wspólnie z katowickim reżyserem Stasiem Olejniczakiem, zrealizowałem z jej udziałem piękny recital w plenerach Trójmiasta.

Zdarzyło się, że zatrzymałem się w Wiedniu w drodze do Italii u Piotra Szalszy.

Ten wybitny reżyser, muzyk, scenarzysta, pisarz, publicysta, kolekcjoner nagrań fonicznych i video w ostatnim czasie także w naszym teatrze wyreżyserował utwór sceniczny „Badenheim 1939”.



Po znakomitej kolacji przygotowanej przez Piotra stwierdziłem, że mógłby do swych umiejętności dopisać sobie tytuł także Mistrza Patelni.

A potem gwarzyliśmy długo w noc, o wszystkim i niczym aż zeszło na archiwum filmowe, które zajmuje wszystkie ściany tego wysokiego mieszkania, tu padła cyfra określająca liczbę kopii filmowych i pytanie Piotra:

– No wymień jakiś film, zobaczymy czy go mam?

– „Cud w Mediolanie” – rzekłem.

– Mam – powiedział – 1238 numer w katalogu, reż Vittorio de Sica, Francesco Gollisano w roli Tota, no i Paolo Stoppa...

Wymieniłem, jeszcze parę tytułów z wczesnych lat kina a Piotrek miał wszystko... i w końcu padło owo ostatnie zdanie wieczoru:

– Komu ja to wszystko zostawię?

Kiedy ponownie spotkałem Piotra w Katowicach, opowiedział mi ciekawą historię jaka zdarzyła się w Warszawie, podczas jego wizyty w FilMOTECE Narodowej, mającej w swych zbiorach wszystkie filmy Andrzeja Wajdy – oprócz jednego – pt. „Bramy raju”.

Dyrektor FilMOTEKI stwierdził, że nie udało się znaleźć żadnej kopii, pomimo

wieloletnich poszukiwań w całej Europie, filmu nie ma nawet Andrzeja Wajda.

Miałem przede sobą mój „Memory stick”, zapadła pełna napięcia dwuminutowa cisza, po upływie której (wiedząc oczywiście doskonale, że „Bramy raju” znajdują się w mojej kolekcji) rzekłem: – Panowie, mam ten film!

Dostali go ode mnie.

To jedno wydarzenie wystarczyło mi, by znaleźć sens gromadzonych zbiorów.

Piotr Szalsza – reżyser, scenarzysta i publicysta, niegdysiejszy katowiczaniec dziś zamieszkały w Wiedniu, siedział sobie w dniu 25 grudnia 2001 roku w domu i coś tam robił.

Koło północy zadzwoniła znajoma z Nowego Yorku:

... jestem na przyjęciu na Manhattanie, wiesz kto obok mnie stoi?



Poczekaj podam mu słuchawkę...

I odezwał się Giuliani, a że obywają lubią operę włoską, to nie zabrakło im tematu i rozmowa na ten i wiele pokrewnych trwała ponad 10 minut.

Po skończonej rozmowie, jak doniosła koleżanka, dziennikarze rzucili się na burmistrza z pytaniem, z kimże ważnym tak długo rozmawiał.

– Mnie nikt o to samo nie zapytał – powiedział mi Piotr – bo byłem sam w domu.

Miejscowa Biblioteka Publiczna im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach to najstarsza instytucja kultury w mieście. Początki bibliotekarstwa w naszym regionie sięgają końca XIX w. W Tarnowskich Górach pierwszą czytelnię ludową założono w maju 1919 r. Początkowo mieściła się w mieszkaniu księgarza Jana Nowaka, później przeniesiono ją do Hotelu Printz Regent (Pod Ułem), a w 1925 r. do Domu Ludowego (przez wiele lat Dom Kultury „Kolejarz”, obecnie Tarnogórskie Centrum Kultury). Księgozbiór pochodził z zasobów TCL oraz z darów, m. in. ówczesnego magistratu. Placówka działała nie tylko na miejscu, ale prowadziła również stałe i ruchome punkty biblioteczne. W czasie II wojny światowej księgozbiór został dotkliwie spustoszony. Mimo to biblioteka była pierwszą instytucją kultury, która wznowiła działalność po wojnie. W kwietniu 1945 r. Bibliotekę Miejską, mieszczącą się w Domu Ludowym w Tarnowskich Górach, otworzył Jan Miłowanow (w latach 1926–1939 kierownik czytelnicy ludowej, postać niezwykle zasłużona dla tarnogórskiego bibliotekarstwa okresu między- i powojennego). Z powodu rosnącej liczby czytelników i powiększania się księgozbioru placówkę przeniesiono w 1948 r. do budynku przy ul. Zamkowej, w którym działa do dziś.

Przemiany ustrojowe w latach 90. XX w. i związana z nimi ustawa o samorządzie terytorialnym zmieniły status bibliotek publicznych – z państwowych na samorządowe.

Dzięki finansowemu wsparciu gminy w latach 1993–1996 przeprowadzono remont i modernizację (zgodnie z projektem prof. Barbary Borkowskiej z Krakowa) wszystkich pomieszczeń biblioteki. Przystosowano ją również do potrzeb osób niepełnosprawnych (podjazd, podnośnik do wózków inwalidzkich, zaplecze sanitarne). W następnych latach bibliotekę skomputeryzowano. Za sprawą tych inwestycji książnica jest nowoczesną instytucją, spełniającą oczekiwania współczesnego użytkownika.

Od 2002 r. na mocy porozumienia między Tarnogórskim Starostwem Powiatowym a Gminą Tarnowskie Góry Miejska Biblioteka Publiczna pełni rolę biblioteki powiatowej, sprawując nadzór merytoryczny nad 8 placówkami gminnymi i 16 filiami, udostępniającymi książki mieszkańcom tarnogórskich dzielnic i osiedli.

Patronem naszej biblioteki jest Bolesław Lubosz, zmarły w 2001 r., autor wierszy, felietonów, opowiadań, powieści i sztuk teatralnych. Choć od końca lat 80. mieszkał w Katowicach, to zarówno w jego życiu, jak i twórczości widoczna jest silna więź z rodzinnym miastem i regionem, którym poświęcił wiele utworów. Najbardziej znanym z nich jest zbiór szkiców *Kraina gwarków i lasów* z 1969 r. W 1999 r. otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Tarnowskich Gór.

Tarnogórska biblioteka oferuje nowości wydawnicze z różnych dziedzin wiedzy: literaturę naukową i piękną, lektury z zakresu szkoły podstawowej i średniej, literaturę obcojęzyczną, książki nagrane na płytach w formacie CD-Audio i MP3, dokumentację życia społecznego, literaturę regionalną oraz wybór czasopism – dzienników, tygodników i miesięcz-



Świąteczne spotkanie dla dzieci niepełnosprawnych ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego (2009)

MBP w Tarnowskich Górach

Biblioteka jest bramą w czasie

ników (100 tytułów). Czytelnicy mogą korzystać ze zbiorów liczących 170 898 woluminów. Do ich dyspozycji przygotowano stanowiska komputerowe z dostępem do katalogu OPAC i Internetu.

Umberto Eco powiedział – *Kto czyta książki, żyje podwójnie*. Kierując się tą maksymą, stawiamy na promocję czytelnictwa i aktywizację lokalnej społeczności poprzez różne formy pracy z czytelnikiem. Jesteśmy przekonani, że nasze starania przyniosą rezultaty, bo żaden nośnik cyfrowy nie zastąpi książki w jej tradycyjnej formie, może ją jedynie dopełniać.

O literaturze rozmawiamy w Dyskusyjnym Klubie Książki w bibliotece centralnej i Klubie Czytelniczek w filii nr 9 w Strzybnicy. W czasie spotkań DKK proponujemy wartościowe książki. Stali bywalcy spotkań klubowych przyznają, że rozmakowali się w powieściach, których – gdyby nie Klub – być może nigdy by nie wypożyczyli. Ponadto spotkania Klubu są okazją do wymiany poglądów, ogólnej dyskusji o życiu i świecie. Nasze dysputy mają nieraz burzliwy charakter, jednak częściej jesteśmy zgodni co do oceny książki (więcej o DKK na naszej stronie internetowej www.biblioteka.tgory.pl).

Biblioteka promuje czytelnictwo, organizując spotkania autorskie z pisarzami, poetami, podróżnikami. Gościli u nas m. in.: Grzegorz Kasdepke, Anna Onichimowska, Marcin Pałasz, Ewa Chotomska, Ewa Nowak, Kazimierz Szymeczko, Maria Czubaszek, Barbara Kosmowska, Bożena Mazalik, Marek Tomalik, Izabela Sowa, Paweł Beręsewicz.

Podczas akcji *Cala Polska Czyta Dzieciom* Dział dla Dzieci i Młodzieży organizuje w niedzielne po-

łudnia cyklicznie *Rodzinne Czytanie*, na które zaprasza rodziców, dziadków i starsze rodzeństwo a także osoby znane i lubiane w mieście. Naszą ofertę w szczególny sposób kierujemy do dzieci, ponieważ to one będą przyszłymi odbiorcami usług bibliotecznych. W ramach programu *Postaw na rodzinę* we współpracy z Urzędem Miasta centrala i filie organizują: pikniki rodzinne, warsztaty ceramiczne, lekcje biblioteczne, quizy, letnie czytelnie. Inną formą promocji są konkursy literackie i plastyczne. Jednym z najciekawszych jest *Książka jest sztuką*. W tym roku to już VII edycja konkursu, w którym uczestniczą osoby w różnym wieku. Dużą popularnością cieszą się kiermasze książek przyciągające bibliofilów.

Biblioteka współpracuje z innymi instytucjami kultury – placówkami oświatowymi (szkoły, przedszkola) i organizacjami pozarządowymi. Ze względu na dużą liczbę organizowanych imprez dla dzieci powstała potrzeba stworzenia miejsca, w którym można byłoby wystawiać prace najmłodszych czytelników. I tak w 2009 r. w Dziale dla Dzieci i Młodzieży powstała „Mała Galeria”. Od 1996 r. działa Galeria „Antresola”. Prezentowane są w niej obrazy, fotografie, rzeźby, prace plastyczne. Głównym celem istnienia galerii jest promocja regionalnych artystów amatorów, ale często można też obejrzeć także prace znanych twórców. To tu – po raz pierwszy w Polsce – wystawiali cenieni czescy artyści: grafik Pavel Hlavaty (autor exlibrisu tarnogórskiej biblioteki) oraz fotograf Jaromir Procházka.

Kładziemy duży nacisk na współpracę ze Specjalnym Ośrodkiem Szkolno-Wychowawczym. Chcąc przycygnąć się do zniesienia barier społecznych, organizujemy raz w miesiącu zajęcia plastyczne i muzyczne dla niepełnosprawnych dzieci. Podczas spotkań bibliotekarze czytają książki, opowiadają bajki, organizują konkursy tematyczne. W zajęciach bierze udział średnio 20 osób.

Barczo dobrze układa się współpraca z tarnogórskim oddziałem Polskiego Związku Niewidomych. Osoby niewidome i słabowidzące – oprócz tego, że wypożyczają literaturę z Działu Książki Mówionej – prezentują też swoją twórczość na wystawach plastycznych oraz podczas wieczorów poezji organizowanych przez bibliotekę. Współdziałamy również z Domami Opieki Społecznej.

Pozyskujemy sponsorów do realizacji różnorodnych przedsięwzięć. Jednym z nich są listopadowe obchody Dnia św. Marcina. Impreza ta jest atrakcją zwłaszcza dla dzieci – ze względu na kolorowy pochód na czele ze św. Marcinem na koniu. „Marcinki”, integrujące mieszkańców, na stałe wpisały się w miejski kalendarz imprez.

Zachęcamy do czytania książek i odwiedzania bibliotek, które – jak pisał Jorge Luis Borges – są bramami w czasie, łączącymi przeszłość – poprzez teraźniejszość – z przyszłością. Zapraszamy do wizyty w tarnogórskiej księżnicy będącej interesującym punktem na mapie kulturalnej naszego miasta.

MAŁGORZATA CICHON
ANETA CICHON



Rodzinne Czytanie (2012)



Spotkanie autorskie z Marią Czubaszek (2012)



Prace zgłoszone na konkurs „Książka jest sztuką” (2011)



Dni Otwarte cieszyły się dużym zainteresowaniem.



Prof. Julian Gembalski w rozmowie z Reginą Gowarzewską-Griessgraber opowiadał nie tylko o projektowaniu organów.

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz

Drzwi szeroko otwarte

Rozbudowana i zmodernizowana Filharmonia Śląska im. Henryka Mikołaja Góreckiego budzi zainteresowanie nie tylko swoich wiernych melomanów. Uroczysta inauguracja było okazją do przygotowania dwudniowych Dni Otwartych Filharmonii, podczas których można było zwiedzić gmach, posłuchać brzmienia nowych organów, porozmawiać z artystami i wziąć udział w warsztatach oraz konkursach. Program opracowano zarówno z myślą o dorosłych i o dzieciach. Z pewnością dla wielu atrakcją było uczestnictwo w otwartej próbie filharmoników – zarówno zespołu orkiestrowego pod batutą Mirosława Jacka Błaszczyka – dyrektora Filharmonii, jak również zespołu chóralnego pod kierunkiem Jarosława Wolanina. Zainteresowanie wzbudził koncert życzeń pt. „Perły kameralistyki” w wykonaniu Śląskiej Orkiestry Kameralnej pod dyktando Roberta Kabary. O muzycznym kunście opowiadali dyrektor Mirosław J. Błaszczyk, prof. Julian Gembalski, który zaprojektował nowe organy a także jako pierwszy zagrał na tym instrumencie podczas koncertu inauguracyjnego, także pianista Zbigniew Raubo i kompozytor prof. Eugeniusz Knapik. Z kolei dzieci zostały zaproszone do udziału w konkursach muzycznych i plastycznych, w których nagrodą były koszulki z napisem „Jestem filharmaniakiem”. Dużym zainteresowaniem wszystkich odwiedzających cieszył się pokaz budowy instrumentów przygotowany przez lutnika Aleksandra Gromka.

Imponująco prezentuje się zmodernizowane wnętrze a także dobudowana, nowoczesna, przeszklona część obiektu, z której rozlega się widok na Katowice, a środek dachu zajmuje patio. Podczas Dni Otwartych można było zwiedzić także miejsca na co dzień niedostępne osobom postronnym. Z kolei na co dzień, nie tylko melomanów zaprasza „podniebna” kawiarenka oraz pomieszczenia, w których można posłuchać muzyki odtwarzanej z płyt CD.

(wk)



Otwarta próba chóru i orkiestry pod dyktando Jarosława Wolanina.



W dobudowanej, przeszklonej części budynku Filharmonii.



Dużym zainteresowaniem cieszył się pokaz budowy instrumentów.



Mistrzowie w drodze na spotkanie z publicznością: kompozytor prof. Eugeniusz Knapik (z lewej) i dyrektor Filharmonii prof. Mirosław J. Błaszczyk.



Dla licznie przybyłych dzieciaków przygotowano konkursy muzyczne i konkursy plastyczne o tematyce muzycznej.

Koronacja obrazu Matki Bożej Opolskiej



– Zgodnie ze zwyczajem papież najpierw ukoronował Dzieciątko, ale że był nieco niższy ode mnie, wspój się na palce, by dotrzeć do głowy Matki Bożej, ale nie dał rady. Wreszcie wyszeptał w moją stronę: Pomóż mi, bo nie sięgam. A ja stałem z bólem, ale tak ponęcony pomogłem i razem umiściliśmy koronę nad głową Matki Bożej – wspomina abp Alfaro Nossol.

Po koronacji obrazu papież odsunął się trochę, uklęknął, popatrzył i wyszeptał: Jaka Ona piękna. Był bardzo rozradowany. Jako wotum dla Matki Bożej Opolskiej zostawił różaniec z penel.

W nasadzie korony wykonanych przez Rafała Lisowicza z Krakowa umieszczono rubiny i kryształy górskie otaczające piero papieski. Z nasady korony wychodzą promienie, które wieniec równoramiennej słońce krzyżów, wysadzany czterema rubinami. Wśród promieni umieszczono też herb Opola i orla Piasztów śląskich. Obie korony (Madonny i Dzieciątko) wieńczy srebrna aureola.

Jedna z plansz wystawy: „Jan Paweł II na Śląsku Opolskim. Pamiętamy”.



Barbara Kamińska członek ZWO, Marszałek Województwa Opolskiego Andrzej Buła, biskup pomocniczy Rudolf Pierskała, Bolesław Tokar filatelista, kolekcjoner znaczków papieskich z Janem Pawłem II podczas otwarcia wystawy.



Solistka Ewa Vesin, dyrygent Bartosz Żurakowski, aktor Andrzej Czernik oraz Filharmonicy Opolscy chwilę po koncercie.



W hołdzie Janowi Pawłowi II

Tydzień po wydarzeniach w Watykanie, regionalna wspólnota samorządowa i diecezjalna dziękowała w opolskiej katedrze za kanonizację Jana Pawła II. Po uroczystej mszy świętej otwarto wystawę „Jan Paweł II na Śląsku Opolskim. Pamiętamy”, przygotowaną przez Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego, ukazującą długoletnie więzi Świętego z województwem opolskim i jego mieszkańcami. Na planszach fotograficznych ukazano koronację obrazu Matki Boskiej Opolskiej na Górze św. Anny, spotkania z duchowieństwem, powstańcami śląskimi, przedstawicielami świata nauki i kultury. Przywołano przejmujące wspomnienia pożegnania Jana Pawła II, a także ślady jego duchowej obecności, owocujące w przestrzeni publicznej nowymi szkołami, instytucjami kultury, noszącymi Jego imię oraz dziełami artystów dedykowanymi Ojcu Świętemu. Dziękczynienie w katedrze zwieńczył uroczysty koncert muzyki polskiej i poezji Karola Wojtyły w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Opolskiej pod batutą Bartosza Żurakowskiego oraz solistów – Ewy Vesin (sopran) i Andrzeja Czernika (recytacje). Publiczność nagrodziła owacjami m.in. znakomite wykonania utworów: *Ojczyzna* i *Kzesany* Wojciecha Kilara oraz *Trzy tańce op. 34* na orkiestrę Henryka Mikołaja Góreckiego. Wydarzeniom w opolskiej katedrze patronował Marszałek Województwa Opolskiego Andrzej Buła i Ordynariusz Opolski ksiądz biskup Andrzej Czaja.

Pamięć owocująca

Z okazji kanonizacji Jana Pawła II samorząd województwa postanowił przypomnieć więzi łączące Karola Wojtyłę – profesora, biskupa i kardynała, a przede wszystkim papieża – z naszym regionem. Na wystawie „Jan Paweł II na Śląsku Opolskim. Pamiętamy” zamieszczono świadectwo w postaci archiwalnych i współczesnych fotografii opatrzonego komentarzem dziennikarza Krzysztofa Ogioldy. Opowieść rozpoczyna się 21 czerwca 1983 r. czarno-białymi kadrami z Góry św. Anny. Papieski helikopter przelatuje nad ziemią nasyoną znakami świętości. W dole widać Kamień Śląski, kolebkę Odrowążów, szczególnie bliskich papieżowi: św. Jacka, błogosławionej Bronisławy i błogosławionego Czesława. Za wzgórzem ponad milion pielgrzymów, tworzących największe zgromadzenie w dziejach Śląska. Przed tronem papieskim przyklękają przedstawiciele NSZZ Solidarność (długie brody przypominają, że wyszli niedawno z więzienia), za nimi powstańcy śląscy niosący w darze „Encyklopedię powstań śląskich”. Podczas koronacji obrazu Matki Boskiej Opolskiej młody biskup Nossol pomaga papieżowi sięgnąć do głowy Dzieciątka. Po chwili Piotr naszych czasów wypowiada na kolanach słowa uwielbienia – *jaka Ona piękna – i zostawia jako wotum różaniec z pereł. Dalej widzimy zdjęcie z lat wczesnej młodości, uśmiechnięty Lolek ze swoim szkolnym kolegą Eugenkiem (Eugeniuszem Mrozem), który zamieszkał po wojnie w Opolu, obok wruszająca scena z ich spotkania po latach w Castel Gandolfo. Osobne plany na wystawie poświęcono osobniami prof. Wojtyły – Alfonsowi Nossolowi, byłemu studentowi a później bliżsiemu współpracownikowi i biskupowi, który przyczynił się do powstania Uniwersytetu Opolskiego, państwowej uczelni utworzonej z połączenia WSP w Opolu z filią Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Nysie, co było możliwe dzięki zgodzie papieża Jana Pawła II. Obecnie Uniwersytet (a w szczególności Wydział Teologiczny) stara się spłacić zaciągnięty dług zaufania dobrym poziomem kształcenia studentów i jakością prowadzonych badań naukowych. Na kolejnych fotografiach przedstawiono bliskie relacje papieża z opolską Alma Mater: scena wręczenia Janowi Pawłowi II tytułu doktora honoris causa UO podczas audycje w Watykanie. Przypomniało również dawne dzieje np. z seminarium na Górze św. Anny w 1955 roku czy z pogrzebu biskupa Franciszka Jopa, którego żegnał podczas mszy żałobnej w opolskiej katedrze już jako kardynał. Postać i działalność Karola Wojtyły – papieża i artysty inspirowała wielu polskich twórców m.in. plastyków i literatów. Skłaniała ich do podejmowania największych wyzwań artystycznych, które intencjonalnie wyrażały się dedykacjami dla Ojca Świętego. Jan Paweł II przyjął w darze monumentalne dzieło „Jezus Chrystus. Poetycka wizja czterech Ewangelii”, które stworzył Harry Duda (blisko 10 tys. linijek trzynastozłogoscem w oryginalnych oktawach) z ilustracjami Bolesława Polnara. Kolejne zdjęcia przedstawiają realizację w przestrzeni publicznej obiektów, którym patronuje Jan Paweł II: Miejską Bibliotekę w Opolu i Gimnazjum w Wolczynie, a także, oprócz brązowych również żywe pomniki papieża – młodych stypendystów Fundacji Dzieła Nowego Tysiąclecia, którzy miejmy nadzieję poniosą w świat papieskie przesłanie pokoju i miłości ogłoszone podczas pamiętnych nieszpórów na Górze św. Anny.*

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Praszka wspominała Stefana Korbońskiego

W 25. rocznicę śmierci Stefana Korbońskiego (1901–1989) w Praszce odbyła się uroczysta sesja Rady Miejskiej poświęcona wybitnej postaci Polskiego Państwa Podziemnego i ruchu ludowego. Ostatni delegat Rządu na Kraj urodził się właśnie w tym mieście. Wśród gości honorowych obecni byli wicemarszałkowie Sejmu i Senatu RP, parlamentarzyści, przedstawiciele władz samorządowych, dyrektorzy szkół oraz instytucji kultury. W pierwszej części sesji miejscowi społecznicy otrzymali „Praszkowe Koziolki” nagrody i wyróżnienia Burmistrza Praszki, po czym w sali widowiskowej Miejskiego Domu Kultury (dawna synagoga), wysłuchano archiwalnych nagrań audycji Radia Wolna Europa z udziałem Stefana Korbońskiego, zrealizowanych w 1984 r. przez redaktora Aleksandra Świejkowskiego (senator RP), który był obecny wśród zaproszonych gości. Następnie głos zabrali historycy. Dr Tomasz Głowaczek (IPN Wrocław) mówił o fenomenie Polskiego Państwa Podziemnego, dr Piotr Stanek (CMJW w Opolu-Lambinowicach) przypomniał konspiracyjną działalność Stefana Korbońskiego, natomiast dr Małgorzata Ptasinska-Wójcik (Uniwersytet Warszawski) przedstawiła jego postać jako żołnierza, polityka, męża stanu, zaś przedstawiciel gospodarzy dr Zbigniew Szczerbik (Muzeum w Praszce) naszkicował postać Zofii Korbońskiej – Honorowej Obywatelki Miasta Praszka. Po wysłuchaniu referatów uczestnicy uroczystości udali się na ulicę Senatorską, gdzie w asyście harcerzy złożono kwiaty pod tablicą upamiętniającą Stefana Korbońskiego. Oficjalne obchody rocznicowe zakończył się otwarciem wystawy „Stefan Korboński 1901–1989” w miejskim muzeum, gdzie goście honorowi otrzymali od dyrektora Ireny Szczepańskiej okolicznościowe medale z wizerunkiem Stefana Korbońskiego.

Dzień ochrony zabytków

W Narodowym Centrum Piosenki w Opolu odbyło się uroczyste spotkanie z okazji Międzynarodowego Dnia Ochrony Zabytków z udziałem wojewody opolskiego Ryszarda Wilczyńskiego i wojewódzkiego konserwatora zabytków Iwony Solisz. Miłośnicy zabytków, przedstawiciele samorządów, organizacji pozarządowych oraz instytucji kultury działających na rzecz ochrony zabytków i dziedzictwa kulturowego wysłuchali wykładów poświęconych polichromiom gotyckim kościoła św. Jakuba w Małujowicach oraz wynikom badań archeologiczno-architektonicznych zamku piastowskiego na opolskim Ostrówku, zaprezentowano również dobre praktyki w dziedzinie prac konserwatorskich na Śląsku Opolskim przedstawione

Jednym zdaniem

■ Ponad 10 tysięcy opolan uczestniczyło w 39. Jarmarku Wielkanocnym w skansenie Muzeum Wsi Opolskiej w Opolu-Bierkowicach, podczas którego wręczono nagrody laureatom konkursu „Kroszonki Opolskie 2014”, odprawiono nabożeństwo drogi krzyżowej z poświęceniem palm wielkanocnych oraz zorganizowano występy artystyczne kapel i zespołów ludowych.

■ Podczas koncertu z okazji 74. rocznicy Zbrodni Katyńskiej zorganizowanego przez Filharmonię Opolską w ramach Dnia Muzyki Opolskiej wystąpiła Orkiestra Kameralna Filharmonii Opolskiej pod dyrekcją Romana Rewakowskiego z solistą Igiorem Ceccho grającym na trąbce.

■ Podczas nadzwyczajnego koncertu finałowego uczestników Kursu Wokalnego prof. Doris Yarrick Cross Yale University w ramach 18. Wielkanocnego Festiwalu im. Ludwiga van Beethovena na scenie Filharmonii Opolskiej w programie muzyki operowej zaprezentowali się: Bożena Bujnicka – sopran, Martyna Cymerman – sopran, Natalia Rubis – Krzeszowiak – sopran, Joanna Motulewicz – mezosopran, Piotr Buszewski – tenor, Lukasz Motkiewicz – baryton oraz Filharmonia Opolska pod batutą Bartosza Żurawskiego.

■ W Muzeum Śląska Opolskiego otwarto wystawę czasową „Od kramu aptecznego do apteki. Z historii opolskich aptek (od II pol. XVI w. do I pol. XX w.) ze zbiorów własnych, prywatnych, a także Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, Archiwum Państwowego w Opolu, Muzeum Farmacji Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum w Krakowie, Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu i Muzeum w Nysie.

w okolicznościowym wydawnictwie. Do najważniejszych osiągnięć zaliczono kompleksowy remont Wieży Piastowskiej, która została laureatem tegorocznego konkursu „Zabytek zadbany” Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w kategorii *najlepsz adaptacja zabytku*. Podczas spotkania uhonorowano osoby zaangażowane w ochronę dóbr kultury. Srebrną odznakę „Za opiekę nad zabytkami” otrzymali: burmistrz Prudnika Franciszek Fejdych, za konsekwentne działania na rzecz ochrony zabytków, rewitalizację i remonty śródmiejskiej architektury oraz Anna Dürr, prowadząca nadzór nad pracami konserwatorskimi kościołów w Rożnowie, Biskupicach, Wierzby Górze, Brzezinkach i Kluczorku. Wyróżniono także Ewę Przybylską, Krzysztofa Fabianowskiego, Radosława Miąska – pracowników opolskiego Urzędu Wojewódzkiego, szczególnie zaangażowanych w renowację Wieży Piastowskiej. Po części oficjalnej uczestnicy obchodów zwiedzili Wieżę Piastowską – najnowszą atrakcję turystyczną Opola, wzbogaconą po remoncie o nowe wyposażenie i okolicznościowe wystawy.

Otwarta Europa – dialog kultur ponad granicami

Uniwersytet Opolski zorganizował międzynarodową konferencję „Otwarta Europa – dialog kultur ponad granicami”, która zainicjowała projekt badawczy pod tym samym tytułem. W jego realizację zaangażowani byli eksperci Centrum Partnerstwa Wschodniego opolskiej uczelni, wśród których znaleźli się m.in. historycy, politolodzy, kulturoznawcy, socjologowie i językoznawcy. Otwierając konferencję, rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. Stanisław S. Niciejca powiedział do zebranych: *„Wszystkim wydawało się, że Europa już się ustabilizowała, kontynent był senny, spokojny, rozwijał się doskonale. Okazuje się jednak, że nie jest stale. Ta konferencja dotyka sedna sprawy – otwartej Europy i dialogu kultur – my jako ludzie kultury, nauki powinniśmy temu służyć. Gościem specjalnym konferencji był ambasador Ukrainy w Polsce Markijan Mal'skyi, który podkreślił, że Ukraincy są dumni z dążenia ich narodu do „Europy innych warunków, stosunków i kontaktów”. – Jesteśmy chyba dzisiaj jedynym krajem na kontynencie europejskim, który życiem swoich obywateli, głównie młodzieży, zapłacił za idee i aspiracje europejskie – mówił ambasador. Zwrócił także uwagę na duże wsparcie ze strony Polski, przypominając, że obecnie na polskich uczelniach studuje blisko 10 tysięcy młodych Ukraińców i realizowanych jest wiele dwustronnych projektów w dziedzinie wymiany studenckiej, projektów badawczych, czy też wspólnych opracowań naukowych. Wszystkim Polakom wspierającym społeczeństwo Ukrainy dziękował słowami: *Nie mamy takiego drugiego sąsiada jak Polska, gdzie więzi ludzkie i współpraca byłaby tak silne. Casy cze od-czuwamy, że mamy przy sobie przyjaciela i czujemy wsparcie.* Na konferencji oprócz polskich uczestników wzięli udział również prelegenci z Czech, Słowacji, Węgier oraz Ukrainy. Organizatorzy przygotowali liczne panele dyskusyjne, poruszające najbardziej aktualne aspekty: dialogu międzykulturowego, wyzwań nowoczesnej dyplomacji, zjawisk kulturowych. Swoją obecność na konferencji zaznaczył również Regionalny Ośrodek Debaty Międzynarodowej w Opolu w postaci stoiska promującego tematykę europejską w kontekście zbliżających się wyborów do Parlamentu Europejskiego.*

■ W opolskiej siedzibie Centralnego Muzeum Jęńców Wojskowych odbyło się spotkanie w ramach cyklu „Twarze Opola” pt. „Ożywienie metalu... Marian Nowak – życie i twórczość” poświęcone rzeźbiarstwu-metaloplastykowi, którego prace stały się rozpoznawalnymi symbolami Opola.

■ W kinie Helios w ramach spotkania z cyklu „HAUSbesuche – Spotkania DOMowe. Polska i niemiecka kultura w dialogu organizowanego przez Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej odbył się (z udziałem reżyserki Róży Romaniec) pokaz filmu „W imię syna – historia zwaź żelaznej kurtyny”.

■ Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej zorganizował koncert pt. „Wolność i Jedność – 25 lat przemian demokratycznych w Polsce i Niemczech” w wykonaniu uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. F. Chopina w Opolu oraz młodych muzyków z Niemiec.

■ W ramach 11. Dni Literatury Dziecięcej i Młodzieżowej „Czytelnik jest równie ważny jak pisarz” w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Jana Pawła II w Opolu otwarto wystawę Książek Roku Polskiej Sekcji IBBY i zorganizowano warsztaty *Aksamitny król, czyli jak zabawki stają się prawdziwe* pod kierunkiem aktorki Teatru Lalki i Aktora w Opolu Agnieszki Biskup-Zyskowskiej oraz liczne spotkania i zajęcia z autorami książek dla dzieci i młodzieży.

■ Kabaret Elita, czyli popularna grupa satyryków rodem z Wrocławia w składzie: Leszek Niedzielski, Jerzy Skoczylas i Stanisław Szele gościł w czedni opolskiej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej na spotkaniu połączonym z promocją książki „Kabaret. Spotkania autorskie”.

W Kompasie Sztuki 2013

Pod egidą Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego od 2007 roku powstaje Kompas Sztuki czyli ranking polskich artystów współczesnych. Najnowszy został opublikowany 17 kwietnia na łamach dziennika „Rzeczpospolita”.

Kompas Sztuki obejmuje twórców zarówno żyjących, jak i zmarłych, uprawiających różne dyscypliny sztuki, których aktywność twórcza przypada na okres po 1945 roku. Stanowi on jedyny w swoim rodzaju przewodnik po polskim rynku sztuki, użyteczny zarówno dla kolekcjonerów, jak i inwestorów. Lista jest układana przez profesjonalistów, przedstawicieli czołowych polskich galerii sztuki współczesnej, komercyjnych oraz publicznych, specjalizujących się w promocji sztuki. W tym roku w typowaniu wzięło udział 76 najlepszych galerii w kraju. Z terenu Śląska są to: Bielska BWA, BWA w Katowicach, Galeria Czas (Będzin), GSW Esta (Gliwice) i GSW Parnas (Katowice).

Ranking 2013 otwierają Alina Szapcznikow, Mirosław Bałka i Tadeusz Kantor. To czołówka najlepiej „sprzedających” się obecnie artystów w świecie.

Podobnie jak w latach ubiegłych przedstawiciele galerii zgłaszali po 10 nazwisk, kierując się osiągnięciami artystów, udziałem w wystawach, publikacjami. W tegorocznej punktacji pojawiło się 288 nazwisk, o 20 więcej niż w roku ubiegłym.

Czy w rankingu 2013 odnaleźć można nazwiska artystów wywodzących się bądź związanych ze Śląskiem? Może nie jest ich tak wiele, jakbyśmy sobie życzyli, ale są. Najwyżej, bo na 21 miejscu, tuż za wspomnianymi już artystami, a także Nowosielskim, Abakanowicz, Opalką, Hasiorem (niespodziewany wzrost zainteresowania sztuką tego artysty w świecie), Strzezińskim, Sasnałem, Althamerem i Dwurnikiem jest Stanisław Grzyb. Miejsce 57 zajmuje Andrzej Szewczyk, kilka miejsc dalej (65) jest Jerzy Duda Grac. Jest też kilku twórców w drugiej setce. Na 130 miejscu Sławomir Brzoska, Bronisław Krzysztof to miejsce 133, a tuż za nim Marek Kuś. Cieszy obecność Ryszarda Grzyba (148), a zwłaszcza wybitnego artysty fotografika Jerzego Lewczyńskiego (157). Są także Waldemar Świerzy (207) i Janusz Karbowniczek (217).

Kompas Sztuki zmienia się wraz ze zmianą zainteresowań kolekcjonerów, i – co podkreślają znawcy tematu – wraz ze świadomością budowania prywatnych kolekcji. Stąd awans wielu nazwisk młodych twórców. Kolekcje dzieł sztuki są traktowane głównie jako lokaty kapitału, dlatego rokroczne tworzenie Kompas Sztuki jest istotnym przedsięwzięciem korzystnym dla obydwu stron – inwestora i twórcy.

Ale nasuwa się refleksja i pytanie o nabywców pojedynczych dzieł. Jak „sprzedaje” się dziś sztukę, wiedzą najlepiej właściciele galerii. A czy na Śląsku w ogóle istnieje rynek sztuki współczesnej? Czy wyspecjalizowane instytucje tworzą własne kolekcje? Co wolimy mieć na ścianach w prywatnych domach i mieszkaniach, a co wieszają w swoich gabinetach zarządzający dużymi firmami? Czy mamy potrzebę posiadania dzieła sztuki – nawet już pomijając kwestię lokaty kapitału.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Pod patronatem „Śląska”

I wojna światowa i czyn Legionów

8 maja 2014 Muzeum Górnośląskie w Bytomiu otworzy wystawę historyczną pt. „I wojna światowa i czyn Legionów”. Na wystawie przedstawiona została symbolika walczących stron, odznaczenia i inne znaki ustanowione i nadawane przez państwa żołnierzom i osobom cywilnym. Pokazywane są również różnego rodzaju dokumenty wojskowe, wydawnictwa i zdjęcia dotyczące I wojny światowej, a także – niestety bardzo nieliczne – pamiątki z pobjawisk.

Jedną z najciekawszych grup eksponatów prezentowanych na wystawie będą pamiątki legionowe oraz te wydawane przez Naczelny Komitet Narodowy – symbolizują one czyn Legionów Polskich. Ważnym elementem wystawy będą odznaki: tajnej Szkoły Oficerskiej Związku Walki Czynnej, zwanej „Parasolem” oraz I Kompanii Kadrowej. Ponadto zaprezentujemy zestaw broni palnej stosowanej w okresie I wojny światowej.

Ekspozycja zorganizowana zostanie w oparciu o zbiory własne oraz udostępnione przez Muzeum Miejskie Wrocławia Oddział Arsenal, Muzeum Wojska Polskiego z Warszawy oraz osoby prywatne. Kuratorem wystawy jest dr Wojciech Moś.



Pocztówka z reprodukcją obrazu A. Setkiewicza, ok. 1916, ze zbiorów Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu.

Pod patronatem „Śląska”

16. Międzynarodowy Festiwal TEATROMANIA

W dniach 23 – 30 maja 2014 odbywać się będzie w Bytomiu szesnasta edycja Międzynarodowego Festiwalu TEATROMANIA. Podczas 15 edycji pokazano 151 spektakli, w tym 31 polskich

Jednym zdaniem

■ W Muzeum Archidiecezjalnym została otwarta wystawa prac rzeźbiarskich Jacka Kicińskiego zatytułowana „Między Calunem Turyńskim a Chustą z Manoppello”.

■ W Galerii foyer Teatru Śląskiego gościła wystawa malarstwa i pasteli „Mój sen o nieśmiertelności” Katarzyny Kani – absolwentki Wydziału Malarstwa ASP w Katowicach.

■ Na koncert z okazji kanonizacji papieża Jana Pawła II w wykonaniu zespołu Cantu Floridus pod dyrekcją Szymona Bywalca zapraszała do Bazyliki o.o. Franciszkanów w Katowicach – Panewnikach Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

■ W Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich odbywała się wystawa pt. „Oblicza Holocaustu. Anna Frank – opowieść współczesna”

premier. Gościli u nas artyści z Rosji, Czech, Norwegii, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Brazylii, Irlandii, Izraela, Korei Płd., USA, Iranu, Kanady, Hongkongu, Hiszpanii, Ukrainy, Portugalii i oczywiście z Polski.

Od 2009 do 2013 roku Teatromanię odwiedziło około 20 tys. widzów.

TEATROMANIA to wydarzenie teatralne o w pełni międzynarodowym programie, który przekracza granice krajów, kultur i pozwala widzom aglomeracji śląskiej na kontakt z najciekawszymi zjawiskami światowego teatru. Zaprezentowane zostanie bogate spektrum zdarzeń, nie zabraknie nowatorskich zjawisk i trendów współczesnego światowego i polskiego teatru. Będzie można zobaczyć wybitne indywidualności świata teatru, ale także młodych twórców, którzy od niedawna przecierają własne teatralne szlaki, co pozwoli na swoistą konfrontację różnych metod pracy i strategii twórczych. Organizatorem TEATROMANII jest Bytomskie Centrum Kultury.

Pod patronatem „Śląska”

Twórczość Franciszka Wyleżucha

Fantastyczne i realne okręty, dziwne drzewa, osaczona przez człowieka natura, tajemnicze wnętrza, powtarzające się motywy okien i drzwi – to tylko niektóre z tematów pojawiających się w grafice i malarstwie Franciszka Wyleżucha, artysty znanego tyszanom przede wszystkim z realizacji mozaikowych, zdobiących budynki Zakładu Elektroniki Górniczej, Miejskiej Biblioteki Publicznej czy Tyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Oskard”. Muzeum Miejskie w Tychach przygotowało wystawę „Franciszek Wyleżuch. Grafika i malarstwo”, która pokaże całą różnorodność twórczości artysty.

Wystawa prezentowana będzie w siedzibie głównej muzeum przy placu Wolności 1. Wernisaż odbędzie się 16 maja. Zwiedzającym wystawa udostępniona zostanie 17 maja i potrwa do września 2014 roku.

Franciszek Wyleżuch urodził się w 1931 roku w Strumieniu. W latach 1951-1957 studiował na katowickim Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowniach Aleksandra Raka i Bogusława Góreckiego. Tuż po uzyskaniu dyplomu, na stałe związał się z Tychami. Jego dorobek artystyczny stanowi grafika warsztatowa, plakat, grafika prasowa i książkowa oraz malarstwo. Równorzędnym nurtem działalności artysty była współpraca ze środowiskiem architektów, w ramach której wykonywał monumentalne dekoracje mozaikowe, malarskie i płaskorzeźbione na budynkach użytkowości publicznej. Intensywnie współpracował z tyskim Miastoprojektem – jest twórcą mozaik na budynkach: Zakładu Elektroniki Górniczej, Tyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Oskard”, centrali Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ul. Wyszyńskiego (współautor Stanisław Kluska) i wielu innych, w tym również nieistniejących (m.in. mozaiki zdobiące elewacje Urzędu Miasta). Dekoracje o charakterze monumentalnym artysta wykonywał również między innymi w Wiśle, Szczyrku i Rabce. Pracował też jako instruktor zajęć plastycznych dla dzieci. Jest laureatem wielu konkursów, głównie z dziedziny grafiki. Prezentował swe prace na kilkudziesięciu wystawach.

Wystawie towarzyszy publikacja, bogato ilustrowana, prezentująca dokonania i prace artysty, a także zdjęcia archiwalne. Autorem tekstu jest Patryk Oczko. Wstęp napisała dr Maria Lipok-Bierwaczonok, dyrektor tyskiego muzeum. Książka dostępna będzie w obu siedzibach muzeum (plac

przygotowana ze zbiorów Muzeum Anny Frank w Amsterdamie.

■ W koncercie „Elżbieta Stefańska przedstawia”, który odbył się w Studio Koncertowym Polskiego Radia Katowice wystąpili: Mariko Kato (klawesyn), Anna Śliwa (skrzypce barokowe) i Tomasz Potaczek (flet barokowy).

■ Galowy spektakl opery G. Rossiniego „Cyruklik sewilski” z okazji jubileuszu 35. lecia pracy artystycznej Tadeusza Leńczaka odbył się 6 kwietnia.

■ W Bibliotece Śląskiej otwarto gabinet twórcy przegod Tomka Wilmowskiego – Alfreda Szklarskiego.

■ 24 kwietnia br. z okazji 100. rocznicy urodzin Jana Karskiego – legendarnego emisariusza i kuriera Polskiego Państwa Podziemnego, dyplo-

Pożegnaliśmy Kryspiana R. Adamczyka

24 kwietnia zmarł Kryspian Ryszard Adamczyk, artysta plastyk, rysownik, grafik, malarz, projektant architektury wystawienniczej i wnętrz. Jego twórczość kojarzyć się będzie zawsze z Sosnowcem, choć mało kto wie, że członek „Grupy Zagłębie” (którą przez wiele lat kierował), plastyk miejski Sosnowca a także inspektor w Wydziale Kultury Urzędu Miejskiego urodził się w Skarżysku Kamiennej. Był absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, dyplom uzyskał w 1959 r. na Wydziale Grafiki w Katowicach. Jego prace brały udział w licznych konkursach i wystawach indywidualnych, ogólnopolskich i międzynarodowych, zdobywając wiele nagród i wyróżnień, m.in. I nagrodę w ogólnopolskim konkursie na projekt znaku i flagi na Światową Wystawę EXPO w Osace; I nagrodę „WAG” za plakat. Otrzymał wiele odznaczeń m. in. Odznakę „Zasłużony Działacz Kultury”, Złotą Odznakę „Zasłużony dla Rozwoju woj. katowickiego”, Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski OOP.

Poznałam Kryspiana w szczególnym momencie, tuż przed stanem wojennym, kiedy to wynajął i zaadaptował jako pracownię strych domu przy alei Zwycięstwa, gdzie mieszkaliśmy. Wkrótce powstało Stowarzyszenie Twórców i Działaczy Kultury, w którym znaleźli się malarze, fotograficy, literaci, nauczyciele, aktorzy, przedstawiciele środowiska akademickiego, dziennikarze... m.in. Zofia Wierzbicka (ówczesna kierowniczka Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Sosnowcu), Elżbieta Solipiwo (dyrektor Biblioteki Miejskiej), Irena Służałek (dyr. Państwowej Szkoły Muzycznej), Eugeniusz Chmiel, Kryspian Adamczyk, Tadeusz Kwaśnik, Roman Chruściel, Jan Pierzchała, Witold Kociński, Stanisław Waliński, Marta Kotowska, Andrzej Slezak... Stowarzyszenie miało użyczoną siedzibę w kawiarni „Tokaj” przy alei Zwycięstwa, gdzie prowadzono dyskusje oraz wygłaszano referaty dla środowiska – wspominał śp. prof. Włodzimierz Wójcik (członek-założyciel stowarzyszenia), z grzeczności tylko nie dodając, że dyskusje ówczesne żarliwe i gorące, wszak czasy były smutne i ponure, znacznie ożywiła działalność „gastronomiczna” lokalu, gdzie „kartki” na napoje wysokie dziwnie nie obowiązywały. Gospodarzami „Tokaju” byli znani sosnowiczanie bracia Hlawscy (znakomity artysta grafik Jerzy Hlawca-Hlawski i plastyk Włodzimierz). Bywało, że długie nocne rozmowy kończyły się w pracowni Kryspiana. Zawsze pogodny, uśmiechnięty, z niezwykłą umiejętnością kryjący złość i wzburzenie. Jego prace pojawiały się wszędzie, gdzie tematem wystawy był plakat, ale swoje artystyczne tęsknoty skrywał głęboko w czeluściach swojej pracowni. Wiele godzin spędziliśmy z Kryspianem, kiedy z niemal z czułością oddawał się malowaniu snujących się po morzu statków. Do dziś widzę jeden z nich: pożółkły w promieniach zachodzącego słońca, odpywający gdzieś w bezkresną dal po wzburzonym morzu...

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Maszyny latające

Z cyklu „Obrazy Mistrzów” tym razem w Ośrodku Kultury w Będzinie gościła wystawa prezentująca prace śląskiego artysty malarza Artura Kolby. Tytuł ekspozycji „Lotne chwile” najlepiej oddaje tematykę dzieł młodego twórcy. *Moje „lotne obrazy” to poszukiwanie sposobu na przekazanie nie dających się do końca sprecyzować transcendentnych doznań związanych z lataniem* – mówi o swojej twórczości artysta. Jest absolwentem Instytutu Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, gdzie w 1992 roku uzyskał dyplom z malarstwa. Ogromny wpływ na twórczość artysty miał Jerzy Wróński, współtwórca Grupy Nowohuckiej a następnie członek Grupy Krakowskiej, autor unikalnego cyklu obrazów-fotogramów, nazwanych kopcioqramami. Artur Kolba już jako dziecko, dzięki ojcu, który był instruktorem latania poznał niepowtarzalny urok postrzegania rzeczywistości z wysokości unoszącej się w chmurach maszyny. Owa fascynacja sprawiła, że... *zachwyty nad pięknem, harmonią, spokojem, miłością, dotyk anioła czy wręcz, namacalną obecność Stwórcy – wszystko to odczuć można tam wysoko w chmurach. Każdy oglądając moje obrazy, może spróbować unieść się wyżej – ponad codzienne ciężenie, które ściga nas w dół. Każdy szuka jednak swoich skrzydeł – zapowiada Artur Kolba.*

Obrazy „igłą malowane”

W kwietniu sale pałacu Mieroszewskich, siedzibę Muzeum Zagłębia w Będzinie rozświetliły bajecznie kolorowe obrazy „igłą malowane” sosnowiczanki Haliny Kwiatkowskiej. Artystka należy do Stowarzyszenia Twórców Kultury Zagłębia Dąbrowskiego a od 2010 r. do Związku Plastyków Artystów Rzeczypospolitej Polskiej – Oddział Śląski w Będzinie. W 2013 r. „Maki” H. Kwiatkowskiej uzyskały Grand Prix na Art Passion Festival 2013. Kolorowe krajobrazy, barwne kwiaty, portrety, martwa natura, zwierzęta oraz repliki znanychmalarzy powstały nie przy pomocy pędzla, ale igły, muliny i kanwy. Hafciarka od kilku lat niezmiennie zdobywa nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Literacko-Plastycznym „Znaszli ten kraj”. Na wystawie można oglądać 40 prac autorki. Wernisaż uświetnił przedpremierowy występ Chóru Sarmatia Ars Bendzinensis pod dyrekcją Marka Piotrowskiego.

Sosnowieckie Dni Muzyki Znanej i Nieznanej

To już 13. edycja festiwalu, którego pomysłodawcą i dyrektorem jest Michał Gó-

ral – dyrektor Klubu im. Jana Kiepury w Sosnowcu. W tym roku festiwal zainaugurował 23 kwietnia koncert orkiestry „Aukso” z udziałem zwycięzcy konkursu „Młody Wirtuoz”, najmłodszym uczestnikiem Międzynarodowego Konkursu im. Menuhina (USA) określanym mianem „cudownego dziecka”, jedenastoletnim Antonim Ingielewiczem (skrzypce). W kolejnych dniach melomani mogli wysłuchać recitalu fortepianowego Huberta Salwarowskiego, koncertu Royal String Quartet, w kościele pw. św. A. Boboli koncertu Schola Gregoriana Pragensis z Pragi i na zakończenie festiwalu w kościele pw. św. Joachima wystąpiła Orkiestra Kameralna Polish Camerata i Zespół Wokalny all’ Antico, którzy wykonali Wielką Mszę h-moll Jana Sebastiana Bacha. Festiwal na stałe zagościł w repertuarze wydarzeń kulturalnych miasta i jak zapewnia jego dyrektor *prezentuje utwory muzyczne należące do szerokiego repertuaru największych sal koncertowych na świecie, czyli takich, które cieszą się ogromną popularnością wśród melomanów.*

Z Czeladzi pod Monte Cassino

W Muzeum Saturn w Czeladzi przygotowano okolicznościową wystawę z okazji 70. rocznicy bitwy pod Monte Cassino. Na ekspozycji zaprezentowane zostały między innymi: medale, odznaczenia, order, emblematy, fotografie należące do czeladzian, którzy brali udział w działaniach zbrojnych pod Monte Cassino. Nie zabrakło także wyposażenia wojskowego z tamtego okresu – bagnatów, karabinów, manierek, nieśmiertelników. Zgromadzone na ekspozycji pamiątki pochodzą z Muzeum Górnośląskiego, a także ze zbiorów prywatnych rodzin żołnierzy. Użytych ich: Elżbieta Dębska, córka Władysława Łakomika, Andrzej Miodyński i Teresa Stąpel – dzieci Mieczysława Miodyńskiego, Maciej Bednarczyk – syn Antoniego Bednarczyka oraz Zbigniew Kościan. Wystawę „Z Czeladzi pod Monte Cassino” można oglądać do 11 maja.

VII Będzińskie Spotkania Teatralne

Po obejrzeniu spektakli finałowych (10–12 kwietnia), jury w składzie: Maria Meyer (aktorka Teatru Rozrywki w Chorzowie), Monika Wachowicz (aktorka Stowarzyszenia Teatralnego A Part), Dariusz Wiktorowicz (aktor i dyrektor TDZ im. J. Dormaniana w Będzinie) przyznało następujące nagrody: pierwsze miejsce ex aequo zajęły teatry: Ecce Homo z Kielca za spektakl „Wybraniec” i Preventorium z Grodzca za spektakl „Drama wersja beta – pamięci Daniela”, na drugim miejscu znalazł się Teatr Eksperymentalnych Poszukiwań Twórczych „Epidemia” z Bierunia za spektakl „Małgorzaty”, na trzecim Teatr Kod z Dębna za spektakl „Koniec”. Wyróżnienie otrzymał Autorski Teatr Ruchu „Wampa” z Tychów za spektakl „1,2,3... szukam” a wyróżnienie aktorskie trafiło do Karoliny Saługi za rolę *babki klozetowej i pindulki* w spektaklu „Oblęd” (Teatr Zbożowy ze Skarżyska-Kamiennej).

Jednym zdaniem

■ 4 kwietnia w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu odbyło się kolejne spotkanie z cyklu „Znane i niezapomniane”, tym razem było ono poświęcone Irenie Kwiatkowskiej i Hance Bielickiej.

■ W Galerii Sztuki „Bez Podziału” w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej 8 kwietnia odbył się wernisaż „Jubileuszowe inspiracje” autorstwa malarzy amatorów, członków Stowarzyszenia Twórców Kultury Zagłębia Dąbrowskiego, które w 2014 roku obchodzi 30-lecie swej działalności.

■ 25 kwietnia w Muzeum w Sosnowcu bohaterką „Wieczoru z poezją” była Jolanta Wychowaniec.

■ Do 15 czerwca dzieła twórców Grupy Janowskiej można podziwiać w Muzeum Miejskim „Sztyngarce” w Dąbrowie Górniczej.

■ 25 kwietnia w Sosnowieckim Centrum Kultury-Zamek Sielecki odbył się koncert polskiej grupy muzycznej grającej muzykę etno-jazzową *Chłopcy kontra Basia*. W repertuarze znalazły się autorskie teksty wokalistki Barbary Derlak.

Jury VI Ogólnopolskiego Konkursu „Siedem grzechów głównych” przyznało wyróżnienie Michałowi Białosowi z Pracowni Rysunku i Malarstwa Ośrodka Kultury w Będzinie za pracę zatytułowaną „Chciwość”.

Jasność notatek po ciemku

Książkowy zbiór recenzji daje im nowe życie. Okazuje się jednak, że nie tylko recenzjom. Daje nowy żywot także spektaklom, teatrom, artystom i wykonawcom. Można się było o tym przekonać podczas promocji 572-stronicowego tomu „Z notatek po ciemku” Magdaleny Legendź wydanego przez Wydział Kultury i Sztuki UM w Bielsku-Białej. 3 kwietnia w Książnicy Beskidzkiej pojawiło się nie tylko liczne grono miłośników teatru, ale także artyści, reżyserzy, dyrektorzy bielskich scen. Wszyscy bez wyjątku podkreślali, jak ważne dla nich są recenzje, zwłaszcza tak dobre, jak pisane już w ciągu 25 lat przez Magdaleny Legendź. Autor wnikliwego i obszernego wstępu Janusz Legoń twierdzi, że uczennica Marty Fik i Jana Błońskiego unika efektownej latwizny i eksponowania „ego”, dzięki czemu zyskała w środowisku niekwestionowany autorytet. Na jej teksty naprawdę się czeka!

Czy ludzie teatru mogą jednak nie czekać na teksty kogoś, kto kocha ludzi teatru? Magdalena Legendź pisze po to, żeby zachęcać widzów do pójścia na spektakle. Wydaje się, iż pisze także po to, żeby zachęcać ludzi teatru do tworzenia lepszych widowisk. Dlatego w swych tekstach nie poddaje autorów przedstawień druzgocącej krytyce. Jest bardzo rzetelna, ale nie robi nikomu przykrości. Stara się dostrzec nawet w słabych inscenizacjach zaletki teatralnej mocy. Nie potępia kogoś, kto „chce dobrze”. Jeśli ktoś „nie chce” – po prostu o nim nie pisze. Zawsze zazdrościłem jej wnikliwości badacza i umiejętności dochodzenia do sedna spektaklu. Przedstawienia chyba rzeczywiście tak wyglądają, jak chce autorka „Z notatek po ciemku”. Jej analizy wydobywają na jasność dnia najciemniejsze nawet metafory widowisk. Mało tego, Magdalena Legendź potrafi także ująć w swobodne ramy opisu – materię gry aktorskiej.

Publikacja – zredagowana nadzwyczaj rzetelnie przez Małgorzatę Słonkę i okraszona szatą graficzną córki autorki Katarzyny Legendź – zawiera nie tylko recenzje spektakli scen bielskich, które pojawiały się na łamach Informatora Kulturalnego Województwa Bielskiego, Gazety Prowincjonalnej, Gońca Teatralnego, Teatru, Teatru Lalek czy Relacji – Interpretacji. Są tam również teksty publicystyczne, wywiady z twórcami teatru i w słowie autorki, w którym analizie bielskie życie teatralne po roku 1989. Jest to zatem poważne kompendium wiedzy o teatrze, jakiego jeszcze w Beskidach nie widziano i jakie tylko ona mogła stworzyć.

Cieszę się z dzieła Magdy Legendź także dlatego, że byłem pierwszy, który ujawnił jej talent. Gdy w 1989 r. objąłem redakcję Informatora Kulturalnego Województwa Bielskiego, potrzebowałem świetnych piór. Na szczęście nie było wówczas o to w Bielsku-Białej trudno. Patrycjusz Pająk i Artur Pałyga byli moimi uczniami. Szukałem jeszcze tylko sekretarza redakcji. Magdę Legendź poleciła znakomita redaktorka Zofia Bożek. Okazało się, że może nie tylko redagować, ale i dobrze, i dużo pisać. Niebawem dokooptowałem jeszcze do grona współpracowników inną teatrolożkę po UJ, dziennikarkę Radia Katowice Danutę Gibas i stworzyliśmy redakcję, która lubowała się w pisaniu o teatrze.

Danutę i Patrycjusza porwały wkrótce warszawskie uczelnie. Dziś są po habilitacjach. Artur wystawia swe sztuki od Krakowa po Budapeszt i Barcelonę. Mimo propozycji, wielkiemu światu oparła się tylko Magda. Bielszczanka z wyboru. Czy dla niej dobrze? Na pewno dobrze dla Bielska-Białej. Bez niej nie byłoby tej jasności „w kwestii” bielskich teatrów, jaką świecą notatki po ciemku.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Transawangarda i „Leonardo” a...

Do 11 maja w Galerii Bielskiej BWA można oglądać wystawy znanych polskich artystów – Ewy Ciepielewskiej („Ręce splamione farbą, czyli 30 lat z transawangardą”) i Zbigniewa Rybczyńskiego („Traktat o obrazie”). Ewa Ciepielewska to jedna ze współzałożycielek wrocławskiej Grupy Luxus. Jak powiada dyrektorka Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz, w swych obrazach olejnych, akrylach i akwarelach artystka odwołuje się do este-



Ewa Ciepielewska, *Zielone uspokaja*

tyki kampu, a także pop-artu, transawangardy i realizmu magicznego. Poszukuje własnych środków wyrazu, znaczenia i miejsca malarstwa we współczesnym świecie. Obrazy najchętniej umieszcza w bezpośrednim otoczeniu przyrody lub innych nietypowych środowiskach wystawienniczych. Organizuje też przedsięwzięcia zaangażowane społecznie i ekologicznie. – Wystawa „Traktat o obrazie” jest niezwykłym zbiorem dokumentów pokazujących drogę artysty do końcowego rezultatu, filmu. Zawiera szkice, rysunki, wykresy, za-



Zbigniew Rybczyński, *Tango 1980*

Jednym zdaniem

■ 3 kwietnia w Książnicy Beskidzkiej odbyło się spotkanie ze słoweńską pisarką i tłumaczką Mają Novak.

■ 5 kwietnia w Galerii – Pubie Bazyliszek wystąpili bielscy bardowie – Daniel Bajor i Roman Nehrebecki.

■ 13 kwietnia w Krakowskim Salonie Poezji w Galerii Bielskiej BWA aktorzy Teatru Polskiego w Bielsku-Białej prezentowali twórczość Karola Wojtyły.

■ Od 22 do 25 kwietnia w salach koncertowych i kościołach Bielska-Białej trwał XV Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Sacrum in Musica”.

■ 25 kwietnia były przewodniczący Parlamentu Europejskiego i premier RP Jerzy Buzek wręczył dyrygentce słynnego zespołu Camerata Silesia Annie Szostak-Myrczek honorowy tytuł „Czechoslawa 2014”.

pis pomysłów i rozwiązań technicznych, prace bardziej naukowca niż artysty. Zbigniew Rybczyński porównywany jest nie bez racji do Leonarda da Vinci. Był on wynalazcą, rozwiązywał problemy i stawiał sobie zadania, o których wcześniej nikt nawet nie pomyślał – twierdzi Agata Smalcerz. Ekspozycja zawiera kilkaset prac na papierze oraz cztery wielkoformatowe prace malarskie. Można także obejrzeć słynne filmy artysty, w tym kultowe „Tango”, „Traktat o obrazie”, przygotowali animatorzy kultury z Centrum Sztuki WRO. Wystawa jest depozytem Art Stations Foundation, a prezentowano ją już w galeriach w Berlinie, Karlsruhe, Wrocławiu i Łodzi.

Madonna wróciła do Żywca

Jedno z najcenniejszych dzieł gotyckiej sztuki sakralnej w Polsce – „Madonna z poziomką” – 15 kwietnia po dwuipółletniej renowacji powróciło do Muzeum Miejskiego w Starym Zamku w Żywcu. Dzieło konserwowały dziekan Wydziału Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki ASP w Krakowie dr hab. Marta Lempart-Geratomska oraz kierownik Pracowni Konserwacji i Restauracji Rzeźby Drewnianej Polichromowanej ASP w Krakowie Barbara Budziaszek. Istnienie siedmiu warstw malarskich na obrazie odkryto podczas konserwacji już w 1980 r. Pod nimi dopiero kryło się arcydzieło malarstwa późnośredniowiecznego. Obraz przedstawia Madonnę tronąjącą z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołów. W lewej dłoni Matka Boska trzyma kwiat poziomki, a na ręce Jezusa przysiadł zielony ptak. Żdaniem żywieckich muzealników to jedyne zachowane przedstawienie Matki Bożej z gałązką poziomki. Na obrazie znajduje się też wizerunek fundatora i jego patrona – św. Andrzeja. Fundatorem był kanonik katedry krakowskiej, żywczanin ks. Andrzej Kozatiusz. Na obrazie widnieje napis „Żywiec 1625”. Badacze przypuszczają, że książd kupił dzieło w Krakowie i kazał na nim umieścić swój wizerunek, nie zdając sobie sprawy, że dzieło pochodzi z II połowy XV w. Obraz jest depozytem konkatedralnej parafii w Żywcu. Po raz pierwszy od renowacji został zaprezentowany 3 maja br. w czasie Piątej Nocy Muzeów.

Młodzieży! Do piór!

Młodzi literaci mogą już szykować teksty na „Lipę”. 27 czerwca 2014 r. upływa bowiem termin nadsyłania utworów literackich na XVIII Ogólnopolski i XXXII Wojewódzki Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej „Lipa 2014” pod patronatem prezydenta Bielska-Białej. W imprezie mogą uczestniczyć dzieci i młodzież ze szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich. Jak co roku laureatami przeglądu zostanie stu autorów najlepszych prac wybranych przez stałe jury w składzie: Tomasz Jastrun, Jan Picheta i Juliusz Wątroba. Nagrodą główną będzie antologia nagrodzonych tekstów. Podczas finału imprezy 17 października br. jak zwykle będzie okazja do udziału w prowadzonych przez jurorów warsztatach, do rozmów z rówieśnikami oraz do wysłuchania koncertu poezji. Prace do sześciu stron znormalizowanego maszynopisu w ilości trzech egzemplarzy należy nadsyłać pod adresem: Spółdzielcze Centrum Kultury „Best” przy SM „Złote Łany” 43-300 Bielsko-Biała, ul. Jutrzenki 22 z dopiskiem „Lipa 2014”. Regulamin imprezy i karta uczestnictwa są dostępne na stronie internetowej.

■ 26 kwietnia Marta Gzowska-Sawicka z zespołem Anashim wystąpiła na Małej Scenie TP w Bielsku-Białej z koncertem pieśni żydowskich „Sekretny ogród”.

■ W kwietniu w piwnicy artystycznej TP „Pod Sceną” odbył się III Podbeskidzki Przegląd Muzyczny.

■ 15 teatrów z 12 krajów zaprezentuje się od 22 do 25 maja podczas XXVI Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Lalkarskiej w Bielsku-Białej.

■ 26 kwietnia w „Galerii na Nowym Mieście” odbył się wernisaż twórczości Joanny Zochowskiej pt. „Maska” towarzyszący II Biennale Cieszyńskiej Wenecji.

■ W kwietniu czechowicki tenor Piotr Beczala odebrał dwie nagrody: Fryderyka w kategorii „artysta roku w muzyce poważnej” oraz Śląszaczkę – nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie.

Rozmowy o poezji

Jako zapowiedź nowej odsłony akcji „Aleje – tu się dzieje”, dostosowanej do oczekiwań mieszkańców i dlatego uzupełnionej m. in. o spotkania literackie, teatralne oraz koncerty muzyki poważnej, co dowodzi, że z kulturą społeczeństwa nie jest najgorzej, jeśli wykluczyć, że zmiany są propagandą edukacyjną, 12 kwietnia najpierw w OPK Gaude Mater, a potem w Carpe Diem odbyło się spotkanie z „poezją [nie] świętą”. Taki zapis zaproponowany przez organizatorów miał zachęcać do rozmaitych skojarzeń, domysłów, choć może właśnie raził wieloznacznością i brakiem wyraźnie określonej grupy docelowej. W konsekwencji ci, którzy obawiali się skandalu lub obrazoburstwa nie przyszli, a awangardystów miejskich także zabrakło. Spotkanie poetek i poetów odbywało się więc niemal w hermetycznym gronie, gdy po raz kolejny dobrem deficytowym okazywał się czytelnik albo chociaż słuchacz, który przyszedł kierowany ciekawością lub umiłowaniem słowa pisanego/mówionego.

Wśród twórców zabrakło zapowiadanego Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego. Organizatorzy podzielili prezentację na część kobiecą i męską, z jakiegoś powodu właśnie płęć czyniąc podstawową kategorią klasyfikującą wiersze, a może kierowała nimi potrzeba jej unieważnienia. Drugim eksponowanym sygnałem identyfikacyjnym był rok urodzenia każdego z twórców, choć ważniejszy byłby np. rok debiutu, pierwszego samodzielnie przeczytanego tomiku czy podjęcie świadomych prób poetyckich. Częstochowę reprezentowali Tomasz Jamroziński, Łukasz Suskiewicz oraz Marcin Zagadło, wypowiadający się zarówno w poezji, jak i w prozie.

Spotkanie miało być okazją, by zastanowić się nad zadaniami poezji współczesnej. Czy wciąż rości sobie prawo do opisywania świata czy raczej skupiła się na majstrowaniu w języku i swoją aktywność ograniczyła do zabaw na słowach o różnym poziomie wyrefinowania. Wśród twórców byli przeciw przedstawiciele różnych zawodów – prawnicy, tłumacze, a także akademicy. Ujawnienie zawodowych profesji pozwoliłoby poznać odpowiedzi na inne, równie intrygujące pytanie, jak poeci radzą sobie z codziennością. Wymienione zagadnienia są tym ważniejsze, że organizatorzy deklarują, iż spotkania odbywać się będą cyklicznie (kwartalnie), więc następane czytanie przypadnie w czasie wakacji, a może nawet w okolicach Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Wierzą też, że staną się one jednym z najważniejszych wydarzeń kulturalnych miasta. Należy więc trzymać kciuki za powodzenie przedsięwzięcia.

Pierwsze zapoznawcze spotkanie poświęcono jednak przede wszystkim prezentacji twórców współczesnych, dla nich zaś była to okazja do spotkania i rozmów. To chyba trochę za mało dla „poezji [nie] świętej”, czyli tej pobawionej patosu, codziennej, jak i po prostu niegrzecznej czy zaangażowanej. Mam tylko nadzieję, że określenie to nie wynikało z jakiegoś miejscowego kompleksu czy fanatycznej potrzeby pozostawiania w jawnej opozycji wobec Jasnej Góry. Określenia „święte miasto”, „miasto świętej wiozy” funkcjonują już niemal jako stereotypowe perefrazy Częstochowy, więc może tytułowa kategoria miała w założeniu wskazywać po prostu na poezję nieczęstochowską, a więc nieprovincjonalną i zdecydowanie odcinającą się od rymów częstochowskich, choćby świadomym użyciem pastiszowym. Osobiście bardziej niż świętości poezji bałabym się jej ugrzecznienia, co jest równoznaczne z podporządkowaniem się jakiegokolwiek konwencji, nawet tej najbardziej obrazoburczej. Ale czy poszukiwanie prawdy brzmi współcześnie wystarczająco poważnie?

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Tegoroczny konkurs bez Grand Prix

Gwiazdą 7. Festiwalu im. Kaliny Jędrusik była tak chętnie występująca w czerni, Edyta Geppert. Koncert piosenkarki odbył się 21 marca w sali Miejskiego Domu Kultury, a bilety zostały wysprzedane na długo przed spotkaniem.

Następnego dnia w OPK Gaude Mater w godzinach przedpołudniowych artystka wraz z Piotrem Loreztem (aktorem i pedagogiem) oraz Januszem Siadlakiem (założycielem i dyrygentem częstochowskiego chóru Collegium Cantorum) oceniali występy wokalne uczestników. Konkurs Dobrej Piosenki przeznaczony jest dla osób przed debiutem bez ograniczeń wiekowych. W tym roku każdy uczestnik musiał zaśpiewać piosenkę z repertuaru Edyty Geppert. Do publicznych przesłuchań zakwalifikowano 21 osób, ale ostatecznie jedna z nich nie wystąpiła.

Jury doceniło poziom uczestników, chociaż nie przyznało Grand Prix i dokonało nieco innego podziału nagród – drugą otrzymał Piotr Żubek z Warszawy, a trzecie *ex aequo*: Nikola Warda z Legnicy, Małgorzata Chruściel z Rzeszowa i Małgorzata Biniek z Kalisza. Spośród wyróżnionych jedynie Chruściel debiutowała w konkursie, pozostali w poprzednim roku zajęli odpowiednio drugie i trzecie miejsca. Inaczej niż w poprzednich latach wśród wyróżnionych zabrakło reprezentantów naszego regionu.

Sobotni wieczór zakończył się finałowym występem nagrodzonych oraz recitalem zeszlorzeczonej laureatki, Igi Kozackiej, studentki wokalistyki jazzowej w Akademii Muzycznej w Katowicach i solistki grupy Yves.

Rzeczywistość nierzeczywista

Od 7 marca do końca maja w Galerii Dobrej Sztuki można zwiedzać wystawę *Rzeczywistość kształtowana – deformacja i stylizacja w sztuce*, przygotowaną ze zbiorów Muzeum Częstochockiego, a także dzięki uprzejmości autorów oraz Galerii Sztuki Współczesnej *Trzy kolory*. Znaczącą grupę stanowią prace artystów częstochowian, powstałe od lat 50. XX wieku aż do dziś. Cztery sale zagospodarowano tematycznie. Wystawa udowadnia, że amimetyczność w sztuce to nie tylko układy abstrakcyjne, ale także groteska i różnego rodzaju techniki deformacji.

Sala pierwsza poświęcona karykaturze prezentuje m.in. prace Stanisława Fijałkowskiego, Jerzego Dudy-Gracza, Janusza Przybyskiego, Przemysława Kossakowskiego, Jacka Pałuchy czy Adama Macedońskiego. Artyści ujawniają nonsensy rzeczywistości, zastanawiają się nad współczesną recepcją sztuki (np. *Dama z kotem* Pałuchy). Pojawia się tu również sztuka wyraźnie użytkowa, np. ilustracje Dudy-Gracza do tekstu Joanna Kulmowej czy Antoniego Uniechowskiego do *Preliminariów peregrynacji do Ziemi Świętej* J. O. księcia Radziwiłła Sirotki Juliusza Słowackiego.

Jednym zdaniem

■ Zagrali – klub Rura: Kamil Bednarek, Dommowe Melodie; Browar Częstochovia: Drake; Filharmonia: Mietek Sześciński. Chór Armii Alexandra Poustalowa; Klub Muzyczny Klimaty: Kasa Chorych; plac Biegańskiego: Janusz Yanina Iwański, Mrozu;

■ W MGS-ie malarstwo Piotra Jakuba Mięgi, rzeźby Bartłomieja Węgrzyna; w CPM-ie *Workers of the artworld unite*, wystawa będąca efektem strajku artystów *Dzień bez sztuki* (24 maja 2012); w Galerii ART-FOTO prace Renaty Wojskiej *Zauroczone światłem i cieniem*; w OPK Gaude Mater wystawa ikon *Wędrujący Święci* – plener odbywał się w wolińskiej wsi Zamłyne już po raz trzeci;

W drugiej sali można obejrzyć rozmaite eksperymenty z formą; są tu obrazy Marii Jaremy, Aleksandra Blondera czy Tymoteusza Niesiołowskiego, a z częstochowan – Dariusza Pali oraz Małgorzaty Stępiak.

Dwie kolejne sale ujawniają rozmaite przejawy brzydoty; to zarówno zdegradowane i niewyraźne postacie z prac Zdzisława Lachura, artyści żydowskiego pochodzenia, jak i chęć oceny groteskowej rzeczywistości: cykl *Rowerzysta* Wejmiana o anonimowej jednostce w tłumie ludzi, harpia ze *Wzlotu* Adama Hofmanna, grafiki Mariana Maliny, *Szkola* Jacka Gaja, nieodparcie kojarząca się z *Ferdynandem* Witolda Gombrowicza czy *Gracz* przypominający wizję Polski jako sztafety pokoleń. Na honorowym miejscu umieszczono *Barok* Edwarda Dwurnika.

Watch Docs po raz dwunasty

Od 9 do 11 kwietnia w AJD w Częstochowie, Carpe Diem oraz OKF Iluzja odbył się Festiwal Filmowy Watch Docs – Prawa Człowieka w Filmie. Imprezę przygotowali m.in. Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Centrum Sztuki Współczesnej, Zamek Ujazdowski w Warszawie, Społeczny Instytut Filmowy, a z Częstochowy – Wydział Pedagogiczny AJD oraz koła studenckie.

Prezentacji ponad trzydziestu filmów towarzyszyło wiele imprez dodatkowych: konferencja *Prawa człowieka wczoraj, dzisiaj i jutro. Między sensem (duchem) a informacją (literą)*, panele dyskusyjne, warsztaty asertywności, konsultacje dietetyczne, koncerty, a także wystawa zdjęć *Człowiek Istota Ludzka*. W tym czasie zorganizowano także wiele spotkań m.in. z Maciejem Sopyłą (Helsińska Fundacja Praw Człowieka), Magdaleną Gajdą (rzeczniczka osób chorych na otłuszczenie) czy Przemysłem Szczepockim (ze Stowarzyszenia Różnorodności). Koordynatorką akcji była Barbara Wallus.

Wielkopostna muzyka

Nim jeszcze zabrzmiało najbardziej znane alleluja z *Mesjasza* G.F. Händla, częstochowianie mogli zanurzyć się w dźwiękach i tekstach kojarzonych z Wielkim Postem. Impulsem mogło być Grand Prix X Przeglądu Pieśni Pasyjnej i Pokutnej w Koziegłówkach przyznane Chórowi Męskiemu Pochodnia, ale przede wszystkim propozycje filharmoników przygotowane i zaprezentowane pod kierunkiem dyrektora artystycznego Adama Kłocka.

28 marca zaprezentowano *Symfonię pieśni żalobnych* z udziałem sopranistki Elżbiety Towarnickiej. W programie znalazły się *Jasności promieniste* Mikołaja Góreckiego oraz *Symfonia pieśni żalobnych* Henryka Mikołaja Góreckiego, utwory wykorzystujące teksty Czesława Miłozza: *Ajeżeli*, *Ogrodnik*, *Jasności promieniste*, *Lament świętokrzyski*, ale również inskrypcję z niemieckiego więzienia w Zakopanem czy piosenkę ludową z okolic Opola.

Następnie 11 kwietnia w czasie Koncertu Pasyjnego przypomniano jedno z najbardziej tajemniczych dzieł – *Requiem d-moll KV 626* W.A. Mozarta. Oprócz miejscowych muzyków i chóru Collegium Cantorum wystąpili także soliści: Krystyna Nowak (sopran), Justyna Kopiszka (alt), Paweł Brożek (tenor), Marek Paśko (bas). Prelekcję przed koncertem przygotowała Wanda Malko.

■ W Filharmonii Częstochowskiej w koncercie Queen Symfonicznie udział wzięli Orkiestra Alla Vienna, Chór Vivid Singers oraz Sebastian Machalski; aranżacje przygotował Jan Niedźwiedzki (na co dzień kontrabasista Filharmonii Łódzkiej);

■ W OPK Gaude Mater promocja tomiku wierszy Ryszarda Sidorowicza;

■ W MDK-u Częstochowski Zjazd Ligi Teatrów Studenckich;

■ W Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie promocja płyty *Nie daj się zjeść* Agaty Ślasyk, artystki Piwnicy pod Baranami, na pianinie towarzyszył jej Tomasz Kmiecik.

Ponownie okazało się, że „Zaolzie potrafi”

Aktor, historyk i dwóch wicewójtów. Zaolziacy, którym „się udało”. A więc mieszkający w Pradze: Jan Szymik i Roman Baron oraz wciąż siedzący nad Olzą: Bogusław Raszka i Roman Wróbel byli gośćmi talk show Izabeli Wałaskiej „Zaolzie potrafi”, którego trzecia już edycja odbyła się 11 kwietnia w czesko-cieszyńskim ośrodku kultury „Strzelnica”.

– Osobiście uważam, że w ludziach z Zaolzia tkwi wielki potencjał. Często mam jednak wrażenie, że osoby, które rzeczywiście mają się czym pochwalić, boją się zaprezentować. Jeśli więc imprezy z cyklu „Zaolzie potrafi” zmienią tę sytuację, będzie to dla mnie dużą satysfakcją – mówiła Izabela Wałaska, gdy przed ponad dwoma laty przystępowała do organizacji kampanii „Zaolzie potrafi”. I widać udaje się, skoro talk show z Zaolziakami w roli głównej odbyło się już po raz trzeci.

Każdy z gości krótko się przedstawił. Wróbel przypomniał, że jest nie tylko wicewójtem Bystrzycy, ale też dyrektorem polskiej szkoły im. Stanisława Hadyny. Baron witał się z prowadzącą i publicznością wierszem Adama Mickiewicza „Do Lelewela”, parafrazując słowa Wieszcza: „żeś znad Olzy, żeś Polak, mieszkaniec Europy”. Szymik wspominał nie tylko o polskich szkołach i przedszkolu, ale też o studiach na praskiej DAMU i teatrach, w których grał (Pardubice, Kladno, Praga). Raszka zaś stwierdził, że jest nie tylko wicewójtem Wędryni, ale też prezesem tamtejszego Koła PZKO.

Goście opowiadali, bardzo dowcipnie, o pracy, zainteresowaniach, sukcesach, o tym, co znaczy dla nich Zaolzie. Odpowiadali nie tylko na pytania Izabeli Wałaskiej, ale też publiczności, którą ciekawiło na przykład, czym jest dla nich Zaolzie, z czym im się kojarzy. – Kojarzę je z ciepłem, bo tam, gdzie jest ciepło, z reguły jest miło, sympatycznie i przyjemnie – stwierdził Roman Wróbel. – Człowiek powinien być mądry, ale musi mówić ludzkim językiem. I tak powinno być i na Zaolziu. Musimy być dumni z tego, co posiadamy i czym możemy się pochlubić – odpowiedział Bogusław Raszka. – Dla mnie Zaolzie to na pewno korzenie. Człowiek może być gdziekolwiek w świecie, ale korzenie ma tylko jedno. A te są „tu stela” – podkreślił Jan Szymik. – „Ojcowski dom, to istny raj”. To wszystko – dodał Roman Baron.

Imprezie, która jak zwykle odbywała się pod patronatem Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, towarzyszył bogaty program. Była świetna muzyka w wykonaniu wokalistek Danieli Czudek i Tamary Tomoszek oraz kapeli w składzie: Tomasz Lasota, Zdeněk Holka i Jan Andryšek. Można było zwiędzać wystawę fotografii „Bliski sercom. Rekonstrukcje” autorstwa ks. Kazimierza Suchanka i Mariany Siedlaczka lub zakupić polskie książki na stoisku Klubu Polskiej Książki i Prasy.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

O mniejszościach w nowym składzie

Czeski premier, Bohuslav Sobotka, na mocy uchwały Rządu Republiki Czeskiej z dnia 16 kwietnia powołał nową Radę Rządu RC ds. Mniejszości Narodowych. Minister ds. praw człowieka, równości szans i prawodawstwa, Jiří Dienstbier, zwołał pierwsze posiedzenie Rady na 14 maja.

Członkami Rady jest osiemnastu przedstawicieli wszystkich mniejszości narodowych żyjących na terenie RC: białoruskiej, bułgarskiej, chorwackiej, węgierskiej, niemieckiej, romskiej, rusińskiej, rosyjskiej, greckiej, słowackiej, serbskiej, ukraińskiej, wietnamskiej i polskiej. Oprócz nich w posiedzeniach będą brać udział także reprezentanci Asocjacji Województw RC oraz Związku Miast i Gmin RC. Polska mniejszość będzie miała w Radzie ponownie dwóch przedstawicieli: Dariusza Branego, który został nominowany przez Kongres Polaków oraz Eugeniusza Delonga, nominowanego przez Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Zastąpią oni na tych stanowiskach Tadeusza Wantuła (Kongres) i Władysława Niedobę (PZKO), którzy reprezentowali polską społeczność w Pradze przez poprzednie dwie kadencje.

– Członkowie Rady Rządu ds. Mniejszości Narodowych mogą w niej pracować najwyżej przez dwie kadencje rządu. Jeśli były one krótsze, ten czas odpowiednio się później przedłuża. Niemniej w myśl tej zasady Wantuła i Niedoba musieli zrezygnować z tej funkcji, a Kongres Polaków i PZKO musiały wysunąć nowe kandydatury – wyjaśnił Dariusz Branego. Dodał, że dobrze się stało, iż polska mniejszość może mieć nadal swoich dwóch przedstawicieli w Radzie. – Dzięki temu możemy być na bieżąco informowani o wszystkim, co nas dotyczy. Na pewno będę śledził wszystkie dla nas ważne sprawy i aktywnie w nich uczestniczył – zapewnił Branego.

Teatralna Wielkanoc „po naszymu”

Trzy przedstawienia wystawiły na tegoroczną Wielką Niedzielę nasze amatorskie zespoły teatralne. Miłośnicy gwarowych widowisk mogli zajrzeć do hotelu „Pod Akáty” w Łomnej Dolnej, gdzie Klub Młodych działający przy Miejscowym Ko-

le PZKO przygotował dwie sztuki (w tym jedną zupełnie nową, napisaną przez miejscowego twórcę Bronisława Procnera) lub do Domu PZKO Milików-Centrum – tam na widzów czekała teatralna uczta na podstawie scenariusza jabłonkowiec Zbigniewa Sikory.

– Gynś to je taki ptok, co sere po placu – tłumaczył miastowym wnukom starzik ze sztuki Bronisława Procnera. Wkrótce musiał się również tłumaczyć, gdzie ma pieniądze ze sprzedaży krowy, w końcu córce i zięciowi przydałaby się... nowa Honda. W drugiej części teatralnej imprezy w Łomnej Dolnej aktorzy postawili na regionalną klasykę, wystawiając „Sumeryję u Drzazgały”. Oba przedstawienia wywoływały salwy śmiechu licznie zebranej publiczności.

Również w Milikowie śmiechu było co nie miara. – Baby gorzolce nierozumim! – przekonywał Hadam, jeden z głównych bohaterów „Semetryki”, sztuki napisanej przez Zbigniewa Sikorę. Sam autor scenariusza również był na widowni i zaśmiewał się do łez. Jak przyznał, adaptację swojej sztuki widział po raz pierwszy, a „Semetryka” to jego pierwsze, lecz być może nie ostatnie gwarowe dzieło.

Trzy jubileusze „Przełęczą”

Miłośnicy śpiewu chóralnego z całego regionu zapełnili w ostatnią sobotę kwietnia do ostatniego miejsca salę odnowionego Domu PZKO w Mostach koło Jabłonkowa. Zwiąbił ich koncert jubileuszowy obchodzącego w sobotę 60. urodziny chóru mieszanego „Przełęcz”. Jubileusz był jednak więcej. Świętowano też 40-lecie pracy z zespołem jego dyrygentki, Haliny Niedoby. A ponieważ tego świętowania było chórzystom i publiczności za mało, przypomniano, że pani Halina obchodziła niedawno 80. urodziny.

Chór-jubilat zaprezentował podczas koncertu, który brawurowo poprowadził Lech Lupiński, przekrój całego swojego repertuaru. Były utwory poważniejsze i sakralne, nie zabrakło pieśni ludowych czy tych spod znaku lżejszej muzy. Zaśpiewali soliści: Tařana Lasotová i Władysław Czepiec, a na fortepianie akompaniowała chórowi Krystyna Pyszko.

Wiązanką pieśni ludowych obdarowała jubilatka zespólki śpiewaczy z miejscowej polskiej podstawówki, pracujący pod kierownictwem Elwiry Zwyrtek (dzieci przekonywały, że „jak jo se zaśpiywóm tym mosteckim głosem, to mi nie dorówno cieszynioków osiom”). Piękną niespodzianką sprawiły Halinie Niedobie także członkinie prowadzonego przez nią przed laty (i to przez całe 20 lat) zespołu wokalnego „Przełęczanki”, które zaśpiewały znowu razem na scenie po długiej przerwie, czyniąc to tylko z okazji jubileuszy swojej kierowniczk.

Goście koncertu mogli obejrzeć również ciekawą wystawę jubileuszową z wieloma zdjęciami i materiałami z historii „Przełęczą”.

Jednym zdaniem

■ Kazimierz Santarius nie żyje. Dziennikarz „Głosu Ludu” współpracujący z wielu innymi polskimi mediami zmarł w środę 16 kwietnia wieczorem po długiej i ciężkiej chorobie... Miał 69 lat.

■ W ostatnią środę kwietnia zakończyły się zapisy do polskich przedszkoli na Zaolziu. Ostatnią była placówka w Wędryni. Po nieco słabszym roku, kiedy do tego przedszkola uczęszcza 26 dzieci, zapowiada się rok „bogatszy”. Przedszkolaków ma być we wrześniu ponad trzydzieścia.

■ 29 kwietnia w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Cieszynie rozpoczął się 16. Przegląd Filmowy Kino na Granicy. Do niedzieli w kilku miejscach Cieszyna i Czeskiej Cieszyna wyświetlono ponad 100 filmów, w tym wiele nowości z czeskiej, polskiej i słowackiej kinematografii.

■ Z nadwąga, brakiem ruchu i złym stylem odżywiania młodzieży postanowiła walczyć Polska Szkoła Podstawowa im. S. Hadyny w Bystrzycy. Wspólnie ze czeską podstawówką w Bystrzycy oraz gimnazjum w Brennej realizuje w ramach Programu Operacyjnego Współpracy Transgranicznej projekt pod nazwą „Młodzież – patologie cywilizacyjne”.

■ Dzieci z polskich przedszkoli z całego Zaolzia zjechały 23 kwietnia do Czeskiej Cieszyna. W trakcie Przeglądu Recytacji Przedszkoli na scenie Ośrodka Kultury „Strzelnica” zabrzmiały najpopularniejsze polskie wiersze dla dzieci.

■ Dyrekcja Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie oraz Komisja Przedmiotowa Wychowania Plastycznego ogłosiły konkurs na najlepszą ilustrację dowolnego utworu Juliusza Słowackiego pod tytułem „Ilustruj Słowackiego”.

■ Utwory Juliusza Słowackiego, Adama Mickiewicza, Stanisława Wyspiańskiego czy piosenki krakowskiej Piwnicy pod Baranami zaprezentowali 11 kwietnia nad Olzą członkowie Kawiarenki Literackiej Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Juliusza Słowackiego w Chorzwie. Występ w czesko-cieszyńskiej kawiarni Avion/Noiva podsumował 20 lat kontaktów młodzieży z Chorzwą z Zaolziem.

■ W Dniu Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej, obchodzonym 13 kwietnia przez Polaków na całym świecie, pamięć swoich najbliższych: polskich oficerów pomordowanych przez NKWD na „nieludzkiej ziemi”, uczcili członkowie Stowarzyszenia „Rodzina Katyńska” w RC pod pomnikiem na Koneszczyńcu w Czeskim Cieszynie.

■ 31 aktorów wystąpiło 16 kwietnia na scenie w restauracji „U Burego” w Gródku. Zespól teatralny był wyjątkowy – składał się ze wszystkich uczniów miejscowej polskiej podstawówki. Przedstawienie, w którym udział bierze cała szkoła, odbywa się tu co dwa lata.

Tylko najwięksi artyści potrafią docenić znaczenie ciszy, pauzy i kropki. Czy to w muzyce czy w poezji rola, jaką mają do spełnienia jest taka sama – pozwolić wybrzmieć emocjom. Oddzielają słowo od słowa, dźwięk od dźwięku, pozwalają odbiorcy na „wejście” w dzieło, na zachłyśnięcie się chwilą, na stworzenie swoistej jedni twórcy dzieła, często wykonawcy i odbiorcy.

Malarstwo nie potrzebuje pośredników – wykonawców. Twórca i wykonawca jest tą samą osobą. Nie zachodzi obawa o interpretację, o zrozumienie dzieła i sposób jego przekazu. Odbiorca też staje wobec dzieła malarskiego sam – nie ma interpretatora. Dialog, jaki wytwarza się między twórcą a odbiorcą jest zatem bardzo intymny, a akceptacja i zachwyty nie są wyrażane oklaskami czy innymi gestami. Oglądający obraz jest jak dyrygent analizujący partyturę, czyli graficzny zapis utworu i poszukujący sposobu na interpretację dzieła przy pomocy instrumentu jakim jest orkiestra. Każdy znak – we współczesnych kompozycjach są to nie tylko klasyczne nuty, ale całe obrazy graficzne – przynosi określoną przestrzeń brzmieniową, jeszcze nie słyszalną fizycznie, ale bużującą w wyobraźni i umyśle kompozytora. Ciągi następujących po sobie znaków tworzą płaszczyzny, które układając się w określone całości, pozwalają „usłyszeć” bogactwo brzmieniowe utworu.

Takie też są obrazy Zbigniewa Blukacza. Stając przed nimi można odnieść wrażenie, że pomiędzy obrazem a oglądającym zawieszona jest jakaś kurtyna dźwiękoszczelna. Przymykając oczy i uruchamiając wyobraźnię, można usłyszeć gwar na nadmorskiej plaży, chrzęst rozdeptywanych suchych gałęzi w leśnych ostępach, także ciężki oddech młodych tancerek po trudach prób. Wpatrując się w torowiska wkrótce świst nadjeżdżających pociągów rozetnie wszechobecną ciszę, a ulewny deszcz także wycieraczkom rytmicznie przesuwając się po szybie samochodu. Poznamy się jesiennej wichury i muśnięcie letniego zefiru zapłatanego w bezkresne łąki i pola. Ale na tym nie koniec. Blukacz to przecież mistrz światła. Raz oślepią rozedrganym palącym słońcem, innym razem razi snopem reflektorów lokomotywy. Na horyzoncie ustawa setki światełek sygnalizujących oddaloną od miejsca, w którym sam się znajduje, obecność innych ludzi. W kałużach przegląda się niebo, ale też błoto i grdy ziemi, które ją oblepiają. Zaglądamy w te oka, szukając jak w rosale na talerzu, co skrywają poza odbiciem, które zmieni się wraz z porą dnia, przesuwanymi się chmurami, wschodzącym bądź zachodzącym słońcem. Patrzymy na nie z góry, z boku, ale też kucając jak dziecko, by być jak najbliżej tej tajemnicy.

Twórca tych malarskich symfonii zabrał nas w tę podróż przed wieloma laty. Nie



Otwarcie wystawy „Mapy światła” w Rondzie Sztuki, 29 stycznia 2014 r. Od lewej: autor wystawy – Zbigniew Blukacz, profesor na co dzień związany z katowicką ASP, rektor ASP prof. Antoni Cygan i Adrian Chorebała.

Międzyświatlne podróże Blukacza

sposób wsiąść z tego wehikułu przemieszczającego się w czasie i przestrzeni. Z jego okien widać przestrzenie, jakich sami nigdy byśmy nie dostrzegli. Od czasu do czasu jest przystanek – pauza, cisza, kropka... Zwyczajny stop na skrzyżowaniu dróg. To czas na rozejrzenie się, na sprawdzenie czy to faktycznie rzeczywistość, a jeśli tak, to jaka. Oszołomieni podróżą dochodzimy do wniosku, że świat, jaki roztacza przed nami Zbigniew Blukacz, do którego otwiera, bądź tylko uchyla kolejne drzwi, jest tą rzeczywistością najzwyczajniejszą, najbliższą. Lecz by jej doświadczyć potrzebna jest samotność. Ta metafizyczna, pozwalająca na dystans wobec samego siebie, wyzwalająca refleksję, zachwyty, pozwalająca dojrzeć inny świat.

Kiedy już nauczyliśmy się patrzeć i widzieć, artysta – malując swój kolejny cykl obrazów – kazał nam wykupić bilet do zupełnie innej krainy. Uniósł nas w przestworza. To przecież takie zwyczajne czynności człowieka żyjącego we współczesnym świecie – a to jedzie pociągiem, a to wsiada w samochód i pokonuje kilometry dróg za dnia i wieczorami, czasem nocą, w deszczu, słońcu, od czasu do czasu wyjeżdża na urlop – gapi się w słońce, chodzi leśnymi ścieżkami. W końcu używa też samolotów i mieszka w wieżowcach – a z tych wysokości widzimy zupełnie inny świat. Znad brzegu kałuży, z wiaduktu kolejowego unieśliśmy się w powietrze. Miasta, miasteczka, drogi żyją – zwłaszcza nocą, kiedy zewsząd otacza nas ciemność. Miliony światła, świejących punkcików tworzących misterną pajęczynę. Czy nas osacza? Raczej nie – przyglądamy się jej w zachwycie, z niedowierzaniem, że to nasz świat, że sami go wymy-

śliśmy, że jesteśmy jego częścią. Cykl tych obrazów Zbigniew Blukacz nazwał „Mapy światła”. Mapy? Oczywiście! Są jak astronomiczne mapy... nieba, ale oglądane á rebours. Odbicie nieba na ziemi? Kosmogonie, Mleczne Drogi, galaktyki, mgławice? Niebo nad nami i niebo pod stopami – a my pomiędzy: tylko czy pomiędzy niebem... niebem? czy niebem a ziemią? Zawieszeni w kosmicznej przestrzeni. Pod nami oceany światła, którymi utkana jest czerń ziemi, i wody oceanu, wyspy światła, góry światła, przestrzenie pocięte jak „od linijki” – to miasta zapewne, wzdłuż prostych ulic miliony oświetlonych samochodów podążając jak mrówki w uporządkowanej kolejności: od światła do światła. Na czerwony – stop, na zielonym – jazda. Czerń asfaltu, czerń nieba. Jak spadnie deszcz – wszystko się rozmywa, traci ostrość. Przecieramy oczy, uruchamiamy w samochodzie wycieraczki, odzyskujemy zwyczajny obraz. Czy zwyczajny? I znów nie chce się wysiadać z tego wehikułu, który pokazał nam inny świat. Utwierdzamy się tylko

w przekonaniu że ciągle patrzymy, ale wielu rzeczy nie widzimy. Z okien domów wydobycyją się kolejne miliony czerwonych i białych światła. Czasem obniżamy lot – wzdłuż ścian wysokościowców, aż po zwyczajną ulicę. Dotykamy przestrzeni – czasem znajomych, rozpoznawalnych. Ze też w ten sposób można widzieć to, co codziennie oglądamy? I znów cisza, pauza i kropka...

Wysiadamy, ale oby na chwilę. Podczas kilkuletniej podróży odwiedziliśmy obszary nazwane przez artystę *Terra incognita*, byliśmy *Poza horyzontem*, słyszeliśmy *Pieśń Drzew*, dowiedzieliśmy się jak wygląda świat *Po deszczu*, dotknęliśmy *Punkt widzenia*. Teraz poznajemy rozsadzające ramy wielkoformatowych obrazów *Mapy światła*. I wiemy jedno – tym co łączy przestrzeń nad nami z przestrzenią pod nami jest światło. Czy jesteśmy zagubieni w tej międzyświatlnej przestrzeni? Chyba nie. Bo jesteśmy częścią i jednej i drugiej.

Zbigniew Blukacz za pośrednictwem kolejnego cyklu obrazów, za pomocą barwnych układów, punktów, plam, drobiazgowych i precyzyjnych dotknięć pedzla – jak nikt inny, absolutnie po mistrzowsku, bardzo pewnie, jednak czasem jakby z pewnym zaniepokojeniem, opowiada o sobie i o każdym z nas. Ja i obrazy, ja i przestrzeń, gdzie jest moje miejsce... Nasz pejzaż wewnętrzny, nasza wewnętrzna przestrzeń, to obszar tak samo niejednoznaczny i niedefiniowalny, nieodgadniony jak pejzaż zewnętrzny – jak by na niego nie patrzeć. Nasza wewnętrzna partytura – choć raz zapisana, zawsze inaczej odczytywana.

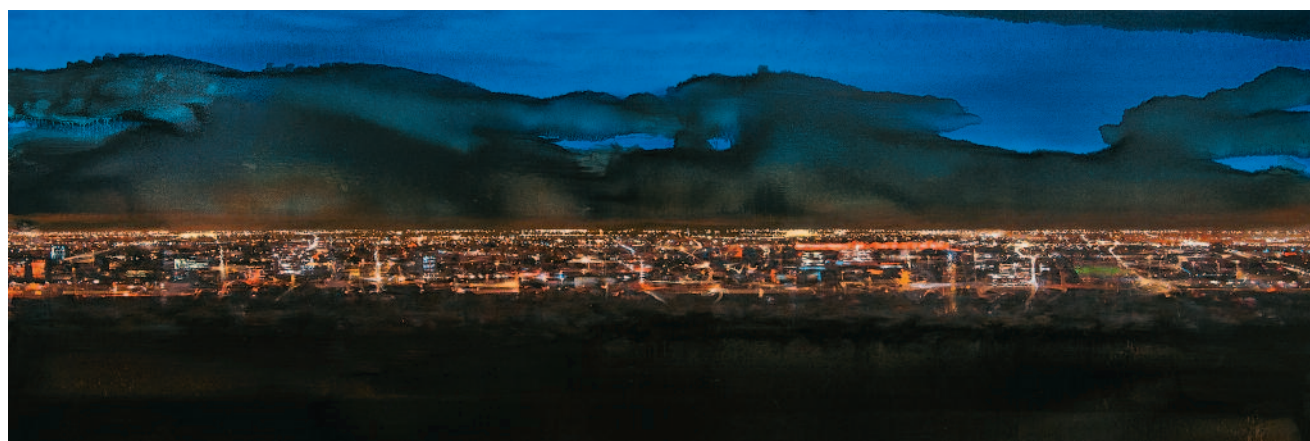
WIESŁAWA KONOPELSKA



Z cyklu *Mapy światła*, 150x150, 2013, olej



Z cyklu *Mapy światła*, 160x160, 2013, olej



Z cyklu *Mapy światła*, 120x300, 2012, olej



Z cyklu *Mapy światła*, 244x205, 2013, olej

ZBIGNIEW BLUKACZ
MAPY ŚWIATŁA



Z cyklu *Mapy światła*, 130x180, 2013, olej



od projektu do druku

USŁUGI WYDAWNICZO-POLIGRAFICZNE

Skład tekstów, projekty graficzne,
redakcje techniczne i merytoryczne,
gazety, książki, katalogi, foldery,
prospekty, kalendarze, akcydensy,
kolorowe druki cyfrowe

STUDIO TYPOGRAFII PROFESJONALNEJ

KORGRAF

40-081 Katowice
ul. Dąbrówki 15/12
korgraf@korgraf.com.pl

tel./fax: 32 354 09 88
tel. 32 781 06 48
tel. kom. 602 256 039

www.korgraf.com.pl